



**Ursula K.  
Le Guin  
OKO CZAPLI**

**Przetłóżyła  
Agnieszka Sylwanowicz**

---

**FENIX**  
PUBLICATIONS

**Warszawa  
1992**



Tytuł oryginału:  
The Eye Of The Heron

## Rozdział 1

Lev siedział w samym środku pierścienia drzew, skąpany w blasku słońca, pochyliwszy głowę nad rękoma wspartymi na skrzyżowanych nogach.

W ciepłym, płytkim zagłębieniu jego dłoni przysiadło małe stworzenie. Nie trzymał go - samo postanowiło lub zgodziło się tu przebywać. Wyglądało jak niewielka ropucha ze skrzydłami. Skrzydła, złożone w szpic nad jego grzbietem, były ciemnobrązowe z niewyraźnymi paskami, a ciało miało kolor cienisto-bury. Głowę stworzenia zdobiło troje złotych oczu jak duże łebki od szpilki: po jednym z każdej strony i jedno na czubku głowy. To skierowane w górę środkowe oko śledziło ruchy Leva. Lev zamrugał. Stworzenie zmieniło się: spod jego złożonych skrzydeł wyrosły brudnoróżowe pióropusze. Przez chwilę wydawało się, że to pierzasta kula, której nie można wyraźnie zobaczyć, bo dziwne pęki piór drżały bezustannie, zacierając kontury stworzenia. Stopniowo drżenie usta-

ło. Na dłoni siedziała, jak poprzednio, ropucha ze skrzydłami, lecz teraz była jasnoniebieska. Podrapała się w lewe oko ostatnią ze swych trzech lewych łapek. Lev uśmiechnął się. Ropucha, skrzydła, oczy, łapki - zniknęły. Na dłoni kulił się płaski, podobny do ćmy kształt, niemal niewidoczny, bo oprócz kilku ciemniejszych plamek miał kolor i fakturę identyczne ze skórą Leva. Siedział bez ruchu. Powoli znów pojawiła się błękitna ropucha ze skrzydłami, śledząca go jednym złocistym okiem. Przeszła mu po dłoni i wdrapała się na palce. Sześć maleńkich, ciepłych łapek chwyciło i puszczało, delikatnie, ale stanowczo. Stworzenie zatrzymało się na czubku palca i przechyliło głowę, by spojrzeć na Leva prawym okiem, podczas gdy lewe i środkowe badały niebo. Ropucha przybrała kształt strzały, wypuściła dwa przezroczyste tylne skrzydła dwa razy dłuższe od ciała i długim, swobodnym ślizgiem odleciała w kierunku oświetlonego słońcem zbocza leżącego za pierścieniem drzew.

- Lev?
- Zabawiam coto. - Wstał i podszedł do Andre stojącego za drzewami.
- Martin uważa, że moglibyśmy wieczorem dotrzeć do domu.

- Mam nadzieję, że się nie myli - odpowiedział Lev. Podniósł plecak i stanął na końcu szeregu utworzonego przez siedmiu mężczyzn. Ruszyli gęsiego w milczeniu, chyba że ktoś ze środka krzyknął, aby wskazać prowadzącemu łatwiejszą drogę albo mężczyzna idący z kompasem polecił mu zboczyć w prawo lub w lewo. Kierowali się na południowy zachód. Marsz nie był trudny, ale znajdowali się na bezdrożach bez żadnych punktów orientacyjnych. Drzewa w lesie rosły w kręgach: od dwudziestu do sześćdziesięciu drzew tworzyło pierścień wokół wolnej przestrzeni. W dolinach pofałdowanego terenu kręgi drzew rosły tak gęsto, że często nachodziły na siebie i wędrowcy to przedzierali się przez podszycie między ciemnymi, obrosniętymi pniami drzew, to szli swobodnie po gąbczastej trawie rosnącej na skąpanych w słońcu kolistych polanach, a potem znów wpadali w cień, między listowie, słoczono pędy i pnie. Na stokach wzgórz pierścienie rosły w większych odstępach i otwierał się stamtąd niekiedy daleki widok na kręte doliny aż po horyzont nakrapiane miękkimi nieregularnymi czerwonymi kręgami drzew.

W miarę mijania popołudnia słońce kryło się za bladą mgiełką. Na zachodzie gęstniały chmury. Zaczął

padać drobny, delikatny deszcz. Było ciepło i bezwietrznie. Nagie torsy i ramiona wędrowców lśniły jak posmarowane olejkami. Krople wody zatrzymywały im się na włosach. Szli dalej, stale kierując się na południowy zachód. Światło poszarzało. W dolinach, wewnątrz kręgów drzew powietrze było zamglone i ciemne.

Idący na przedzie Martin dotarł na szczyt długiego kamienistego wzniesienia, odwrócił się i zawołał. Wspięli się jeden za drugim i stanęli obok niego na grzbiecie wzgórza. Poniżej, pomiędzy ciemnymi plażami leżała szeroka rzeka, lśniąca i bezbarwna w ciemności.

Najstarszy z nich, Trzymajmocno, wszedł na szczyt ostatni i stanął patrząc w dół na rzekę z wyrazem głębokiego zadowolenia na twarzy. - Witaj - mruknął jak do przyjaciela.

- Którędy do łodzi? - spytał chłopak z kompasem.
- W górę rzeki - powiedział Martin niepewnie.
- W dół - zaproponował Lev. - Czy tam na zachód to nie jest najwyższy punkt pasma?

Omawiali przez chwilę tę kwestię i zdecydowali się spróbować w dole rzeki. Zanim ruszyli, stali jeszcze jakiś czas w milczeniu na szczycie grzbietu, z którego

---

po raz pierwszy od wielu dni mieli rozległy widok na otaczający świat. Za rzeką las falował coraz dalej na południe pod zwisającymi chmurami w nie kończącym się deseniu zachodzących na siebie pierścieni. Ku wschodowi, w górę rzeki teren wznosił się stromo, a na zachód rzeka wiła się szarymi płaszczyznami pomiędzy niższymi wzgórzami. W miejscach, gdzie znikła z pola widzenia, kładło się słabe światło przywodzące na myśl odbłask słońca na otwartym morzu. Ku północy, za plecami wędrowców leżały ciemniejąc i pogrążając się w deszcz i mrok zalesione wzgórza, dnie i kilometry ich podróży.

I w całym tym bezkresnym, spokojnym krajobrazie wzgórz, lasu i rzeki ani pasemka dymu, ani domu, ani drogi.

Zwrócili się na zachód idąc grzbietem wzgórza. Po jakimś kilometrze chłopiec imieniem Witaj, idący teraz na czele, zatrzymał się i pokazał ręką w dół na dwie czarne drzazgi leżące w zakolu plaży pokrytej drobnymi kamykami - łodzie, które wyciągnęli z wody wiele tygodni temu.

Zeszli na plażę zsuwając się lub schodząc na czworakach po stromym zboczu. W dole nad rzeką wydawało się ciemniej i zimniej, choć deszcz ustał.



- Wkrótce będzie ciemno. Rozbijemy obóz? - spytał Trzymaj mocno niechętnym tonem.

Spojrzeni na szarą materię przepływającej rzeki, na szare niebo ponad nią.

- Na wodzie będzie jaśniej - rzekł Andre, wyciągając wiosła spod jednego z wyciągniętych na plażę i odwróconych do góry dnem czółen.

Między wiosłami założyła gniazdo rodzina nietoperzy workowatych. Na wpół wyrosnięte młode rozpierchły się w podskokach na plaży, skrzecząc posępnie, a zdenerwowani rodzice krążyli nad nimi. Mężczyźni roześmieli się i podrzucili lekkie łodzie na ramiona.

Odbili od brzegu, po czterech w łodzi. Srebrzyste światło zachodu odbijało się w piórach wiosła. Na środku nurtu niebo wydawało się jaśniejsze i wyższe, a oba brzegi niskie i czarne.

O, gdy przybędziemy,  
O, gdy przybędziemy do Lizbony,  
Będą czekać białe statki,  
O, gdy przybędziemy...

Ktoś w pierwszym czólnie rozpoczął pieśń, dwa lub trzy głosy w drugim podjęły ją. Dookoła krótkiego,

---

miękkiego śpiewu leżała cisza głuszy, pod nim i nad nim, przed nim i po nim.

Brzegi stały się niższe, odleglejsze, bardziej niewyraźne. Znajdowali się teraz na milczącej fali szarości szerokiej na pół mili. Niebo ciemniało między jednym a drugim spojrzeniem. A potem daleko na południu rozbłysła iskierka światła, odległa i jasna, rozcinając stary mrok.

W wioskach nikt nie spał. Nadchodzili przez pola ryżowe, prowadzeni światłem chyboczących się lamp. W powietrzu czuli ciężką woń dymu torfowego. Szli cicho jak deszcz, ulicą między uśpionymi domkami, aż wreszcie Witaj krzyknął: - Hej, wróciliśmy! - i gwałtownie otworzył drzwi swego rodzinnego domu. - Mamo, obudź się! To ja!

W ciągu pięciu minut na ulicę wyległo pół miasteczka. Zapalono światła, pootwierano drzwi, wszędzie tańczyły dzieci, a sto głosów mówiło, wołało, zadawało pytania, witało, wychwalało.

Lev ruszył na spotkanie śpieszącej ulicą Południowej Bryzy o zaspanych oczach, uśmiechniętej, z szalem narzuconym na splątane włosy. Wyciągnął ramiona i ujął jej dłonie, zatrzymując ją. Podniosła wzrok i roześmiała się.

- Wróciłeś, wróciłeś!

A potem jej oczy zmieniły wyraz; szybko zerknęła na radosne zamieszanie na ulicy i z powrotem na Leva.

- Och - powiedziała - wiedziałam. Wiedziałam.

- W czasie drogi na północ. Po jakichś dziesięciu dniach od wyruszenia. Schodziliśmy do głębokiego wąwozu, którym płynął strumień. Kamienie osunęły mu się pod rękoma. Było tam gniazdo skorpionów skalnych. Z początku nic się z nim nie działo. Ale miał dziesiątki żadeł. Ręce zaczęły puchnąć...

Jego dłonie zacisnęły się na rękach dziewczyny; ciągle patrzyła mu w oczy.

- Umarł tej samej nocy.

- W wielkim bólu?

- Nie - skłamał Lev.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Więc został tam - rzekł. - Usypaliśmy kopiec z białych głazów. Przy wodospadzie. Więc... więc został tam.

Za nimi pośród zamieszania i paplaniny odezwał się wyraźnie kobiecy głos: - A gdzie jest Timmo?

Dłonie Południowej Bryzy zwiotczały; wydawało się, że ona sama zmniejszyła się, skurczyła, zniknęła. - Chodź ze mną - powiedział. Objął ją ramieniem i ode-

szli w milczeniu do domu jej matki.

Lev zostawił ją tam z matką i matką Timma. Wyszedł z domu i zawahał się, a następnie powoli wrócił do tłumy. Wyszedł mu na spotkanie ojciec; Lev dostrzegł kędzierzawe siwe włosy, oczy wypatrujące poprzez światło pochodni. Sasza był drobnym, niskim mężczyzną; gdy się objęli, Lev wyczuł pod jego skórą twarde i kruche kości.

- Byłeś z Południową Bryzą?

- Tak. Nie mogę...

Na chwilę przyłgął do ojca, a twarda, szczupła dłoń pogłaskała go po rękę. Światło pochodni rozmywało się i raziło oczy. Gdy rozluźnił uścisk, Sasza cofnął się, by na niego spojrzeć. Nic nie mówił, patrzył uważnie, a jego usta skrywały się pod szczeciniastymi siwymi wąsami.

- Wszystko u ciebie w porządku, ojcze?

Sasza skinął głową. - Jesteś zmęczony. Chodź do domu. - Gdy ruszyli ulicą, powiedział: - Znaleźliście ziemię obiecaną?

- Tak. Dolinę. Dolinę rzeki. Pięć kilometrów od morza. Wszystko, czego nam trzeba. I jest piękna - nad nią góry - pasmo za pasmem, coraz wyższe, wyższe niż chmury, bielsze... Nie uwierzysz, jak wysoko trzeba

patrzeć, żeby ujrzeć najwyższe szczyty. - Zatrzymał się.

- Jakież góry po drodze? Rzeki?

Lev spojrział w dół z białych marzycielskich wyżyn w oczy ojca.

- Wystarczą, żeby Szefowie nie poszli za nami?

Lev uśmiechnął się po chwili. - Może - powiedział.

Był właśnie środek zniw ryżu błotnego, toteż wielu gospodarzy nie mogło przyjść, ale wszystkie osady wysłały kogoś do Szantih, aby wysłuchać sprawozdania badaczy oraz tego, co mają do powiedzenia ludzie. Było popołudnie i ciągle padało; wielki otwarty plac przed Domem Zebrań wypełniały parasole zrobione z szerokich, czerwonych, cienkich jak papier liści drzewa strzechowego. Pod parasolami ludzie stali lub siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na matach z liści rozłożonych na błocie i łuskali orzechy, rozmawiali, aż w końcu zadzwonił delikatnie spiżowy dzwonek Domu Zebrań. Wszyscy spojrzeli wtedy na ganek Domu, gdzie stała Vera, chcąc przemówić.

Była szczupłą kobietą o stalowo-siwych włosach, wąskim nosie i ciemnych, owalnych oczach. Miała silny i wyraźny głos, a gdy mówiła, nie było słyhać nic innego poza cichym szumem deszczu i od czasu do czasu szybko uciszonym szczebiotem dziecka.

---

Powitała badaczy. Powiedziała o śmierci Timma i bardzo cicho i krótko o samym Timmie, jak widziała go w dniu wyruszenia grupy badawczej. Mówiła o studniowej wędrowce po pustkowiach. Powiedziała, że sporządzili mapy wielkiego obszaru na wschód i północ od Zatoki Songe i że znaleźli to, po co się wyprawili: miejsce na nową osadę i znośną do niego drogę. - Wielu z nas nie podoba się pomysł nowej osady tak daleko od Szantih. Mamy wśród nas teraz także niektórych sąsiadów ze Stolicy, którzy być może chcieliby się przyłączyć do naszych planów i dyskusji. Całą sprawę należy dokładnie rozważyć i omówić niczego nie tając. Niech więc najpierw Andre i Lev przemówią w imieniu badaczy i powiedzą nam, co widzieli i co odkryli.

Andre, krępy i nieśmiały trzydziestoletni mężczyzna, opisał ich podróż na północ. Miał cichy głos i nie mówił swobodnie, lecz tłum uważnie słuchał jego opisu świata leżącego poza dobrze znajomymi polami. Niektórzy z tyłu wyciągali szyje, by zobaczyć ludzi ze Stolicy, o których obecności Vera ich taktownie ostrzegła. Stali przy ganku: sześciu ludzi w kaftanach i wysokich butach, osobista ochrona Szefa, każdy z długim nożem tkwiącym w pochwie na udzie i starannie zwiniętym

biczem wetkniętym za pas.

Andre domamrotał do końca i oddał głos Levowi, drobnemu, kościstemu młodzieńcowi o gęstych, czarnych, lśniących włosach. Lev także zaczął z wahaniem, z trudem dobierając słowa, by opisać dolinę, którą znaleźli, i wyjaśnić, dlaczego uznali ją za najbardziej odpowiednią do osiedlenia się. W miarę jak mówił, jego głos nabrał ciepła i Lev zapomniał o sobie, jakby rzeczywiście miał przed oczyma to, co opisywał: szeroką dolinę i rzekę, której nadali nazwę Spokojna, położone nad nią jezioro, moczary, gdzie rósł dziki ryż, lasy pełne dobrego drewna, słoneczne stoki wzgórz, na których można rozmieścić sady i zagony roślin okopowych, a domy wybudować z dala od błota i wilgoci. Opowiedziało ujściu rzeki, zatoce pełnej skorupiakowi jadalnych wodorostów. Mówił też o górach piętrzących się nad doliną ku północy i wschodowi, osłaniających ją od wiatrów, które w Songe zmieniały zimę w uciążliwą porę błota i zimna. - Ich szczyty wznoszą się w ciszę i słońce ponad chmury - rzekł. - Osłaniają dolinę jak matka dziecko trzymane w ramionach. Nazwaliśmy je Górami Mahatmy. Zostaliśmy tam tak długo, piętnaście dni, by zobaczyć, czy góry powstrzymają burze. Wczesna wiosna jest tam jak u

nas pełnia lata, tylko że noce są chłodniejsze; dni były słoneczne i nie padał deszcz. Trzymajmocno uważa, że ryż można tam zbierać trzy razy w roku. W lasach jest dużo owoców, a ryby złowione w rzece i nad brzegami zatoki pomogłyby wyżywić osadników do czasu pierwszych zbiorów. Poranki są tam jasne! Zostaliśmy nie tylko po to, by zobaczyć, jaka tam jest pogoda. Trudno było stamtąd odejść, nawet do domu.

Słuchali oczarowani, a gdy skończył, trwali w milczeniu.

Ktoś zawołał: - A jak to daleko licząc w dniach?

- Martin sądzi, że około dwudziestu dni drogi z rodzinami i dobytkiem.

- Czy są po drodze przeprawy przez rzeki, jakieś niebezpieczne miejsca?

- Najlepiej byłoby wysłać na kilka dni naprzód grupę zwiadowczą do wytyczenia najłatwiejszego szlaku. Z powrotem unikaliśmy trudnego terenu, który przebyliśmy idąc na północ. Jedyna trudna przeprawa przez rzekę znajduje się tutaj, na Songe, którą trzeba przepłynąć na łodziach. Inne, aż do samej Spokojnej, można przejść w bród.

Wykrzykiwano coraz więcej pytań; tłum przerwał pełną zachwyty ciszę i podzielił się na setki grup



---

żywo dyskutujących pod parasolami z czerwonych liści, gdy Vera znów postąpiła do przodu i poprosiła o ciszę. - Jest tu jeden z naszych sąsiadów, który chce z nami porozmawiać - powiedziała i odsunęła się, by przepuścić do przodu stojącego za nią mężczyznę. Czarne ubranie miał ściągnięte szerokim pasem nabijanym srebrem. Sześciu mężczyzn stojących pod gankiem weszło na niego razem z przybyszem i oddzieliło go półkolem od innych ludzi stojących na ganku.

- Pozdrowienie wszystkim - odezwał się mężczyzna w czerni. Głos miał suchy, niegłośny.

- Falco - wymruczeli ludzie między sobą. - Szeff Falco.

- Z przyjemnością przekazuję gratulacje Rządu Victorii tym dzielnym badaczom. Ich mapy i sprawozdania będą stanowiły cenny dodatek do zbiorów Archiwum Państwowego w Stolicy Victorii. Rada rozważa plany ograniczonej migracji rolników i robotników. W celu zapewnienia bezpieczeństwa i dobrobytu społeczności jako całości konieczne są planowanie i kontrola. Jak jasno wynika z tej wyprawy, żyjemy w jednym zakątku, jednej bezpiecznej przystani wielkiego i nieznanego świata. My, którzy mieszkamy tutaj najdłużej, którzy przechowujemy zapiski z najwcześniej-

szych lat Osady, wiemy, że pochojne plany rozproszenia mogą zagrozić naszemu przeżyciu i że mądrość leży w porządku i ścisłej współpracy. Z przyjemnością informuję, że Rada przyjmie tych dzielnych badaczy z serdecznością Stolicy i odpowiednio ich wynagrodzi za ich wysiłki.

Zapadła cisza innego rodzaju.

Przerwała ją Vera; obok grupy rosnących mężczyzn wyglądała krucho, ale jej głos brzmiał lekko i wyraźnie. - Dziękujemy reprezentantowi Rady za uprzejme zaproszenie.

Falco powiedział: - Rada oczekuje badaczy wraz z mapami i sprawozdaniami za trzy dni.

Znów nabrzmiała cisza.

- Dziękujemy Radnemu Falco - rzekł Lev - i nie przyjmujemy jego zaproszenia.

Jakiś starszy mężczyzna pociągnął Leva za rękaw, szepcząc coś gorączkowo; ludzie na ganku zaczęli cicho i szybko rozmawiać, lecz tłum przed Domem Zebrań trwał w ciszy i bezruchu.

- Musimy podjąć decyzje w kilku sprawach - zwróciła się Vera do Falco, ale na tyle głośno, by wszyscy mogli ją usłyszeć - zanim będziemy gotowi odpowiedzieć na zaproszenie Rady.

- Decyzje już zostały podjęte, senhora Adelson. Zostały podjęte przez Radę. Oczekuje się jedynie waszego posłuszeństwa. - Falco skłonił się jej, uniósł rękę pozdrawiając tłum i zszedł z ganku otoczony strażą. Ludzie odsunęli się, robiąc mu szerokie przejście.

Na ganku uformowały się dwie grupy: badacze oraz inni mężczyźni i kobiety, głównie młodzi, wokół Very, i większa grupa wokół jasnowłosego, niebieskookiego mężczyzny imieniem Elia. Tłum na dole podzielił się według tej samej zasady, aż zaczął przypominać las pierścieni drzew: małe koła, głównie młode, i większe koła, głównie starsze. Wszyscy dyskutowali zawzięcie, lecz bez gniewu. Kiedy wysoka staruszka zaczęła potrząsać parasolką z czerwonych liści nad zapalczywą dziewczyną i wykrzykiwać: - Dezerterka! Chcesz uciec i zostawić nas samych z Szefami! Przydałoby ci się lanie! - co poparła uderzeniem parasolki, ludzie wokół niej bardzo szybko jakby stopnieli, zabierając z sobą dziewczynę, która ją rozgniewała. Marszcząc brwi i poruszając ustami kobieta przyłączyła się do innego koła.

Dwie grupy na ganku połączyły się. Elia powiedział z cichym naleganiem w głosie: - Bezpośredni opór to taka sama przemoc, Lev, jak cios pięści czy noża.

- Tak jak odrzucam przemoc, odrzucam służbę u posługujących się przemocą - odparł młodzieniec.

- Jeśli zlekceważysz żądanie Rady, spowodujesz przemoc.

- Uwięzienie, może bicie; dobrze. Czy chcemy wolności, Elia, czy jedynie bezpieczeństwa?

- Przeciwwstawiając się Falco w imię wolności czy czegokolwiek innego, sprowokujesz represje. Dajesz mu broń do ręki.

- I tak jesteśmy przecież w jego rękach - odezwała się Vera. - Chcemy się z nich wyrwać.

- Wszyscy zgadzamy się, że już czas, czas najwyższy, by porozmawiać z Radą: porozmawiać stanowczo, rozsądnie. Lecz jeśli zaczniemy od oporu, od moralnej przemocy, nic nie osiągniemy, a oni posłużą się siłą.

- Nie zamierzamy stosować oporu - powiedziała Vera - będziemy po prostu trzymać się prawdy. Ale jeśli oni zaczną używać siły, to wiesz, Elia, nawet nasza próba przemówienia im do rozsądku zamieni się w opór.

- Opór jest beznadziejny, musimy rozmawiać! Jeśli wkroczy przemoc, czy to w czynie, czy w słowie, prawda zginie i nasze życie w Szantih, nasza wolność zostaną zniszczone. Rządzić będzie przemoc, tak jak

ongiś na Ziemi!

- Nie rządziła wszystkimi, na Ziemi, Elia. Tylko tymi, którzy zgodzili się jej służyć.

- Ziemia wygnała naszych ojców - powiedział Lev. W twarzy miał jakieś światło; głos załamał mu się chrapliwą, tęskną nutą, jakby ktoś zbyt mocno szarpnął niskimi strunami harfy. - Jesteśmy wygnańcami, dziećmi wygnańców. Czyż Założyciel nie powiedział, że wygnaniec jest wolną duszą, dzieckiem Boga? Nasze życie w Szantih nie jest wolnym życiem. Na północy, w nowej osadzie, będzie wolne.

- Co to jest wolność? - spytała piękna, smagła kobieta imieniem Klejnot, stojąca obok Elia. - Chyba nie dochodzi się do niej ścieżką sprzeciwu, oporu, odmowy. Wolność towarzyszy człowiekowi, gdy ten stąpa ścieżką miłości. Przyjąć wszystko to otrzymać wszystko.

- Otrzymaliśmy cały świat - powiedział Andre swym przytłumionym głosem. - Czy przyjęliśmy go?

- Sprzeciw to pułapka, przemoc to pułapka, trzeba je odrzucić - i to właśnie robimy - odparł Lev. - Pójdziemy jako wolni ludzie. Szefowie będą próbowali nas zatrzymać. Użyją siły moralnej, może fizycznej; siła jest bronią słabych. Lecz jeśli zaufamy samym sobie,

naszemu celowi, naszej sile, jeśli wytrwamy, cała ich moc nad nami rozpułynie się jak cienie, gdy wschodzi słońce.

- Lev - odezwała się smagła kobieta - Lev, to jest świat cieni.

## Rozdział 2

Chmury deszczowe płynęły w długich ponurych pasmach nad Zatoką Songe. Deszcz bębnił o dachówki Domu Falco. Z końca domu, z kuchni, dobiegały dalekie odgłosy życia, rozmowy służby. Żadnego innego dźwięku, żadnego innego głosu, tylko deszcz.

Luz Marina Falco Cooper siedziała w głębokim wykuszu okna z kolanami podciągniętymi pod brodę. Czasem wyglądała przez grube zielonkawe szkło okna na morze, na deszcz i na chmury. Czasem patrzyła w dół na leżącą obok otwartą książkę i czytała kilka linijek. Potem wzdychała i znów wyglądała przez okno. Książka nie była ciekawa.

Fatalnie. Miała co do niej wielkie nadzieje. Nigdy przedtem nie czytała żadnej książki.

Jako córka Szefa nauczyła się, oczywiście, czytać i pisać. Oprócz głośnego uczenia się lekcji na pamięć przepisywała nauki moralne i potrafiła ułożyć list przyjmujący lub odmawiający zaproszenia, z fantazyj-

ną wijącą się ramką, z pozdrowieniem i podpisem napisanymi szczególnie dużymi, wypracowanymi literami. Jednak w szkole używali tabliczek i zeszytów z ćwiczeniami, które nauczycielki same ręcznie wypisywały. Luz Marina nigdy nie miała w ręku książki. Książki były zbyt cenne, by używać ich w szkole; na świecie istniało ich tylko kilkadziesiąt. Trzymano je w Archiwum. Ale gdy weszła tego popołudnia do sieni, zobaczyła na niskim stoliku brązowe pudełko; podniosła wieczko, żeby zobaczyć, co jest w środku, i znalazła pełno słów. Porządnych, małych słów, ze wszystkimi literami podobnymi do siebie; co za cierpliwość, żeby wszystkie były tej samej wielkości! Książka - prawdziwa książka, z Ziemi. Musiał ją tu zostawić ojciec. Chwyciła ją, zaniósła do siedziska w oknie, znów ostrożnie otworzyła wieczko i bardzo powoli przeczytała wszystkie różne słowa na pierwszej kartce papieru.

PIERWSZA POMOC  
PODRĘCZNIK POMOCY DORAŻNEJ  
PRZY ZRANIENIACH I CHOROBACH

Dr M.E. Roy  
The Geneva Press, Genewa,



---

Szwajcaria 2027 Zezwolenie Nr 83A38014 Gen.

Nie miało to większego sensu. „Pierwsza pomoc” była w porządku, ale następna linijka stanowiła zagadkę. Zaczynała się jakimś ręcznikiem, a potem było coś niewyraźnego. Następnie znów dużo wielkich liter z kropkami. I co to jest genewa, press i Szwajcaria?

Równie zagadkowe były czerwone litery biegnące skosem przez stronę jakby zostały napisane na poprzednich: OFIAROWANE PRZEZ ŚWIATOWY CZERWONY KRZYŻ DO UŻYTKU W KOLONII KARNEJ NA VICTORII. Przewróciła kartkę podziwiając ją. Była gładsza w dotyku od najdelikatniejszej tkaniny, krusza, a jednak giętka jak świeży liść strzechowy, i śnieżnobiała.

Luz przedarła się słowo po słowie do końca pierwszej strony, a potem zaczęła przewracać po kilka kartek na raz, bo i tak ponad połowa słów nic nie znaczyła. Pojawiły się okropne obrazki i jej zainteresowanie odżyło ze wstrząsem. Ludzie podtrzymujący głowy innych ludzi i oddychający im do ust; obrazki kości wewnątrz nogi, żył wewnątrz ręki; kolorowe ilustracje na wspaniałym papierze błyszczącym jak szkło, przedstawiające ludzi z czerwonymi plamkami na ra-

mionach, z wielkimi czerwonymi plamami na policzkach, z okropnymi czyrakami na całym ciele, i z tajemniczymi napisami pod obrazkami: Wysypka alergiczna. Odra. Osa wietrzna. Osa. Nie, to ospa, nie osa. Przyjrzała się wszystkim obrazkom, dokonując czasami wypadów na słowa widniejące na sąsiedniej stronie. Rozumiała, że to książka o medycynie i że to doktor, a nie jej ojciec, zostawił ją na stoliku poprzedniego wieczora. Doktor był zacnym, ale drażliwym człowiekiem. Czy rozgniewałby się, gdyby wiedział, że oglądała jego książkę? Zawiera przecież jego sekrety. Doktor nigdy nie odpowiadał na pytania. Lubił swe tajemnice zachowywać dla siebie.

Luz ponownie westchnęła i spojrzała na poszarpane, siąpiące deszczem chmury. Obejrzała już wszystkie obrazki, a słowa nie były ciekawe.

Wstała i właśnie odkładała książkę na stół, dokładnie gdzie przedtem leżała, gdy do pomieszczenia wszedł jej ojciec.

Stąpił energicznie, plecy trzymał prosto, wzrok miał jasny i surowy. Gdy spostrzegł Luz, uśmiechnął się. Nieco zaskoczona, zmieszana, dygnęła zamasyście, zasłaniając spódnicami stół i książkę. - Senhor! Ty-sięczne pozdrowienia!

- Tu jest moja mała ślicznotka. Michael! Gorącą wodę i ręcznik! Czuję się cały brudny. - Usiadł w jednym z rzeźbionych drewnianych foteli i wyciągnął nogi, choć plecy miał proste jak zwykle.

- Gdzie zebrałeś tyle brudu, papo?

- Wśród pospólstwa.

- W Mieście Chat?

- Na Victorię przybyły z Ziemi trzy rodzaje istot: ludzie, wszy i mieszkańcy Miasta Chat. Gdybym mógł się pozbyć tylko jednego rodzaju, ten byłby ostatni. - Znów się uśmiechnął, zadowolony z żartu, spojrzał na córkę i powiedział: - Jeden z nich ośmielił się mi odpowiedzieć. Chyba go kiedyś znałaś.

- Znałam go?

- W szkole. Pospólstwa nie powinno się dopuszczać do szkoły. Zapomniałem, jak się nazywa. Te ich imiona w ogóle nie mają sensu. Siedźtwardo, Trzymajmocno, Jaksięmasz, co chcesz... Drobnny czarnowłosy chudy chłopak.

- Lev?

- Tak, to ten. Podżegacz.

- Co ci powiedział?

- Powiedział mi „nie”.

Służący Falco wszedł spieszenie z glinianą miednicą i

dzbankiem parującej wody. Za nim pojawiła się służąca z ręcznikami. Falco wyszorował sobie twarz i ręce, sapiąc, parszkając i mówiąc w wodę i ręczniki. - On i kilku innych właśnie wrócili z wyprawy na północ, na pustkowie. Twierdzi, że znaleźli dogodny teren do założenia miasta. Chcą, żeby wszyscy z nich się tam przeprowadzili.

- I opuścili Miasto Chat? Wszyscy?

Falco prychnął potwierdzająco i wyciągnął przed siebie nogi, aby Michael zdjął mu buty. - Jak gdyby mogli przetrwać zimę bez pomocy Stolicy! Ziemia przysłała ich tu pięćdziesiąt lat temu jako niewyuczalnych durniów, którymi niewątpliwie są. Czas, by znów im dać nauczkę.

- Ale przecież nie mogą tak po prostu odejść na pustkowie - powiedziała Luz, która słuchała i własnych myśli, i słów ojca. - Kto uprawiałyby nasze pola?

Jej ojciec zignorował to pytanie powtarzając je, zmieniając w ten sposób damski wyraz emocji w męską ocenę faktu. - Nie można im oczywiście pozwolić, by zaczęli się rozpraszać. Są źródłem niezbędnej pracy.

- Dlaczego uprawą ziemi zajmują się prawie wyłącznie mieszkańcy Miasta Chat?

- Bo nie nadają się do niczego innego. Zabieraj tę brudną wodę, Michael.

- Właściwie prawie nikt z nas nie wie, jak się uprawia ziemię - zauważyła Luz. Zastanawiała się. Miała ciemne, mocno wygięte brwi jak jej ojciec, a kiedy nad czymś myślała, brwi układały się w prostą linię nad jej oczyma. Ojcu nie podobała się ta linia. Nie pasowała w twarzy ładnej dwudziestoletniej dziewczyny. Nadawała jej twardy, nie-kobiecy wygląd. Często jej to mówił, ale ona nigdy nie pozbyła się tego niedobrego zwyczaju.

- Kochanie, jesteśmy mieszkańcami Stolicy, a nie chłopami.

- A kto uprawiał ziemię przed przybyciem mieszkańców Miasta Chat? Kolonia istniała wtedy już sześćdziesiąt lat.

- Prace ręczne wykonywali oczywiście robotnicy. Ale nawet nasi robotnicy nigdy nie byli chłopami. Jesteśmy ludźmi Stolicy.

- I nie mieliśmy co jeść, prawda? Panował głód. - Luz mówiła z rozmarzeniem, jakby przypominała sobie starą lekcję historii, ale jej brwi nadal tworzyły czarną, prostą linię. - Podczas pierwszych dziesięciu lat Kolonii i później... wielu ludzi umarło z głodu. Do-

---

póki nie przybyli mieszkańcy Miasta Chat, ludzie nie wiedzieli, jak uprawiać ryż błotny i korzenie cukrowe.

Czarne brwi ojca też ułożyły się w prostą linię. Zbył Michaela, służącą i temat rozmowy jednym machnięciem ręki. - Błędem jest posyłanie do szkoły chłopów i kobiet - powiedział sucho. - Chłopi robią się bezczelni, a kobiety nudne.

Dwa lub trzy lata temu rozpłakałaby się na coś takiego. Skuliłaby się i wymknęła do swego pokoju, by się tam wyszlochać i czuć się nieszczęśliwa, aż ojciec powiedziałby jej coś miłego. Ale teraz już nie potrafił doprowadzić jej do płaczu. Nie wiedziała, czemu tak się dzieje, i wydawało się jej to bardzo dziwne. Oczywiście bała się go i podziwiała tak samo jak dotąd, ale zawsze wiedziała, co ojciec powie. Nigdy nie było to nic nowego. Nic nigdy nie było nowe.

Odwróciła się i ponownie spojrzała przez grube, spiralne szkło na Zatokę Songe, której odległy, zakrzywiony brzeg spowity był nieustającym deszczem. Trwała wyprostowana: w przyćmionym świetle pełna życia postać, ubrana w długą czerwoną spódnicę z samodziału i pomarszczoną koszulę. Stojąc pośrodku wysokiego, długiego pokoju wyglądała na obojętną i samotną i tak leż się czuła. Czuła także na sobie wzrok

ojca. I wiedziała, co powie.

- Czas, żebyś wyszła za mąż, Luz Marina.

Czekała na następne zdanie.

- Od czasu śmierci twojej matki... - I to westchnienie.

Dosyć, dosyć, dosyć!

Odwróciła się do niego. - Przeczytałam tę książkę - powiedziała.

- Książkę?

- Pewnie zostawił ją doktor Martin. Co to znaczy „kolonia karna”?

- Kto pozwolił ci wziąć ją do ręki?

Był zaskoczony. Robiło się przynajmniej ciekawie.

- Myślałam, że to pudełko suszonych owoców - odpowiedziała i roześmiała się. - Ale co to znaczy „kolonia karna”? Kolonia przestępców, więzienie?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Nasi przodkowie zostali tu wysłani jako więźniowie, tak? Tak mówili mieszkańcy Miasta Chat w szkole.

- Twarz Falco pobladła, ale niebezpieczeństwo dodawało Luz animuszu; jej myśli goniły jedna za drugą, a ona zawsze mówiła to, co myśli. - Mówili, że Pierwsze Pokolenie to byli sami przestępcy. Rząd Ziemi używał Victorii jako więzienia. Mieszkańcy Miasta Chat powiedzieli, że oni zostali zesłani, ponieważ wierzyli w

pokój czy coś takiego, ale my wszyscy byliśmy złodziejami i mordercami. I że większość ludzi z Pierwszego Pokolenia to mężczyźni, bo ich kobiety nie mogły przylecieć, jeśli nie były ich żonami, i dlatego na początku było tak mało kobiet. I to wyjaśnia, dlaczego statki budowano tak, żeby tylko tu przylatywały i już nie wracały. I dlaczego ludzie z Ziemi nigdy tu nie przybywali. Wyrzucono nas. To prawda, tak? Nazywamy się Kolonia Victoria. Ale jesteśmy w więzieniu.

Falco wstał. Teraz podszedł do niej; stała nieruchomo, pewnie. - Nie - powiedziała lekko, jakby obojętnie. - Nie, papo.

Jej głos powstrzymał gniew mężczyzny. Także stanął nieruchomo i spojrzał na nią. Przez moment ją dostrzegł. Ujrzała w jego oczach, że ją dostrzegł i że się boi. Przez chwilę, tylko przez chwilę.

Odwrócił się. Podszedł do stolika i podniósł książkę pozostawioną przez doktora Martina. - Jakie to wszystko ma znaczenie, Luz Marina? - odezwał się w końcu.

- Chciałabym wiedzieć.  
- To było sto lat temu. I Ziemia jest utracona. A my jesteśmy tym, czym jesteśmy.

Skinęła głową. Kiedy mówił w ten sposób, sucho i



cicho, widziała w nim siłę, którą podziwiała i kochała.

- Ale gniewa mnie - powiedział, lecz bez gniewu - że słuchałaś gadania tego motłochu. Oni wszystko wywracają na odwrót. Cóż oni wiedzą? Mówią ci, że Luis Firmin Falco, mój pradziadek, założyciel naszego rodu, był złodziejem, kryminalistą. Cóż, oni o tym wiedzą! Ja wiem i mogę ci powiedzieć, kim byli nasi przodkowie. To byli ludzie. Ludzie zbyt silni jak na Ziemię. Rząd Ziemi zesłał ich tutaj, bo się ich bał. Najlepszych, najodważniejszych, najsilniejszych - tysiące małych, słabych ludzi na Ziemi bało się ich, więc ich schwytali i wysłali w podróż bez powrotu, żeby samemu mogli robić z Ziemią, co im się podoba. Rozumiesz? No i kiedy już tego dokonali, kiedy wszyscy prawdziwi ludzie odlecieli, ludzie na Ziemi zrobili się tak słabi i zniewieściali, że zaczęli się bać nawet takiego pospólstwa jak mieszkańcy Miasta Chat. Więc wysłali ich tu, żebyśmy trzymali ich w ryzach. Co uczyniliśmy. Rozumiesz? Tak właśnie było.

Luz skinęła głową. Przyjęła wyraźny zamiar ojca udobruchania jej, choć nie wiedziała, dlaczego po raz pierwszy chce ją ułagodzić i wyjaśnia jej coś, jakby mówił do kogoś równego sobie. Bez względu na powód, jego wyjaśnienia brzmiały rozsądnie, a ona była

---

przyzwyczajona do słyszenia rozsądnie brzmiących rzeczy i zastanawiania się później, co naprawdę mogły znaczyć. Właściwie zanim spotkała w szkole Leva, nie przyszło jej do głowy, że ktoś wolałby stwierdzić zwykły fakt, zamiast przekonująco skłamać. Na poważnie ludzie mówili to, co pasowało do ich celów, a nie na poważnie opowiadali rzeczy, które nie znaczyły nic. Prawie nigdy nie rozmawiali poważnie z dziewczynami. Nieprzyjemną prawdę trzeba było przed dziewczynami skrywać, aby ich czyste dusze nie stały się chropowate i zbrukane. A w ogóle to zapytała o kolonię karną głównie po to, żeby odciągnąć ojca od tematu jej małżeństwa, i sztuczka się udała.

Tylko że kłopot z takimi sztuczkami polega na tym, pomyślała Luz, gdy znalazła się sama w pokoju, że zwracają się przeciw tobie. Wdała się w sprzeczkę z ojcem i wygrała ją. Nie przebaczy jej tego.

Wszystkie dziewczęta w Stolicy w jej wieku i pochodzące z jej klasy były już od dwóch czy trzech lat zamężne. Uniknęła małżeństwa tylko dlatego, że Falco, świadomie czy też nie, nie chciał wypuścić jej z domu. Przyzwyczał się do jej obecności. Byli do siebie podobni, bardzo podobni; własne towarzystwo odpowiadało im chyba bardziej niż jakiegokolwiek inne. Lecz

tęgo wieczora spojrział na nią tak, jakby zobaczył kogoś innego, osobę, do której nie był przyzwyczajony. Jeśli zacznie ją widzieć jako kogoś różniącego się od siebie, jeśli ona zacznie z nim wygrywać, jeśli już nie będzie jego małą dziewczynką, może zacząć zastanawiać się, kim ona jest - i jaki z niej pożytek.

A jaki z niej pożytek, do czego może się przydać? Oczywiście do kontynuowania rodu Falco. A potem co? Albo Herman Marquez, albo Herman Macmilan. I nic nie będzie można na to poradzić. Zostanie żoną. Zostanie synową. Będzie się czesać w kok, krzyczeć na służbę, słuchać, jak mężczyźni wesoło się zabawiają po kolacji, i rodzić dzieci. Co roku jedno. Małe Marquezy Falco. Małe Macmilany Falco. Eva, jej dawna koleżanka, wyszła za mąż mając szesnaście lat, urodziła troje dzieci i spodziewa się czwartego. Mąż Ewy, syn Radnego Aldo Di Giulio Hertz, bije ją, a ona jest z tego dumna. Pokazywała jej sińce mrując: - Aldito ma taki temperament, jest taki nieobliczalny, jak chłopiec, który wpadł w złość.

Luz wykrzywiła się i splunęła. Splunęła na kafelki podłogi w swoim pokoju i śliny nie wytarła. Patrzyła na szarawą plamkę i żałowała, że nie może w niej utopić najpierw Hermana Marqueza, a potem Hermana

Macmilana. Poczwała się brudna. Jej pokój jest ciasny, brudny: cela więzienna. Uciekła przed tą myślą i z pokoju. Wypadła do sieni, uniosła spódnice i wspięła się po drabinie do swego miejsca pod dachem, gdzie nikt nigdy nie zaglądał. Usiadła na zakurzonej podłodze - dach, głośny deszczem, był za nisko, żeby mogła stanąć - i uwolniła myśli.

Od razu pobiegły z dala od tego domu i tej godziny, z powrotem w rozleglejszy czas.

Pewnego wiosennego popołudnia na placu zabaw obok szkoły dwóch chłopców z Miasta Chat grało w łapajkę, Lev i jego przyjaciel Timmo. Luz stała na ganuku szkoły i przyglądała się im, podziwiając widok, wychylenie i wyciągnięcie pleców i ręki, giętki skręt ciała, lot piłki przez światło. Jak gdyby wykonywali jakąś bezgłosną muzykę, muzykę ruchu. Światło padało poziomo złotem spod chmur burzowych, od zachodu, znad Zatoki Songe; ziemia była jaśniejsza niż niebo. Nasyp z nagiej ziemi za placem był złocisty, a wznoszące się nad nim chwasty płonęły. Ziemia płonęła. Lev czekał na długie podanie, z odchyłoną w tył głową, nadstawionymi rękoma, a ona stała patrząc, zdumiona pięknem.

Grupka chłopców ze Stolicy wyszła zza budynku

szkolnego, by grać w piłkę nożną. Krzyknęli na Leva, żeby oddał piłkę, w chwili gdy wyskoczył z wyciągniętą ręką do wysokiego podania Timma. Złapał piłkę, roześmiał się i odrzucił ją innym.

Gdy przechodził razem z Timmem obok ganku, zbiegła po stopniach. - Lev!

Zachód płońał za nim, a on stał, czarny, pomiędzy nią i słońcem.

- Dlaczego tak im oddałeś piłkę?

Pod światło nie widziała jego twarzy. Timmo, wysoki, przystojny chłopak, trzymał się nieco z tyłu i nie patrzył jej w oczy.

- Dlaczego dajesz im sobą pomiatać?

Lev w końcu odpowiedział. - Nie daję. - Podeszła bliżej i zobaczyła, że patrzy wprost na nią.

- Mówią - „Dawaj!” A ty tak po prostu dajesz...

- Oni chcą grać, a my się tylko wygłupialiśmy. Mieliśmy już swoją kolej.

- Ale oni cię o to nie proszą, oni ci rozkazują. Nie masz ani trochę dumy?

Oczy Lev miał ciemne, twarz ciemną i surową, niedokończoną; uśmiechnął się słodkim, pełnym zaskoczenia uśmiechem. - Dumy? Jasne. Gdybym nie miał, nie oddałbym piłki, kiedy przyszła ich kolej.

- Dlaczego zawsze masz pełno odpowiedzi?
- Bo życie jest pełne pytań.

Roześmiał się, lecz patrzył na nią, jak gdyby sama była pytaniem, niespodziewanym pytaniem bez odpowiedzi. I miał rację, bo zupełnie nie wiedziała, dlaczego tak go zaczepiła.

Timmo stał obok, trochę skrepowany. Kilku chłopców na placu zabaw już na nich patrzyło: dwaj chłopcy z chat rozmawiający z senhoritą.

Bez słowa cała trójka odeszła od budynku szkolnego na biegnącą poniżej ulicę, gdzie nie można ich było dojrzeć z placu.

- Gdyby którykolwiek z nich krzyknął na kogoś spośród siebie jak na was - powiedziała Luz - byłaby bójka. Dlaczego wy nie walczyście?

- O piłkę?
- O cokolwiek!
- Walczymy.
- Kiedy? Jak? Po prostu odchodzicie.
- Codziennie chodzimy do Stolicy, do szkoły - odparł Lev. Nie patrzył teraz na nią, gdy szli obok siebie, a jego twarz wyglądała jak zawsze. Twarz zwykłego chłopca, uparta, zacięta. Z początku niezrozumiała, o co mu chodzi, a potem nie wiedziała, co powiedzieć.

- Pięści i noże są najmniej ważne - powiedział i może własny głos wydał mu się pompatyczny, nieco chępliwy, bo zwrócił się do Luz ze śmiechem i wzruszeniem ramion - a słowa też nie na wiele się zdadzą!

Wyszli z cienia jakiegoś domu w złociste światło. Słońce leżało jak roztopiona plama pomiędzy ciemnym morzem i ciemnymi chmurami, a dachy Stolicy płonęły nieziemskim ogniem. Trójka młodych ludzi przystanąła, wpatrzona w len potężny blask i ciemność na zachodzie. Wiał im w twarze zimny morski wiatr pachnący solą, przestrzenią i dymem drzewnym.

- Nie rozumiesz - odezwał się Lev - potrafisz to zrozumieć... potrafisz zrozumieć, jak powinno być, jak jest.

Ujrzała jego oczyma, ujrzała wspaniałość, Stolicę, jaka powinna być i jaka jest.

Chwila minęła. Mgiełka wspaniałości nadal płonęła między morzem i burzą, Stolica nadal stała złocista i zagrożona na wiecznym brzegu; lecz za nimi ulicą schodzili ludzie rozmawiając i nawołując się. To dziewczęta z Miasta Chat, które zostały w szkole, żeby pomóc nauczycielkom w sprzątaniu sal. Przyłączyły się do Timma i Leva, pozdrawiając Luz uprzejmie, ale, jak Timmo, ostrożnie. Jej droga do domu prowadziła na lewo, w dół do Stolicy; ich na prawo, pod górę

urwiskiem i dalej Drogą do Miasta.

Schodząc stromą ulicą spojrzała do tyłu na wspinających się pod górę. Dziewczęta były ubrane w robocze spodnie i bluzy o jasnych, miękkich kolorach. Dziewczęta ze Stolicy pokpiwały sobie z noszących spodnie dziewcząt z Miasta Chat, ale szyły sobie spódnice z materiału z Miasta, jeśli tylko udało im się go zdobyć, bo był delikatniejszy i lepiej ufarbowany niż jakakolwiek tkanina utkana w Stolicy. Spodnie i bluzy z długimi rękawami i stójkami, jakie nosili chłopcy, miały naturalny kremowobiały kolor włókna jedwabnego ziela. Nad tą bielą gęste, miękkie włosy Leva wydawały się bardzo czarne. Szedł za innymi z Południową Bryzą, piękną dziewczyną o cichym głosie. Po tym, jak Lev trzymał głowę. Luz wiedziała, że słucha tego cichego głosu i uśmiecha się.

- Pieprzę! - powiedziała Luz i ruszyła w dół ulicą. Długie spódnice trzepotały wokół jej kostek. Zbyt dobrze ją wychowano, żeby znała przekleństwa. Znała „Niech to diabli!”, bo tak mówił jej ojciec, nawet w obecności kobiet, kiedy się zdenerwował. Ona sama nigdy nie mówiła „Niech to diabli!” - to była własność ojca. Ale dawno temu Eva powiedziała jej, że „pieprzę” to bardzo brzydkie słowo, więc używała go, gdy była



sama.

A tu pojawiła się jej duenna, kuzynka Lores, materializując się znikąd jak coto, jak coto z garbem, o paciorkowatych oczach i jakoś pierzasta; kuzynka Lores, o której Luz myślała, że zrezygnowała pół godziny temu i poszła do domu. - Luz Marina! Luz Marina! Gdzie byłaś? Czekałam i czekałam - biegłam całą drogę do Casa Falco i z powrotem do szkoły - gdzie byłaś? Dlaczego mówisz do siebie? Zwolnij, Luz Marina, ja umieram!

Lecz Luz nie chciała zwolnić dla biednej skrzeczącej kobiety. Szła przed siebie, walcząc z niespodzianymi łzami: łzami gniewu, bo nigdy nie mogła chodzić sama, nigdy nie mogła niczego zrobić samodzielnie, nigdy. Bo wszystkim zajmowali się mężczyźni. Wszystko szło tak, jak oni chcieli. A wszystkie starsze kobiety trzymały ich stronę. Żeby dziewczyna nie mogła sama chodzić ulicami Stolicy, bo mógłby ją obrazić jakiś pijany robotnik, i co z tego, że potem wsadzą go do więzienia albo obetną mu za to uszy? Dużo by z tego było pożytku. Reputacja dziewczyny byłaby zniszczona. Bo jej reputacja to to, co myślą o niej mężczyźni. Mężczyźni myśleli o wszystkim, robili wszystko, wszystkim się zajmowali, tworzyli wszystko, tworzyli prawa,

łamali prawa, karali tych, którzy prawo złamali; dla kobiet nic było już miejsca, nie było Stolicy dla kobiet. Nigdzie, nigdzie, tylko we własnych pokojach, samotne.

Nawet mieszkaniec Miasta Chat miał więcej wolności niż ona. Nawet Lev, który nie chciał walczyć o piłkę, ale który stawiał czoła nocy wyłaniającej się z krańców świata i który śmiał się z praw. Nawet Południowa Bryza, która jest taka cicha i łagodna - Południowa Bryza mogła iść do domu z kimkolwiek chciała, trzymając się za ręce, przez szerokie pola w wieczornym wietrze, uciekając przed deszczem.

Deszcz bębnił w pokryty dachówkami dach nad strychem, gdzie schroniła się tego dnia trzy lata temu, kiedy w końcu dotarła do domu z kuzynką Lores sapiącą i skrzeczącą za nią przez całą drogę.

Deszcz bębnił w pokryty dachówkami dach nad strychem, gdzie schroniła się dzisiaj.

Trzy lata od tego wieczora w złocistym świetle. I nic, czym mogłaby się pochwalić. Teraz nawet mniej, niż przedtem. Trzy lata temu chodziła jeszcze do szkoły; wierzyła, że po skończeniu szkoły będzie w czarodziejski sposób wolna.

Więzienie. Cała Victoria jest więzieniem, krymina-

łem. I żadnego wyjścia. Nic ma nawet dokąd iść.

Tylko że Lev poszedł i gdzieś daleko na północy, w głuszy, znalazł nowe miejsce, miejsce, dokąd można pójść... I wrócił stamtąd, i postawił się i powiedział Szefowi Falco „Nie”.

Lecz Lev był wolny, zawsze był wolny. Dlatego w jej życiu nigdy ani przedtem, ani potem nie było takiej chwili jak wtedy, gdy stała z nim na wzniesieniu nad jej Stolicą w złocistym świetle przed burzą i razem z nim zobaczyła, czym jest wolność. Przez jedną chwilę. Powiew morskiego wiatru, zetknięcie spojrzeń.

Nie widziała go od ponad roku. Odszedł z powrotem do Miasta Chat, do nowej osady, uwolnił się, zapomniał o niej. Dlaczegożby miał ją pamiętać? Dlaczegożby ona miała go pamiętać? Ma inne tematy do rozmyślań. Jest dorosłą kobietą. Musi stawić czoła życiu. Nawet jeśli życie ma jej do pokazania tylko zamknięte drzwi, a za zamkniętymi drzwiami żadnego pokoju.

## Rozdział 3

Dwa osiedla ludzi na planecie Victoria były od siebie odległe o sześć kilometrów. O ile mieszkańcy Miasta Szantih i Stolicy Victorii się orientowali, nie było żadnych innych kolonii.

Wielu ludzi miało pracę, która wymagała częstego chodzenia z jednego osiedla do drugiego, jak przeniesienie towarów czy suszenie ryb, lecz było jeszcze więcej takich, którzy mieszkali w Stolicy i nigdy nie udawali się do Miasta albo którzy mieszkali w jednej z rolniczych wiosek pod Miastem i jak rok długi nigdy nie chodzili do Stolicy.

Gdy niewielka grupa składająca się z czterech mężczyzn i kobiety przysła Drogą do Miasta na krawędź urwiska, niektórzy z nich patrzyli z żywą ciekawością i niemałym podziwem na rozpostartą pod nimi na pagórkowatym brzegu Zatoki Songe Stolicę; zatrzymali się tuż pod Wieżą Pomnikową - ceramiczną powłoką jednego ze statków, które przyniosły na Victorię

pierwszych osadników - lecz nie poświęcili wiele czasu na zadzieranie ku niej głowy; był to obiekt znajomy, oszałamiający swą wielkością, ale szkieletowy i dość żałosny na szczycie skalnej ściany; odważnie wskazujący gwiazdy, lecz służący jedynie za punkt orientacyjny dla łodzi rybackich na morzu. Był martwy; Stolica żyła.

- Spójrzcie tylko - odezwał się Hari, najstarszy w grupie. - Nie zdołalibyście policzyć tych wszystkich domów, nawet gdybyście siedzieli tu godzinę! Są ich setki!

- Zupełnie jak miasto na Ziemi - powiedział z dumą właściciela ktoś inny, kto częściej odwiedzał miasto.

- Moja matka urodziła się w Moskwie, w Czarnej Rosji - rzekł trzeci mężczyzna. - Mówiła, że Stolica na Ziemi byłaby małym miastem. - To jednak było zbyt abstrakcyjne dla ludzi, których życie upływało wśród mokrych pól i tulących się do siebie wiosek, w ścisłym nieprzerwanym związku ciężkiej pracy i ludzkiego koleżeństwa, poza którymi rozciągało się ogromne, obojętne pustkowia. - Pewnie miała na myśli duże miasto? - powiedział ktoś z lekkim niedowierzaniem. I stali tak pod pustą skorupą statku kosmicznego, spoglądając na jaskrawo rdzawy kolor dachówek i strzech, dymiące

kominy, geometryczne linie ścian i ulic, nie patrząc zaś na rozległe połączenie plaż, zatoki i oceanu, pustych dolin, pustych wzgórz, pustego nieba, które otaczały Stolicę przerażającym kręgiem opuszczenia.

Gdy zeszli obok budynku szkoły na ulice, mogli zupełnie zapomnieć o obecności pustkowia. Ze wszystkich stron otaczały ich dzieła ludzkości. Z obu stron drogi gęsto stały domy o wysokich ścianach i małych oknach. Ulice były wąskie i pokryte trzydziestocentymetrową warstwą błota. Gdzieniegdzie ułożono w błocie przejścia z desek, ale były one w złym stanie i śliskie od deszczu. Przechodniów widziało się niewiele, lecz czasami otwarte drzwi pozwalały zajrzeć na zatłoczony wewnętrzny dziedziniec domu, pełen kobiet, prania, dzieci, dymu i głosów. A potem znów stłoczona, groźna cisza ulicy.

- Cudowne! Cudowne! - westchnął Hari.

Przeszli obok fabryki, gdzie żelazo z rządowych kopalni i odlewni przetwarzano na narzędzia, sprzęty kuchenne, klamki i tak dalej. Drzwi były szeroko otwarte, więc zatrzymali się i zajrzeli w przesycony siarką mrok rozświetlony sypiącymi skrami paleniskami i rozbrzmiewający uderzeniami młotów, ale jakiś robotnik krzyknął, żeby odeszli. Więc ruszyli dalej

na dół do ulicy Zatokowej i na widok jej długości, szerokości i prostości Hari znów powiedział: - Cudowne! - Szli za Verą, która wiedziała, jak poruszać się w Stolicy, pod górę ulicą Zatokową do Kapitolu. Na widok Kapitolu Hari zaniemówił i wytrzeszczał tylko wzrok.

Był to największy budynek na świecie - wznosił się czterokroć wyżej od każdego zwykłego budynku - a zbudowano go z litego kamienia. Jego wysoki ganek podtrzymywały cztery kolumny, z których każda była pojedynczym ogromnym pniem drzewa pierścieniowego, żłobionym i pobielonym, z, rzeźbionymi i pozłacanymi ciężkimi kapitelami. Goście przechodzący między tymi kolumnami i wchodzący w szeroko rozwarty i wysoki portal czuli się mali. Przedśionek, wąski, lecz leż, bardzo wysoki, miał otynkowane ściany ozdobione freskami przed laty od podłogi do sufitu. Na ich widok ludzie z Szantih znów stanęli i przypatrywali się im w milczeniu, przedstawiały one bowiem sceny z życia na Ziemi.

W Szantih mieszkali jeszcze ludzie pamiętający Ziemię i chętnie o niej opowiadający, lecz te pięćdziesięcioletnie wspomnienia w większości dotyczyły rzeczy widzianych przez dzieci. Niewielu już zostało takich, którzy w czasie wygnania byli dorośli. Niektó-

rzy z nich spędzili całe lata na spisywaniu historii Ludu Pokoju, myśli jego przywódców i bohaterów, na sporządzaniu opisów Ziemi i szkiców jej odległej, przerażającej historii. Inni rzadko mówili o Ziemi; najwyżej śpiewali swym dzieciom urodzonym na wygnaniu lub dzieciom swych dzieci jakąś starą piosenkę pełną dziwnych imion i słów, albo opowiadali im bajki o dzieciach i czarownicy, o trzech niedźwiedziach, o królu, który jeździł na tygrysie. Dzieci słuchały z okrągłymi oczyma. - Co to jest niedźwiedź? Czy król też jest w paski?

Natomiast pierwsze pokolenie mieszkańców Stolicy, wysłane na Victorię pięćdziesiąt lat wcześniej niż Lud Pokoju, pochodziło w większości z wielkich miast: Buenos Aires, Rio, Brasillii i innych ośrodków Brazyliameryki. Niektórzy z nich byli ongiś potężnymi ludźmi i mieli do czynienia ze sprawami dziwniejszymi nawet od czarownic i niedźwiedzi. Malarz fresków stworzył więc sceny, które patrzącym teraz na nie ludziom wydawały się niezwykle cudowne: wieże pełne okien, ulice pełne maszyn na kołach, niebo pełne maszyn ze skrzydłami; kobiety o krwistoczerwonych ustach, ubrane w lśniące szaty ozdobione klejnotami; wysocy, silni mężczyźni robiący niewiarygodne rze-



czy: siedzący na wielkich czworonogach lub za błyszczącymi kłocami drewna, z podniesionymi rękoma krzyczący coś do ogromnych tłumów, nacierający wśród nieżywych ciał i kałuż krwi na czele szeregów jednakowo ubranych innych ludzi, pod niebem pełnym dymu i wybuchów ognia... Goście z Szantih musieliby albo stać tam i patrzeć przez tydzień, żeby obejrzeć wszystko, albo od razu szybko przejść obok malowideł, ponieważ nie powinni się spóźnić na zebranie Rady. Lecz wszyscy jeszcze raz zatrzymali się przed ostatnim freskiem, różniącym się od innych. Zamiast namalowanych twarzy, ognia, krwi i maszyn widać było tylko czerń. W dolnym lewym rogu znajdował się błękitno-zielony krążek, a wysoko w prawym rogu jeszcze jeden; pomiędzy nimi i wokół nich nic - czerń. Dopiero gdy przyjrzało się tej czerni bliżej, można było zobaczyć, że pokrywają ją niezliczone błyski gwiazd, a w końcu dostrzegało się delikatnie zarysowany, srebrzysty statek kosmiczny, nie dłuższy od skrawka obciętego paznokcia, zawieszony w pustce między światami.

Przy drzwiach za ogromnym freskiem stało dwóch imponujących strażników, odzianych jednakowo w szerokie spodnie, kaftany, wysokie buty, pasy. Mieli

przy sobie nie tylko zwinięte bicze zatknięte za pasy, ale także broń palną: długie muszkiety z ręcznie rzeźbionymi kolbami i ciężkimi lufami. Większość ludzi z Szantih słyszała o strzelbach, ale nigdy ich nie widziała, więc goście przyglądali się im z ciekawością.

- Stop!- odezwał się jeden ze strażników.

- Co? - powiedział Hari. Ludzie z Szantih wcześniej przejęli język używany w Stolicy Victorii, gdyż posługiwali się wieloma różnymi językami i potrzebowali wspólnej mowy dla siebie i w kontaktach ze Stolicą. Niektórzy jednak ze starszych mieszkańców nie nauczyli się wszystkich zwrotów używanych w Stolicy. Hari nigdy przedtem nie słyszał słowa „stop”.

- Zatrzymać się tu - powiedział strażnik.

- Dobrze - odparł Hari. - Mamy tu zaczekać - wyjaśnił reszcie.

Zza zamkniętych drzwi Sali Rady dochodziły głosy przemawiających. Ludzie z Szantih zaczęli odchodzić w głąb korytarza, aby skrócić sobie oczekiwanie oglądaniem fresków; strażnicy rozkazali im czekać w grupie, więc powoli wrócili pod drzwi. W końcu je otworzono i delegacja z Szantih weszła pod eskortą strażników do Sali Rady Rządu Victorii: dużego pomieszczenia wypełnionego szarawym światłem padającym z

wysoko umieszczonych okien. W przeciwległym końcu znajdowało się podwyższenie, na którym stało półkolem dziesięć foteli; na ścianie za nimi wisiała płachta czerwonego materiału z błękitną tarczą w środku otoczoną dziesięcioma żółtymi gwiazdami. Naprzeciw podwyższenia siedziało tu i ówdzie na poustawianych w rzędy ławkach kilkunastu mężczyzn. Z dziesięciu foteli na podwyższeniu zajęte były tylko trzy.

Kędzierzawy mężczyzna siedzący przy stoliku tuż pod podwyższeniem wstał i oznajmił, że delegacja z Miasta Chat poprosiła o zezwolenie na zwrócenie się do Najwyższego Plenum Kongresu i Rady Victorii.

- Zezwolenie zostaje udzielone - powiedział jeden z mężczyzn na podwyższeniu.

- Podejdźcie - nie, nie tędy, bokiem... - wyszeptał kędzierzawy z przejęciem, ustawiając delegację obok podium. - Kto jest waszym rzecznikiem?

- Ona - odparł Hari, wskazując głową Verę.

- Podaj swe imię zgodnie z Rejestrem Narodowym. Masz się zwracać do kongresmanów „Panowie”, a do Radnych „Wasze Ekscelencje” - wyszeptał urzędnik, aż się marszczył z podniecenia. Hari obserwował go z dobrotliwym rozbawieniem, jakby to był nietoperz workowaty. - Idź już, idź! - wyszeptał spocony urzęd-

nik.

Vera postąpiła krok do przodu. - Nazywam się Vera Adelson. Przyszliśmy, aby omówić nasze plany wysłania na północ grupy ludzi w celu założenia nowej osady. Wcześniej nie mieliśmy czasu, aby omówić tę sprawę, i stąd powstało nieporozumienie i różnica zdań. Wszystko to zostało już wyjaśnione. Jan ma mapę, o którą prosił Radny Falco i z przyjemnością przekazujemy ten egzemplarz dla Archiwum. Badacze ostrzegają, że nie jest bardzo dokładna, ale w ogólnych zarysach daje ona pojęcie o terenach na północ i wschód od Zatoki Songe, włączając kilka możliwych do przebycia szlaków i brodów. Żywimy nadzieję, że przyda się naszej społeczności. - Jeden z mężczyzn wyjął zwój papieru liściowego, który następnie wziął zaaferowany urzędnik, zerkając w górę na Radnych o pozwolenie.

Vera stała w szarym świetle cicho jak posąg, ubrana w spodnie i bluzę z białego jedwabiu drzewnego. Głos miała spokojny.

- Sto jedenaście lat temu rząd Brazylameryki wysłał do tego świata kilka tysięcy ludzi. Pięćdziesiąt sześć lat temu rząd Kanameryki wysłał kolejne dwa tysiące. Te dwie grupy nie stopiły się, ale współpracowały i jak

dotąd Stolica i Miasto, choć nadal odrębne, są od siebie wzajemnie głęboko zależne.

Pierwsze dziesięciolecia były bardzo trudne dla obu grup; wielu ludzi zmarło. Nauczyliśmy się, jak tu żyć, i umiera coraz mniej ludzi. Rejestr nie jest prowadzony od lat, ale oceniamy ludność Stolicy na około osiem tysięcy, a ludność Szantih po naszym ostatnim spisie wynosiła cztery tysiące trzysta dwadzieścia.

Na ławkach powstało pełne zdumienia poruszenie.

- Uważamy, że bez konieczności intensywnej uprawy ziemi i stałego ryzyka głodu rejon Zatoki Songe może wyżywić najwyżej dwanaście tysięcy ludzi. Uważamy więc, że nadszedł czas, aby niektórzy z nas przenieśli się gdzieś indziej i założyli nową osadę. Przecież jest tu mnóstwo miejsca.

Falco uśmiechnął się lekko z wyżyn fotela Radnego.

- Ponieważ Miasto i Stolica nie połączyły się, ale nadal tworzą dwie oddzielne grupy ludzi, sądzymy, że wspólna próba założenia nowej osady nie byłaby rozsądna. Pionierzy będą musieli razem mieszkać, pracować, polegać na sobie i, oczywiście, zawierać mieszane małżeństwa. Wysilek utrzymania dwóch kast społecznych byłby w takiej sytuacji nie do udźwignięcia. W każdym razie wszyscy ci, którzy chcą założyć

nową osadę, to mieszkańcy Szantih.

O wyprawie na północ myśli około dwustu pięćdziesięciu rodzin, jakiś tysiąc ludzi. Nie wyruszą wszyscy naraz, ale w grupach po parę setek. Miejsca na farmach przez nich opuszczanych zostaną zajęte przez pozostających tu młodych ludzi. Także ze względu na to, że Stolica robi się ciasna, niektóre rodziny tu mieszkające mogą zechcieć przeprowadzić się na wieś. Będą serdecznie powitane. Nawet gdy jedna piąta naszych rolników uda się na północ, nie powinno być spadku w produkcji żywności. No i oczywiście będzie o tysiąc osób mniej do wyżywienia. Oto nasz plan. Ufamy, że w drodze dyskusji, krytyki i wspólnego dążenia do prawdy możemy razem osiągnąć pełne porozumienie w sprawie dotyczącej nas wszystkich.

Zapadło krótkie milczenie.

Mężczyzna siedzący na jednej z ławek wstał, by coś powiedzieć, ale usiadł pośpiesznie, gdy zobaczył, że Radny Falco właśnie ma zamiar zabrać głos.

- Dziękuję, senhora Adelson - rzekł Falco. - Zostaniecie poinformowani o decyzji Rady w sprawie tej propozycji. Senhor Brown, jaki jest następny punkt posiedzenia?

Kędzierzawy urzędnik wykonywał jedną ręką go-

---

rączkowe gesty w stronę ludzi z Szantih, drugą usiłując jednocześnie znaleźć odpowiedni papier w stercie na stoliku. Dwaj strażnicy podeszli szybkim krokiem i ustawili się z obu stron pięciorga ludzi z Miasta. - Dalej! - rozkazał jeden z nich.

- Przepraszam - powiedziała Vera łagodnie. - Radny Falco, obawiam się, że znowu się nie rozumiemy. Podjęliśmy już wstępną decyzję. Pragniemy podjąć teraz ostateczną we współpracy z Radą. Ani my, ani Rada nie może decydować samodzielnie w sprawie dotyczącej nas wszystkich.

- Źle mnie rozumiesz - powiedział Falco patrząc w powietrze nad głową Very. - Przedstawiliście propozycję. Decyzje zostanie podjęta przez rząd Victorii.

Vera uśmiechnęła się. - Wiem, że nie jesteście przyzwyczajeni, aby na waszych zebraniach przemawiały kobiety. Może będzie lepiej, jeśli w naszym imieniu przemówi Jan Serov. - Cofnęła się, a zastąpił ją duży, jasnoskóry mężczyzna. - Widzicie - powiedział, jakby ciągnąc zdanie Very - najpierw musimy ustalić, czego chcemy i jak to przeprowadzić, a kiedy już się co do tego zgodzimy, przeprowadzimy to.

- Sprawa jest zamknięta - odezwał się łysy Radny Helder siedzący na podwyższeniu po lewej stronie

Falco. - Jeśli w dalszym ciągu będziecie zakłócać przebieg obrad Plenum, trzeba będzie usunąć was siłą.

- Nie zakłócamy przebiegu obrad, próbujemy je przeprowadzić - powiedział Jan. Nie wiedział, co robić ze swymi dużymi rękoma zwisającymi niezręcznie wzdłuż ciała, z na wpół zaciśniętymi dłońmi, chcącymi ująć nieobecną motykę. - Musimy tę sprawę omówić.

- Straż - powiedział bardzo cicho Falco.

Gdy strażnicy znów postąpili do przodu, Jan spojrział ze zdumieniem na Verę, a Hari odezwał się głośno: - Och, proszę się uspokoić, chcemy tylko trochę rozsądnie pogadać, chyba to oczywiste.

- Wasza Ekscelencjo! Każ wyprowadzić tych ludzi! - krzyknął jakiś mężczyzna z ławek, a inni zaczęli wykrzykiwać, jak gdyby chcieli, aby usłyszeli ich Radni na podwyższeniu. Ludzie z Szantih stali spokojnie, choć Jan Serov i młody King patrzyli szeroko rozwartymi oczyma na zwrócone ku nim rozgniewane, krzyczące twarze. Falco rozmawiał przez chwilę z Helderem, a potem dał jakiś sygnał jednemu ze strażników, który biegiem opuścił salę.

Falco uniósł rękę nakazując milczenie.

- Musicie zrozumieć, ludzie - powiedział zupełnie łagodnie - że nie jesteście członkami rządu, ale jego



---

poddanymi. „Zadecydowanie” o jakimś „planie” wbrew decyzji rządu jest aktem buntu. Aby jasno uzmysłowić to wam i całej reszcie, zostaniecie zatrzymani i posiadzicie w areszcie do czasu, gdy będziemy pewni, że został przywrócony zwykły porządek.

- Co to jest „areszt”? - szepnął Hari do Very, która odpowiedziała: - Więzienie. - Hari skinął głową. Urodził się w więzieniu, w Kanameryce; nie pamiętał tego, ale szczyił się tym faktem.

Do sali wpadło ośmiu strażników i zaczęło popychać ludzi z Szantih do drzwi. - Pojedynczo! Prędzej! Nie uciekajcie, bo będę strzelał! - komenderował dowódca. Nikt z piątki nie wykazywał najmniejszego zamiaru ucieczki, stawiania oporu lub protestu. King, popchnięty przez niecierpliwego strażnika, powiedział: - Och, przepraszam - jakby wszedł w drogę komuś, kto się śpieszy. Strażnicy przeprowadzili grupkę więźniów obok fresków, pod kolumnami, na ulicę. Tu zatrzymali się. - Dokąd? - zapytał jeden z nich dowódcę.

- Do więzienia.

- Ona też?

Wszyscy spojrzeli na Verę, wyglądającą porządnie i delikatnie w białym jedwabiu. Odpowiedziała im spojrzeniem ze spokojnym zainteresowaniem.

- Szef powiedział do więzienia - powiedział dowódca, marszcząc brwi.

- Jezumario, panie, nie możemy jej tam wsadzić - odezwał się mały strażnik o ostrym spojrzeniu i ospowatej twarzy.

- Tak powiedział szef.

- Ale to przecież pani.

- Zaprowadź ją do domu Szefa Falco i niech on zdecyduje, kiedy wróci - podsunął inny, bliźniak Ospowatego, ale bez blizn.

- Dam słowo, że zostanę, gdziekolwiek zdecydujecie, ale wolałabym zostać z przyjaciółmi - rzekła Vera.

- Proszę się zamknąć, pani! - zawołał dowódca, łapiąc się za głowę. - Dobra. Wy dwaj zabierzcie ją do Casa Falco.

- Inni też dadzą słowo, jeśli... - zaczęła Vera, ale dowódca odwrócił się do niej plecami i zawołał: - Dobra! Ruszajcie! Pojedynczo!

- Tędy, senhora - powiedział Ospowaty.

Na zakręcie Vera przystanęła i uniosła rękę pozdrawiając swych czterech towarzyszy znajdujących się już daleko od niej. - Pokój! Pokój! - odkrzyknął ochoczo Hari. Ospowaty wymruczał coś i splunął treściwie na bok. Dwaj strażnicy byli ludźmi, jakich Vera obawia-

łaby się, gdyby spotkała ich samotnie na ulicy, ale gdy szli teraz z obu stron, ich chęć ochrony jej widoczna była nawet w sposobie poruszania się. Zdała sobie sprawę, że uważają się za jej wybawicieli.

- Czy więzienie jest bardzo nieprzyjemne? - spytała.

- Pijani, bójki, smród - odpowiedział Ospowaty, a jego bliźniak dodał z pełnym powagi poczuciem przyzwoitości: - To nie miejsce dla pani, senhora.

- A czy to właściwsze miejsce dla mężczyzny? - zapytała, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Casa Falco stał tylko o trzy ulice od Kapitolu: duży, niski, biały budynek z czerwonymi dachówkami. Pulchna pokojówka, która podeszła do drzwi, zmieszła się na widok dwóch żołnierzy i obcej senhory na progu; dygała, sapała i szeptała: - O, jezumario! O, jezumario! - i uciekła, zostawiając ich na progu. Po długiej przerwie, podczas której Vera rozmawiała ze strażnikami i dowiedziała się, że rzeczywiście są bliźniakami, nazywają się Emiliano i Anibal i lubią pracę strażników, ponieważ dostają dobrą zapłatę i nie muszą słuchać byle kogo, ale Anibalowi - Ospowatemu - nie podoba się, że musi tak dużo stać, bo bołą go od tego nogi i puchną mu kostki - wtedy do sieni weszła dziewczyna o prostych plecach i rumianych policz-

---

kach, ubrana w sute spódnice. - Jestem senhorita Falco - powiedziała zerkając na strażników, ale mówiąc do Very. W tej chwili zmienił się wyraz jej twarzy. - Senhora Adelson, nie poznałam pani. Przepraszam. Proszę wejść!

- To trochę żenujące, kochanie, bo widzisz, nie przyszłam w odwiedziny, ale do więzienia. Ci panowie byli bardzo uprzejmi. Uważali, że więzienie to nie miejsce dla kobiet, więc przyprowadzili mnie tutaj. Jeśli ja wejdem, to oni chyba też będą musieli, żeby mnie pilnować.

Brwi Luz Mariny opuściły się delikatną, prostą linią. Przez chwilę stała w milczeniu. - Mogą zaczekać tu w sieni - rzekła. - Usiądźcie na tych skrzyniach - zwróciła się do Anibala i Emiliano. - Senhora Adelson będzie ze mną.

Bliźniacy wśliznęli się sztywno przez drzwi za Vera.

- Proszę wejść - rzekła Luz, dając przejście z formalną grzecznością. Vera weszła do Casa Falco pełnego wyściełanych drewnianych krzeseł i sof, intarsjowanych stołów, ogromnych, zimnych kominków, gdzie kamienne płyty podłóg układały się we wzory, a okna były z grubego szkła - do swego więzienia. - Proszę usiąść - powiedziała jej strażniczka i podeszła do we-

wewnętrznych drzwi, aby polecić służbie rozpalenie ognia i przyniesienie kawy.

Vera nie usiadła. Gdy Luz zwróciła się do niej, popatrzyła na dziewczynę z podziwem. - Kochanie, jesteś uprzejma i miła. Jednak mnie rzeczywiście zaaresztowano - z rozkazu twego ojca.

- To mój dom - odparła Luz. Jej głos był tak suchy jak jej ojca. - Ten dom jest gościnny dla odwiedzających.

Vera cicho, łagodnie westchnęła i usiadła. Wiatr na ulicy rozburzył jej siwe włosy; przygładziła je i złożyła szczupłe, smagłe ręce na podołku.

- Dlaczego cię aresztował? - Stłumione poprzednio pytanie wystrzeliło tym gwałtowniej. - Co takiego zrobiłaś?

- No cóż, przyszliśmy i usiłowaliśmy porozmawiać z Radą o planach nowej osady.

- Wiedzieliście, że was zaaresztują?
- Omawialiśmy to jako jedną z możliwości.
- Ale o co w tym wszystkim chodzi?
- O nową osadę - chyba o wolność. Ale, doprawdy, kochanie, nie wolno mi o tym z tobą rozmawiać. Obiecałam, że będę więźniem, a więźniowie nie mają głosić swych przestępstw.

- Dlaczego? - powiedziała Luz lekceważąco. - Czy to zaraźliwe, jak przeziębienie?

Vera roześmiała się. - Tak! Wiem, że się spotkałyśmy, ale nie wiem, gdzie.

Zmieszana pokojówka weszła pośpiesznie z tacą, postawiła ją na stole i szybko wyszła, zasapana. Luz naląła czarny, gorący napój - zwany kawą, sporządzany z prażonych korzeni miejscowej rośliny - do czerwonych glinianych kubków.

- Byłam na święcie w Mieście Chat rok temu - powiedziała. Sucha apodyktyczność zniknęła z jej nieśmiało teraz brzmiącego głosu. - Żeby zobaczyć tańce. I kilka razy mówiłaś coś w szkole.

- Oczywiście! Ty, Levi wszyscy inni trzymali się w szkole razem! Znałaś więc Timma. Czy wiesz, że zmarł podczas podróży na północ?

- Nie. Nie wiedziałam. Na pustkowiu - powiedziała dziewczyna i po tym ostatnim słowie zapadła krótka cisza.

- Czy Lev... czy Lev jest teraz w więzieniu?

- Nie przyszedł z nami. Wiesz, w czasie wojny nie stawia się wszystkich żołnierzy w jednym miejscu. - Vera sączyła kawę z odzyskaną pogodą ducha i leciutko się skrzywiła z powodu smaku.

- Wojny?
- No, wojny, ale oczywiście bez walki. Może to bunt, jak mówi twój ojciec. A może, taką mam nadzieję, tylko nieporozumienie. - Luz nadal nie pojmowała. - Wiesz, co to jest wojna?
- O, tak. Setki ludzi zabijających się nawzajem. Historia Ziemi w szkole była ich pełna. Ale myślałam... że twoi ludzie nie chcą walczyć?
- Nie - zgodziła się Vera. - My nie walczymy. W każdym razie nie nożami i strzelbami. Ale kiedy już zgodzimy się, że coś powinno zostać zrobione lub też nie, stajemy się bardzo uparci. A gdy napotykamy na inny upór, może z tego powstać wojna, walka idei, jedyna wojna, jaką można wygrać. Rozumiesz?
- Luz najwyraźniej nie rozumiała.
- No dobrze - powiedziała Vera bez pośpiechu - zobaczysz.

## Rozdział 4

Drzewo pierścieniowe z Victorii prowadzi podwójne życie. Rozpoczyna je jako pojedyncza, szybko rosnąca siewka o czerwonych ząbkowanych liściach. Gdy dojrzeje, bujnie rozkwita dużymi kwiatami koloru miodu. Żywią się nimi coto i inne drobne latające stworzenia zwabiane ich słodkimi płatkami, zapylając przy okazji gorzkawe jądro kwiatu pyłkiem przyczepionym do futra, łusek czy skrzydeł. Zapyłona pozostałość po kwiecie zwija się w nasienie o twardej łupinie. Na jednym drzewie mogą być ich setki, ale wszystkie wysychają, jedno po drugim spadają i w końcu na wysokiej gałęzi środkowej pozostaje jedno pojedyncze nasienie. Twarde i niesmaczne, rośnie, dopóki drzewo nie osłabnie i nie uschnie, a pozbawione liści gałęzie nie opadną smutno pod dużą, ciężką, czarną kulą. Aż jakiegoś popołudnia, gdy jesienne słońce pobłyскуje między deszczowymi chmurami, nasienie dokonuje swego nadzwyczajnego wyczynu: dojrzałe i ogrzane



słońcem wybucha z hukiem słyszalnym na wiele kilometrów. Wznosi się chmura pyłu i fragmentów skorupy, po czym powoli odpływa we wzgórza. Pozornie jest to koniec drzewa pierścieniowego.

Lecz w kręgu wokół pnia energicznie drąży sobie norki w wilgotnej, żyznej ziemi kilkaset nasionek wyrzuconych wybuchem ze skorupy. Po roku młode pędy już walczą o miejsce dla korzeni; słabsze giną. Po dziesięciu latach i przez kilka dalszych stuleci w idealnym kręgu wokół dawno nie istniejącego pnia rośnie od dwudziestu do sześćdziesięciu miedzianolistnych drzew. Gałęzie i korzenie rosną osobno, ale stykają się - czterdzieści drzew pierścieniowych; jeden pierścień drzew. Co osiem lub dziesięć lat zakwitają i rodzą drobne jadalne owoce, których pestki wydalane są przez coto, nietoperze workowate, dalekopadki, króliki drzewne i innych amatorów owoców. Gdy padnie na odpowiednie miejsce, nasionko takie kiełkuje i wyrasta z niego pojedyncze drzewo; ono z kolei rodzi pojedyncze nasienie i cykl powtarza się, od drzewa pierścieniowego do pierścienia drzew, bez końca.

Tam gdzie sprzyjała gleba, pierścienie nachodziły na siebie, ale wewnątrz pierścienia nie rosły żadne duże

rośliny, tylko różne gatunki trawy, mech i paprocie. Bardzo stare pierścienie tak wyjaławiały wewnętrzny krąg ziemi, że czasem zapadał się i tworzył zagłębienie, które wypełniało się wodą podskórną i deszczówką. Wówczas krąg wysokich, starych ciemnoczerwonych drzew odbijał się w spokojnej wodzie wewnętrznego stawu. Środek kręgu drzew zawsze był spokojnym miejscem. Wiekowe pierścienie z wewnętrznym stawem była najspokojniejsze, najdziwniejsze.

Dom Zebrań Szantih stał poza miastem w dolinie z takim właśnie pierścieniem: czterdzieści sześć drzew wznoszących swe kolumnowe pnie i brązowe korony wokół milczącego kręgu wody, wzburzonej od deszczu albo szarej niczym chmury, lub jasnej od blasku słonecznego wpadającego z chwilowo czystego nieba poprzez czerwone listowie. Poskręcane korzenie drzew dochodziły do krawędzi wody tworząc siedziska dla samotnych marzycieli. W Pierścieniu Domu Zebrań mieszkała para czapli. Czapla z Victorii nie była czaplą; nie była nawet ptakiem, lecz na opisanie nowego świata wygnańcy mieli jedynie słowa ze starego. Bładoszare stworzenia żyjące nad stawami, po parze na staw, miały szczudłowate nogi i żywiły się rybami -

były to więc czaple. Pierwsze pokolenie wiedziało, że nie są to prawdziwe czaple; że nie są to w ogóle ptaki ani gady, ani ssaki. Następne pokolenia nie wiedziały, czym te stworzenia nie są, lecz na swój sposób wiedziały, czym są. Były czaplami.

Wydawało się, że żyją tak długo jak drzewa. Nikt nigdy nie widział małej czapli albo jajka. Czasami tańczyły, ale jeśli potem następowało zespolenie, odbywało się ono pod osłoną nocy, na pustkowiu, bez świadków. Milczące, kanciaste, eleganckie, budowały gniazda w stertach czerwonych liści wśród korzeni drzew, łowiły stworzenia wodne na płycznach i dużymi, okrągłymi, bezbarwnymi jak woda oczyma patrzyły poprzez staw na istoty ludzkie. Nie bały się ludzi, ale nie pozwalały blisko do siebie podejść.

Osadnicy na Victorii nigdy jeszcze nie spotkali dużego zwierzęcia lądowego. Największym trawożercą był królik - tłuste, powolne, zajęcowate stworzenie całe pokryte delikatnymi, nie przepuszczającymi wody łuskami; największym drapieżnikiem była półmetrowa larwa o czerwonych oczach i zębach niczym rekin. W niewoli larwy gryzły i skrzeczały w nieprzytomnym szale, aż padły; króliki nie przyjmowały pokarmu, spokojnie się kładły i zdychały. W morzu spotykano

duże stworzenia: każdego lata przyływały do Zatoki Songe „wieloryby”, które chwymano na mięso. Na otwartym morzu widziano zwierzęta większe od wielorybów, ogromne jak wijące się wyspy. Wieloryby nie były wielorybami, ale nikt nie wiedział, czym te potwory są lub nie są. Nigdy nie zbliżały się do łodzi rybackich. Podobnie nigdy nie zbliżały się do ludzi zwierzęta równin i lasów. Nie uciekały. Po prostu zachowywały pewną odległość. Przez chwilę przyglądały się jasnym wzrokiem, a potem odchodziły, ignorując obcych.

Tylko dalekopadkom o kolorowych skrzydłach i coto zdarzało się zbliżyć do ludzi. Dalekopadka zamknięta w klatce składała skrzydła i zdychała, ale jeśli wyłożyło się dla niej miód, mogła założyć na dachu dom, budując tam podobny do gniazda niewielki zbiornik na deszczówkę, w którym, jako zwierzę na wpół wodne, spała. Coto najwyraźniej ufały swej szczególnej umiejętności przybierania co kilka minut innego wyglądu. Czasami wykazywały chęć latania wokół człowieka lub nawet siadania na nim. Ich zdolność zmieniania postaci miała w sobie coś ze złudzenia optycznego, może hipnozy, i Lev czasami zastanawiał się, czy coto nie wybierają ludzi, by na nich wypróbować swe

sztuczki. W każdym razie gdy zamknęło się coto w klatce, zmieniało się w bezkształtną brązową bryłkę niczym grudka ziemi i po dwóch czy trzech godzinach zdychało.

Żadne ze zwierząt z Victorii nie dawało się oswoić, nie chciało mieszkać z ludźmi. Żadne nie chciało do człowieka podejść. Unikały go; wymykały się do ocienionych deszczem, słodko pachnących lasów lub na głębokie morskie wody albo w śmierć. Nie chciały mieć do czynienia z człowiekiem. On był tu obcy. Nie należał do tego świata.

- Miałam kiedyś kota - mawiała dawno temu babcia Leva. - Tłustego szarego kota z futrem jak najbardziej miękki jedwab drzewny. Miał zielone oczy, a na łapach czarne paski. Wskakiwał mi na kolana i wtykał nos pod ucho, żebym mogła go słyszeć, i mruczał, mruczał - o tak! - Tu starsza pani wydawała głęboki, miękki, dudniący dźwięk, którego chłopczyk słuchał z wielkim zachwytem.

- A co mówił, kiedy był głodny, Nana? - Wstrzymał oddech.

- MRRRAU! MRRRAU!

Śmiała się, a on razem z nią.

Byli tylko inni ludzie. Głosy, twarze, ręce, przytula-

jące ramiona własnego gatunku. Inni ludzie, inni obcy.

Za drzwiami, za małymi zaoranymi polami leżało pustkowie, nieskończony świat wzgórz i czerwonych liści i mgły, gdzie nie brzmiała mowa. Odezwać się tam, bez względu na to, co się powiedziało, znaczyło: „Jestem tu obcy”

- Pewnego dnia - powiedziało dziecko - wyruszę i zbadam cały świat.

Właśnie mu przyszedł do głowy ten nowy pomysł i całkowicie nim owładnął. Będzie robił mapy i wszystko. Ale Nana nie słuchała. Przybrała zwykły smutny wyraz twarzy. Wiedział, jak mu zaradzić. Podszedł do niej cicho i wtulił jej nos w szyję tuż poniżej ucha, mówiąc: - Mrrrrr...

- Czy to mój kot Mino? Witaj, Mino! Ale to przecież nie Mino, to Levuczka! Ale niespodzianka! - mówiła wtedy.

Usiadł jej na kolanach. Obejmowały go duże, stare, brązowe ramiona. Na każdym przegubie nosiła bransoletę z delikatnego, czerwonego steatytu. Jej syn Aleksander, Sasza, ojciec Leva, wyrzeźbił je dla niej. - Kajdanki - powiedział dając je w urodzinowym prezencie. - Kajdanki z Victorii, mamó. - I wszyscy dorośli się roześmieli, ale Nana, śmiejąc się, przybrała ten

swój smutny wyraz twarzy.

- Nana. Czy Mino nazywał się Mino?
  - Oczywiście, głuptasie.
  - Ale dlaczego?
  - Bo nazwałam go Mino.
  - Ale zwierzęta nie mają imion.
  - Nie. Tutaj nie.
  - Dlaczego?
  - Bo nie znamy ich imion - odparła babcia, patrząc nad zaoranymi poletkami.
  - Nana.
  - Tak? - powiedział miękki głos w miękkiej piersi, do której przyciskał ucho.
  - Dlaczego nie przywiozłaś tu Mino?
  - Nie mogliśmy nic zabrać na statek kosmiczny. Nic własnego. Nie było miejsca. Ale i tak Mino nie żył na długo przed naszym przybyciem. Gdy był kociakiem, byłam dzieckiem i nadal nim byłam, gdy zestarzał się i umarł. Koty nie żyją długo, tylko kilka lat.
  - Ale ludzie żyją długo.
  - O, tak. Bardzo długo.
- Lev siedział spokojnie na jej kolanach, udając, że jest kotem z szarym futerkiem jak bawełniany puszek tylko że ciepłym. - Mrrr - powiedział cicho, a stara kobie-

ta siedząca na progu obejmowała go i patrzyła ponad jego głowę na ziemię swego wygnania.

Siedząc teraz na twardym, szerokim korzeniu drzewa pierścieniowego na krawędzi Stawu Zebrań, myślał o Nanie, o kocie, o srebrzystej wodzie Jeziora Spokojnego, o wznoszących się nad nim górach, po których wspinaczka była jego marzeniem, o wspinaniu się ponad mgłę i deszcz w lód i blask szczytów, myślał o wielu rzeczach, o zbyt wielu rzeczach. Siedział nieruchomo, ale nie potrafił zatrzymać myśli. Przyszedł tu w poszukiwaniu spokoju, lecz myśli kłębiły mu się w głowie, pędząc z przeszłości do przyszłości i z powrotem. Znalazł spokój tylko na chwilę. Jedna z czapli weszła cicho do wody po drugiej stronie stawu. Podniosła wąską głowę i popatrzyła na Leva. Oddał jej spojrzenie i przez moment zamarł w tym okrągłym przezroczystym oku, bezdennym jak niebo oczyszczone z chmur; a chwila ta była okrągła, przezroczysta, milcząca, chwila w środku wszystkich chwil, wieczna bieżąca chwila milczącego zwierzęcia.

Czapla odwróciła się i pochyliła głowę szukając w ciemnej wodzie ryb.

Lev wstał, usiłując poruszać się tak cicho i zręcznie jak sama czapla, i wyszedł z kręgu drzew przechodząc



między dwoma ogromnymi czerwonymi pniami. Zupełnie jakby przechodził przez drzwi do całkiem innego miejsca. Płytką dolina jaśniała od słonecznego blasku, niebo żyło wiatrem; słońce ozłociło pomalowany na czerwono drewniany dach Domu Zebrań, stojącego na południowym zboczu. W Domu Zebrań było już dużo ludzi. Stali na stopniach i na ganku rozmawiając i gdy Lev ich zobaczył, przyśpieszył kroku. Chciał biec, krzyczeć. To nie czas na spokój. To pierwszy poranek bitwy, początek zwycięstwa.

Powitał go Andre. - Chodź! Wszyscy czekają na Szefa Leva!

Roześmiał się i pobiegł; sześć stopni ganku pokonał dwoma susami. - Dobrze, dobrze, dobrze - powiedział - co to za porządki, gdzie są wasze buty, czy uważasz, że to postawa pełna szacunku, Sam? - Sam, brązowy, krępy mężczyzna ubrany tylko w białe spodnie, stał spokojnie na głowie przy barierce ganku.

Zebraniu przewodniczył Elia. Nie weszli do środka, ale rozsiedli się na ganku, bo słońce świeciło bardzo przyjemnie. Elia jak zwykle był w poważnym nastroju, ale przybycie Leva ucieszyło innych i dyskusja była ożywiona, choć krótka. Cel zebrania stał się jasny prawie od razu. Elia chciał, aby jeszcze jedna delegacja

udała się do Stolicy na rozmowy z Szefami, ale nie uzyskała poparcia; wszyscy chcieli zwołać ogólne zebranie mieszkańców Szantih. Ustalili, że odbędzie się ono przed zachodem słońca, a młodszy podjął się zaawiadomienia odległych wiosek i gospodarstw. Gdy Lev miał już odchodzić, Sam, który spokojnie stał na głowie przez całą dyskusję, przyjął zwykłą pozycję jednym pełnym gracji ruchem i powiedział z uśmiechem do Leva: - To będzie wielka bitwa, Arjuno.

Lev, którego myśli zajęte były setką spraw, uśmiechnął się do Sama i odszedł.

Kampania, jaką rozpoczynali ludzie z Szantih, była dla nich czymś nowym, a jednak znanym. Wszyscy nauczyli się jej zasad i taktyki w szkole miejskiej i w Domu Zebrań; znali życiorysy bohaterów-filozofów Gandhiego i Kinga oraz idee, które przenikały ich życie, a także historię Ludu Pokoju, przesiąkniętą tymi samymi ideami. Na wygnaniu Lud Pokoju nadal żył według nich i jak dotąd odnosił sukcesy. Przynajmniej zachował niezależność przejmując jednocześnie całe rolnictwo społeczności wygnańców i dzieląc się swobodnie wszystkimi jego wytworami ze Stolicą. W zamian Stolica dostarczała narzędzi i maszyn wyprodukowanych w rządowej hucie, ryb złowionych przez

stołeczną flotę i wszystkich innych produktów, które tej wcześniej założonej kolonii było łatwiej wytwarzać. Taki układ zadowalał obie strony.

Jednak warunki umowy stopniowo stawały się mniej wyważone. W Szantih uprawiano rośliny bawełniane oraz drzewa jedwabne i dostarczano surowca do przędzalni i tkalni w Stolicy. Lecz warsztaty pracowały bardzo powoli; jeśli ludzie z miasta potrzebowali ubrań, lepiej wychodzili na tym, jeśli sami przędli i tkali. Świeże i suszone ryby, na które czekali, nie przybywały. Słabe połowy, jak wyjaśniała Rada. Nie dostarczano nowych narzędzi. Stolica dawała rolnikom narzędzia; jeśli rolnicy nie obchodzili się z nimi ostrożnie, powinni zrobić sobie nowe, mówiła Rada. I tak to się toczyło, na tyle stopniowo, że nie powstawały napięcia. Ludzie z Szantih szli na kompromis, dostosowywali się, radzili sobie. Dzieci i wnuki wygnanców, teraz dorośli mężczyźni i kobiety, nigdy nie poznali działania techniki konfliktu i oporu, stanowiącej siłę wiążącą ich społeczność.

Została im ona jednak wpojona: jej duch, przyczyny i zasady. Nauczyli się jej i wprowadzali ją w życie w drobnych konfliktach powstających w samym Mieście. Obserwowali, jak starsi dochodzą do rozwiązań pro-

blemów i sporów, czasami w drodze zawziętej debaty, a czasami prawie milczącej zgody. Nauczyli się, że za każdym razem muszą ocenić, czy posłuszeństwo jest konieczne i właściwe, czy też nie na miejscu i niesłuszne. Nauczyli się, że akt przemocy jest aktem słabości i że siła ducha leży w trzymaniu się prawdy.

Przynajmniej wierzyli w to wszystko oraz wierzyli, że nauczyli się tego bez cienia wątpliwości. Żaden z nich, bez względu na stopień prowokacji, nie posunąłby się do przemocy. Byli mocni i pewni siebie.

- Tym razem nie będzie łatwo - powiedziała Vera, zanim wraz z innymi odeszła do Stolicy. - Wiecie, że nie będzie łatwo.

Kiwali głowami, uśmiechnięci, i wznosili okrzyki. Oczywiście, że nie będzie łatwo. Łatwe zwycięstwa nie są warte odnoszenia.

Idąc od gospodarstwa do gospodarstwa na południowy zachód od Szantih, Lev zapraszał ludzi na wielkie zebranie i odpowiadał na ich pytania o Verę i innych zakładników. Niektórzy obawiali się tego, co ludzie ze Stolicy mogą teraz zrobić, i Lev mówił: - Tak, mogą zrobić coś gorszego niż zatrzymanie kilku zakładników. Nie możemy się spodziewać, że po prostu zgodzą się z nami, skoro my nie zgadzamy się z nimi.

Czeka nas walka.

- Ale gdy oni walczą, używają noży - i jest to... to miejsce chłosty, no wiesz - powiedziała pewna kobieta ściszym głosem. - Gdzie karzą swoich złodziei i... - Nie skończyła. Wszyscy wyglądali na zawstydzonych i skrępowanych.

- Wpadli w krąg przemocy, która ich tu sprowadziła - odparł Lev. - My nie. Jeśli wytrwamy, wszyscy razem, zobaczą naszą siłę; zobaczą, że jest większa od ich siły. Zaczną nas słuchać. I sami się wyzwolą. - Jego twarz i głos wyrażały taką otuchę, że rolnicy widzieli, iż mówi prostą prawdę, i zaczęli wyczekiwać następnej konfrontacji ze Stolicą, zamiast się jej bać. Dwaj bracia o imionach wziętych z Wielkiego Marszu, Lyons i Pamplona, szczególnie się zapalili; Pamplona, człowiek dość prosty, chodził za Levem od gospodarstwa do gospodarstwa przez resztę ranka, by dziesięć razy wysłuchać Planów Oporu.

Po południu Lev pracował z ojcem i trzema innymi rodzinami uprawiającymi to samo poletko ryżowe, bo ostatnie plony były obfite i musiały być zwiezione bez względu na inne wydarzenia. Ojciec poszedł na kolację z jedną z tych rodzin; Lev poszedł jeść z Południową Bryzą. Opuściła dom matki i mieszkała sama w domku

---

na zachód od miasta, wybudowanym przez siebie i Timma po ślubie. Stał samotnie wśród pól, choć w zasięgu wzroku najbliższego skupiska domów na skraju miasta. Lev albo Andre czy żona Martina - Italia, albo wszyscy troje, często przychodzili tam na kolację, przynosząc coś ze sobą do podziału z Południową Bryzą. Jadła z Levem siedząc na progu, był bowiem łagodny, złoty jesienny wieczór, a potem poszli razem do Domu Zebrań, gdzie zebrało się już dwieście albo trzysta osób, a z każdą minutą przybywało ich coraz więcej.

Wszyscy wiedzieli, po co przybyli: aby zapewnić się nawzajem, że wszyscy są razem, i omówić kolejne posunięcie. Atmosfera zebrania była świąteczna i lekko napięta. Ludzie stali na ganku i rozmawiali, wszyscy w ten czy inny sposób mówiąc: - Nie poddamy się, nie zawiedziemy naszych zakładników! - Gdy Lev odezwał się, wzniesiono okrzyki: był przecież wnukiem wielkiego Shultsa, który poprowadził Długi Marsz, badaczem pustkowi i w ogóle ulubieńcem wszystkich. Okrzyki ucichły i w tłumie liczącym już ponad tysiąc osób powstało zamieszanie. Zapadła noc, a lampy elektryczne na ganku Domu Zebrań, zasilane generatorem miejskim, świeciły słabo, więc trudno było do-

strzec, co się dzieje na krawędzi tłumu. Wydawało się, że przez ludzi przedziera się przysadzisty, zwarty, czarny przedmiot. Gdy zbliżył się do ganku, okazało się, że to grupa ludzi, oddział straży ze Stolicy, poruszający się jak zbita bryła. Bryła miała głos: - Zebrania... rozkazu... groźbą. - Dało się usłyszeć tylko tyle, bo wszyscy zadawali z oburzeniem pytania. Lev, stojący pod lampą, wołał o ciszę i gdy tłum zamilkł, zabrzmiał donośny głos:

- Masowe zebrania są zakazane, tłum ma się rozproszyć. Zebrania publiczne są zabronione z rozkazu Rady Najwyższej pod groźbą więzienia i ukarania. Natychmiast się rozejść do domów!

- Nie - powiedzieli ludzie - dlaczego? Jakim prawem? Sami idźcie do domów!

- Cisza! - ryknął Andre głosem, o jaki nikt go nie podejrzewał. Gdy już się uspokoili, po staremu wymamrotał do Leva: - Dalej, mów.

- Ta delegacja ze Stolicy ma prawo do głosu - powiedział Lev głośno i wyraźnie - i do wysłuchania. A kiedy usłyszymy, co mają do powiedzenia, możemy to odrzucić, ale pamiętajcie, że zdecydowaliśmy nie grozić czynem ani słowem. Nie częstujemy gniewem lub przemocą tych, którzy przychodzą do nas. Oferujemy

im przyjaźń i umiłowanie prawdy!

Spojrzał na straż, a oficer natychmiast bezbarwnym głosem powtórzył rozkaz rozejścia się. Gdy skończył, nastąpiła cisza. Trwała dalej. Nikt nic nie powiedział. Nikt się nie poruszył.

- No dobra - krzyknął oficer zduszonym głosem - ruszcie się, rozejdźcie się, idźcie do domów!

Lev i Andre spojrzeli po sobie, skrzyżowali ramiona i usiedli. Trzymajmocno, który znajdował się na ganku razem z nimi, także usiadł; za ich przykładem poszła Południowa Bryza, Elia, Sam, Klejnot i inni. Ludzie na terenie zebrań też zaczęli siadać. Dziwny widok w żółtawym świetle poprzecinany cieniami: wydawało się, że ta ogromna masa ciemnych kształtów kurczy się do połowy swej wysokości z delikatnym szelestem, kilkoma cichymi słowami. Jakieś dzieci chichotały. W pół minuty wszyscy usiedli. Poza oddziałem straży, dwudziestoma mężczyznami trzymającymi się blisko siebie, nikt nie stał.

- Zostaliście ostrzeżeni - krzyknął oficer, a w jego głosie brzmiała mściwość i zarazem skrępowanie. Najwyraźniej nie był pewien, co ma zrobić z tymi ludźmi siedzącymi cicho na ziemi, spoglądającymi na niego z wyrazem spokojnej ciekawości, jak gdyby byli



dziećmi na przedstawieniu kukiełkowym, a on kukiełką. - Wstawać i rozejść się, bo inaczej zaczną arestowania!

Żadnej odpowiedzi.

- Dobra, arestować trzy... dwudziestu najbliższych. Wstawać. Ty, wstawaj!

Ludzie, do których mówił lub których tręcali strażnicy, wstawali i spokojnie stali. - Czy moja żona też może iść? - zapytał cicho strażnika jeden z mężczyzn, nie chcąc zakłócić wielkiej, głębokiej ciszy tłumu.

- Nie będzie więcej żadnych masowych zebrań. Z rozkazu Rady! - ryknął oficer i poprowadził swój oddział, pędzący przed sobą grupę około dwudziestu pięciu mieszkańców miasta. Zniknęli w ciemności poza zasięgiem lamp elektrycznych.

Za nimi tłum trwał w milczeniu.

Wzniósł się z niego w śpiewie jakiś głos. Przyłączyły się inne, z początku cicho. Była to stara pieśń, z czasów Długiego Marszu na Ziemi.

O, gdy dotrzemy

O, gdy dotrzemy do Ziemi Wolności

To zbudujemy Miasto

O, gdy dotrzemy...

---

W miarę jak grupa strażników i więźniów oddalała się w mrok, śpiew nie brzmiał za nimi ciszej, lecz coraz głośniej i wyraźniej. Setki głosów połączyły się w jedną muzykę rozbrzmiewającą ponad ciemną, cichą ziemią leżącą między Szantih i Stolicą Victorii.

Dwadzieścia cztery osoby aresztowane przez strażników lub dobrowolnie im towarzyszących powróciły do Szantih pod koniec następnego dnia. Umieszczono ich na noc w jakimś magazynie, może dlatego, że stołeczne więzienie nie mogło pomieścić tak wielu ludzi, wśród których znajdowało się szesnaście kobiet i dzieci. Opowiadali, że po południu odbył się proces, a po jego zakończeniu kazano im iść do domu. - Ale mamy zapłacić' grzywnę - powiedział z ważną miną stary Pamplona.

Jego brat Lyons miał dobrze prosperujący sad, ale Pamplona, powolny i chorowity, nie doszedł do niczego. To był jego moment chwały. Poszedł do więzienia tak jak Gandhi, jak Shults, tak jak na Ziemi. Był bohaterem, i to zachwyconym.

- Grzywnę? - zapytał Andre z niedowierzaniem. - Pieniądze? Przecież wiedzą, że nie używamy ich monet...

- Grzywnę - wyjaśnił Pamplona wyrozumiale trak-

tując niewiedzę Andre - stanowiącą dwadzieścia dni pracy w nowym gospodarstwie.

- W jakim nowym gospodarstwie?
- W jakimś nowym gospodarstwie, które chcą założyć Szeffowie.
- Szeffowie biorą się do uprawy ziemi? - Wszyscy się roześmieli.
- Słusznie, jeśli chcą jeść - powiedziała jakaś kobieta.
- A co, jeśli nie pójdziecie pracować w tym nowym gospodarstwie?
- Nie wiem - odparł Pamplona, który zaczynał się w tym wszystkim gubić. - Nic nie mówili. Nie pozwalali nam rozmawiać. To był sąd, z sędzią. Mówił sędzia.
- Kto był sędzią?
- Macmilan.
- Młody Macmilan?
- Nie, stary, ten Radny. Ale młody tam był. Ależ on jest duży! Jak drzewo! I cały czas się uśmiecha. Miły młodzieniec.

Przybiegł Lev, właśnie otrzymawszy wiadomość o powrocie więźniów. Uściskał najbliższych w podnieconej grupie, jaka zebrała się na ulicy, aby ich powitać.

- Wróciliście, wróciliście... Wszyscy?

- 
- Tak, tak, wrócili, możesz iść na kolację!
  - A inni, Hari i Vera...
  - Nie, oni nie. Nie widzieli ich.
  - Ale wy wszyscy... Nie zrobili wam krzywdy?
  - Lev powiedział, że nie mógłby nic zjeść, póki nie wrócicie; pościł.
  - Nic nam nie jest, idź coś zjeść, co za głupi pomysł!
  - Dobrze was traktowali?
  - Jak gości, jak gości - zapewnił stary Pamplona. -  
Wszyscy jesteśmy braćmi. Prawda? I dali nam dobre  
śniadanie!
  - Ryż, który sami wyhodowaliśmy - to nam dali. To  
ci gospodarze! Zamknęli swych gości w szopie czarnej  
jak noc i zimnej jak owsianka z zeszłego wieczora, bolał  
mnie wszystkie kości i chcę się wykąpać, wszy chodzi-  
ły po każdym strażniku, widziałam jedną u takiego na  
szyi, u tego, który mnie aresztował, wesz wielkości  
twojego paznokcia, fuj, chcę się wykąpać! - To Kira,  
hoża kobieta, która sepleniła z powodu utraty dwóch  
przednich zębów; mówiła, że nie odczuwa ich braku,  
bo i tak przeszkadzały jej mówić. - Kto mnie przeno-  
cuje? Nie mam zamiaru iść do domu do Wschodniej  
Wioski z obolałymi kośćmi i dziesiątkami wszy łązą-  
cych mi po plecach! - Pięć czy sześć osób od razu za-

proponowało jej kąpiel, łóżko, gorące jedzenie. Zao-  
piekowano się wszystkimi uwolnionymi więźniami i  
bardzo ich podziwiano. Lev i Andre odeszli boczną  
uliczką prowadzącą do domu Leva. Przez chwilę szli w  
milczeniu.

- Dzięki Bogu! - odezwał się Lev.

- Tak. Dzięki Bogu. Wrócili; udało się. Gdyby tylko  
razem z nimi wrócili Vera, Jan i inni.

- Nic im nie jest. Ale ci - nikt z nich nie był przygo-  
towany, nie myśleli o tym, nie przygotowali się na to.  
Bałem się, że stanie im się krzywda, że się przestraszą,  
rozniewają. My byliśmy za to odpowiedzialni, to my  
zaczęliśmy siadać. Przez nas ich aresztowano. Ale wy-  
trzymali. Nie przestraszyli się, nie walczyli, trzymali  
się! - Głos Levowi zadrżał. - Ja byłem za to odpowie-  
dzialny.

- My wszyscy - powiedział Andre. - To nie my ich  
posłałiśmy, nie ty, poszli sami. Zdecydowali się pójść.  
Jesteś wyczerpany, powinieneś coś zjeść. Sasza! - Stali  
przed drzwiami domu. - Zmusz go do jedzenia. Oni na-  
karmili jego więźniów, a teraz ty nakarm jego.

Sasza, który siedział przy kominku polerując pia-  
skiem trzonek motyki, podniósł wzrok; nastroszył  
wąs, nastroszył brwi ocieniające głęboko osadzone

oczy. - Kto potrafi i zmusić mojego syna do czegoś, czego on sam nie chce zrobić? - powiedział. - Jeśli chce jeść, wie, gdzie jest miska z zupą.

## Rozdział 5

Senhor Radny Falco wydawał przyjęcie. Przez większość czasu jego trwania szczerze tego żałował.

Miał to być bankiet w dawnym stylu, w stylu Starego Świata, z pięcioma daniami, pięknymi strojami, rozmową i muzyką po kolacji. Starzy mężczyźni przyszli punktualnie, każdy w towarzystwie żony i kilku niezamężnych córek. Niektórzy z młodszych, jak młody Helder, też przyszli na czas, też z żonami. Kobiety, ubrane w długie suknie ozdobione biżuterią, stanęły paplając wokół kominka w jednym końcu sali Casa Falco; mężczyźni, ubrani w swe najlepsze czarne garnitury, stanęli rozmawiając wokół kominka w drugim końcu sali. Wydawało się, że wszystko idzie dobrze, tak jak wtedy, gdy wydawał przyjęcia dziadek Radnego Falco, Don Ramon, jak przyjęcia na Ziemi, co Don Ramon często powtarzał z zadowoleniem i przekonaniem, bo przecież jego ojciec Don Luis urodził się na Ziemi i był największym człowiekiem w Rio de Janeiro.

Jednak niektórzy goście nie przyszli na czas. Zrobiło się późno, a oni nadal nie przychodzili. Córka wezwała Radnego Falco do kuchni: kucharze mieli tragiczne miny, wspaniały obiad przepadnie. Na jego polecenie do sali wniesiono i nakryto długi stół, goście usiedli, podano pierwsze danie i wtedy, dopiero wtedy, weszli młody Macmilan, młody Marquez, młody Weiler, swobodni, bez słowa przeprosin i, co gorsza, ze swymi nie zaproszonymi przyjaciółmi z pospólstwa: siedmioma czy ośmioma bykami, głośnymi i wulgarnymi, z biczami za pasem i w szerokoskrzydłych kapeluszach, których nawet nie zdjęli, w zabłoconych butach. Trzeba było ustawić nowe nakrycia na i tak zatłoczonym stole. Młodzi mężczyźni już coś pili przed przyjściem i zabrali się do żłopania najlepszego piwa Falco. Podszczyptywali pokojówki, ale na damy nie zwracali uwagi. Krzyczeli ponad stołem i wycierali nosy w haftowane serwetki. Gdy nadeszła najważniejsza chwila przyjęcia, danie mięsne, pieczony królik - Falco wynajął na tydzień dziesięciu traperów, żeby mu dostarczyli ten luksus - spóźnialscy tak łapczywie nakładali sobie na talerze, że nie wystarczyło dla wszystkich i przy końcu stołu nikt nie dostał mięsa. To samo stało się z deserem, budyniem ze sproszkowanych korzeni, go-



towanych owoców i nektaru. Kilku młodzieńców wybierało go z misek palcami.

Falco dał znak córce siedzącej na końcu stołu. Luz Marina poprowadziła panie do salonu przy ogrodzie na tyłach domu. To tym bardziej pozwoliło młodemu zabijakom rozpierać się, pluć, czkać, przeklinać i jeszcze bardziej się upijać. Małe pucharki brandy, z której słynęły destylarnie Casa Falco, wypijano, jakby to była woda, a młodzi wrzeszczeli na oszołomioną służbę o dolewki. Niektórym innym młodzieńcom, a także kilku starszym, podobało się takie szorstkie zachowanie, a może sądzili, że tak trzeba się zachowywać na przyjęciu, więc zaczęli zachowywać się podobnie. Stary Helder tak się upił, że zwymiotował w kącie, ale wrócił do stołu i znów zaczął pić.

Falco i kilku bliskich przyjaciół, starszy Marquez, Burnier i doktor, wycofali się do kominka i usiłowali rozmawiać, ale hałas wokół długiego stołu był ogłuszający. Niektórzy tańczyli, inni się kłócili; muzycy, którzy mieli zagrać po kolacji, zmieszali się z gośćmi i pili jak sucha ziemia; młody Marquez posadził sobie na kolanach służącą, która pobladła, skuliła się i mamrotała: - O jezumaria! O jezumaria!

- Bardzo wesołe przyjęcie, Luis - powiedział stary

Burnier po szczególnie nieznośnym wybuchu śpiewu i wrzasków.

Falco cały czas był spokojny; ze spokojną twarzą odparł: - Dowód naszej degeneracji.

- Młodzi nie są przyzwyczajeni do takich uczt. Tylko Casa Falco wie, jak wydawać przyjęcia w starym stylu, w prawdziwym stylu Ziemi.

- To degeneraci - rzekł Falco.

Jego szwagier Cooper, mężczyzna sześćdziesięcioletni, przytaknął. - Straciliśmy styl Ziemi.

- Wcale nie - odezwał się ktoś za nimi. Wszyscy się odwrócili. To Herman Macmilan, jeden ze spóźniałskich; obzerał się i krzyczał wraz z innymi, ale teraz nie było po nim widać, że pił, może z wyjątkiem silniejszych kolorów na jego przystojnej, młodej twarzy. - Wydaje mi się, panowie, że na nowo odkrywamy styl Ziemi. Bo przecież kim byli nasi przodkowie, którzy przybyli ze Starego Świata? Chyba nie słabymi, potulnymi ludźmi. Byli odważni, zuchwali, silni, wiedzieli, jak żyć. Teraz my uczymy się, jak żyć. Plany, prawa, zasady, dobre maniere, jaki to wszystko ma z nami związek? Czy jesteśmy niewolnikami, babami? Czego się boimy? Jesteśmy mężczyznami, wolnymi ludźmi, panami całego świata. Czas, abyśmy objęli naszą spu-

ściznę; właśnie tak, panowie. - Uśmiechnął się z szacunkiem, ale z absolutną pewnością siebie.

Falco był pod wrażeniem. Może jednak ta ruina przyjęcia czemuś posłuży. Ten młody Macmilan, który zawsze wydawał się jedynie wspaniałym, muskularnym zwierzęciem i ewentualnym przyszłym partnerem dla Luz Mariny, teraz wykazywał i siłę woli, i rozum, cechy człowieka. - Zgadza się z tobą, Don Herman - powiedział. - Ale jestem w stanie się z tobą zgodzić tylko dlatego, że obaj możemy jeszcze mówić, w przeciwieństwie do większości naszych przyjaciół przy stole. Mężczyzna musi potrafić pić i myśleć. Ponieważ wydaje się, że jako jedyny spośród tych młodzińców potrafisz wykonywać obie te czynności, powiedz mi, co sądzisz o moim pomysle utworzenia latyfundiów?

- To znaczy dużych gospodarstw?

- Tak. Dużych gospodarstw z wielkimi polami zasianymi dla lepszej wydajności jedną uprawą. Zamierzam wybrać zarządców spośród naszych najlepszych młodych ludzi; dać każdemu pod opiekę duży obszar, posiadłość, i wystarczająco dużo chłopów do pracy - i pozwolić mu dowolnie tam rządzić. W ten sposób wyprodukuje się więcej żywności. Nadwyżka

mieszkańców Miasta Chat zostanie zaprzęgnięta do roboty i znajdzie się pod nadzorem, co zapobiegnie dalszemu gadaniu o niezależności i nowych koloniach. A w następnym pokoleniu ludzi ze stolicy będzie już pewna liczba wielkich właścicieli ziemskich. Wystarczająco długo trzymaliśmy się wszyscy razem, żeby być silniejszymi. Już czas, jak mówisz, by się rozproszyć, użyć naszej wolności, uczynić się panami tego naszego bogatego świata.

Herman Macmilan słuchał z uśmiechem. Na jego ładnie wyciętych wargach uśmiech gościł prawie stale.

- Niezły pomysł - rzekł. - Zupełnie niezły pomysł, senhor Radny.

Falco pominął jego protekcyjny ton, ponieważ zdecydował, że Herman Macmilan może mu się do czegoś przydać.

- Rozważ to - powiedział. - Rozważ to sobie. - Wiedział, że miody Macmilan właśnie to robi. - Jak by ci się podobał własny majątek ziemski, Don Herman? Małe - jest takie słowo, stare słowo...

- Królestwo - podpowiedział stary Burnier.

- Tak. Małe królestwo dla siebie. Jak ci się to podoba? - Mówił schlebiająco i Herman Macmilan aż się napuszył. U zarozumiałców zawsze znajdzie się miej-

sce na jeszcze trochę zarozumiałstwa, pomyślał Falco.

- Niezłe - powiedział Macmilan kiwając ze zrozumieniem głową.

- Aby zrealizować ten plan, będziemy potrzebować energii i rozumu was, młodych. Zdobywanie nowych ziem uprawnych zawsze trwało długo. Praca przymusowa to jedyny sposób na szybkie oczyszczenie dużych terenów. Jeśli te niepokoje w Mieście Chat nie ustaną, będziemy mieli mnóstwo zbuntowanych chłopów do skazywania na roboty przymusowe. Ale ponieważ oni tylko gadają i nic nie robią, może trzeba będzie ich popchnąć, może będziemy musieli strzelić z bata, żeby zmusić ich do walki, może będziemy musieli doprowadzić ich do buntu, rozumiesz? Jak ci się podoba taka działalność?

- To przyjemność, senhor. Życie tu jest nudne. Potrzeba nam działania.

Falco pomyślał: mnie też potrzeba działania. Chciałbym wybić zęby temu protekcyjalnemu młodzieńcowi. Ale przyda mi się, więc go wykorzystam i będę się uśmiechał.

- Właśnie coś takiego miałem nadzieję usłyszeć. Proszę posłuchać, Don Herman. Masz wpływy wśród młodzieży - to naturalny dar przywództwa. Powiedz

mi, co o tym sądzisz. Nasze zwykłe strażę są dosyć lojalne, ale to pospólstwo, głupi ludzie, którzy łatwo nabierają się na sztuczki ludzi z Miasta Chat. Musimy do nich przyprowadzić elitarny oddział żołnierzy, młodych arystokratów, odważnych, inteligentnych i odpowiednio dowodzonych. Mężczyzn kochających walkę, jak nasi odważni przodkowie na Ziemi. Czy uważasz, że można by zebrać i wyszkolić taki oddział? Od czego powinniśmy zacząć?

- Potrzebny jest tylko przywódca - powiedział bez wahania Herman Macmilan. - Mógłbym taką grupę wyszkolić w kilka tygodni.

\* \* \*

Od tego wieczoru młody Macmilan stał się częstym gościem w Casa Falco; przychodził na rozmowę z Radnym przynajmniej raz dziennie. Ilekroć Luz przebywała we frontowej części domu, wydawało się, że jest tam Macmilan, zaczęła więc spędzać coraz więcej czasu we własnym pokoju, na strychu lub w salonie przy ogrodzie. Zawsze unikała Hermana Macmilana, nie dlatego, że go nie lubiła - było niemożliwe nie lubić kogoś tak przystojnego - ale ponieważ upokarzała ją świadomość, że każdy, kto widział, jak Luz i Herman

zamieniają choć słowo, myślał i mówił: Ach, wkrótce się pobiorą”. Czy tego chciał, czy nie, przynosił z sobą pojęcie małżeństwa, zmuszając ją do myślenia o nim; a nie chcąc o tym myśleć, zawsze była w stosunku do niego nieśmiała. Teraz było tak samo, poza tym, że widząc go codziennie niemal jako domownika, zdecydowała, że - choć szkoda takiego marnotrawstwa - można nie lubić nawet bardzo przystojnego mężczyzny.

Wszedł do salonu na tyłach domu bez pukania, stanął w drzwiach - zgrabna, silna sylwetka w mocno ściągniętej pasem bluzie. Obrzucił spojrzeniem pokój, który wychodził na duży wewnętrzny ogród, wokół którego zbudowana była tylna część domu. Drzwi do ogrodu były otwarte i odgłos drobnego, delikatnego deszczu padającego na ścieżki i krzewy w ogrodzie napełniał pomieszczenie ciszą. - A więc to tutaj się chowasz - rzekł.

Luz podniosła się na jego widok. Miała na sobie ciemną samodziałową spódnicę i białą koszulę jaśniejącą w nikłym świetle. Za nią, w cieniu, siedziała kobieta przedając za pomocą ręcznego wrzeciona.

- Zawsze się tu chowasz, co? - powtórzył Herman. Nie wszedł dalej do pokoju, może w oczekiwaniu na

zaproszenie, a może także zdając sobie sprawę z teatralnego efektu ustawienia się we framudze.

- Dobry wieczór, Don Herman. Czy szukasz mego ojca?

- Właśnie z nim rozmawiałem.

Luz skinęła głową. Chociaż była ciekawa, o czym Herman tyle ostatnio rozmawia z ojcem, na pewno go o to nie zapyta. Młodzieniec wszedł do pokoju i stanął przed Luz patrząc na nią ze swym dobrodusznym uśmiechem.

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, uniósł ją do ust i pocałował. Luz wyrwała się w przypiływie irytacji.- To głupi zwyczaj - powiedziała odwracając się.

- Wszystkie zwyczaje są głupie. Ale starzy nie mogą się bez nich obejść, co? Myślą, że świat by się zawalił. Całowanie w dłoń, ukłony, senhor to i senhora tamto, jak to się robiło w Starym Świecie, historia, książki, bzdury... No tak!

Luz roześmiała się wbrew sobie. Przyjemnie było słyszeć, jak Herman po prostu odsuwa jako nonsens sprawy, które takim kłopotliwym cieniem kładły się na jej życiu.

- Czarna Straż doskonale sobie radzi - powiedział. - Musisz przyjść i zobaczyć, jak ćwiczymy. Przyjdź jutro



rano.

- Jaka „Czarna Straż”? - spytała lekceważąco siadając i podnosząc robótkę - jakiś drobiazg dla oczekiwanego czwartego dziecka Evy. To właśnie problem z Hermanem: jeśli się uśmiechnęło, powiedziało coś naturalnego lub miało ochotę podziwiać go - napierał, wykorzystywał swą przewagę i od razu trzeba było ucierać mu nosa.

- Moja mała armia - odparł. - Co to takiego? - Usiadł obok niej na wiklinowej sofie. Nie było na niej dość miejsca dla jego dużego ciała i jej drobnego. Wyciągnęła spódnicę spod jego uda. - Czepek - powiedziała, usiłując opanować rosnącą złość. - Dla dziecka Evity.

- Ach, Boże, tak, ależ z niej samica rozplodowa! Aldo ma kołczan pełen strzał. Nie przyjmujemy żonatych do Straży. Mamy tam świetnych chłopaków. Musisz przyjść ich obejrzeć.

Luz zawiązała mikroskopijny węzełek na hafcie i nic nie odpowiedziała.

- Oglądałem moją ziemię. Dlatego nie było mnie tu wczoraj.

- Nie zauważyłam - rzekła Luz.

- Wybierałem swoją własność. Dolina nad Rzeką Młyńską. Ładny kraj, gdy się go oczyści. Mój dom bę-

dzie stał na wzgórzu. Od razu dostrzegłem to miejsce. Duży dom, jak ten, ale większy, dwa piętra, z gankami wszędzie naokoło. I stodoły, kuźnia i tak dalej. Dalej, w dolinie nad rzeką chaty chłopów, gdzie będę mógł na nich patrzeć z góry. Ryż błotny na mokradłach, gdzie rzeka rozlewa się na dnie doliny. Na zboczach wzgórz sady - jedwab drzewny i owoce. Wykarczuję trochę lasu, a resztę zostawię do polowania na króliki. To będzie piękne miejsce, królestwo. Kiedy wybiorę się tam następnym razem, pojedź ze mną, żeby to obejrzeć. Wyślę pedaksówkę z Casa Macmilan. To za daleki spacer dla dziewczyny. Powinnaś to zobaczyć.

- Po co?

- Spodoba ci się - powiedział Herman z absolutnym przekonaniem. - Chciałabyś sama mieć coś takiego? Posiadać wszystko, co znajduje się w zasięgu wzroku. Wielki dom, mnóstwo służby. Własne królestwo.

- Kobiety nie są królami - odparła Luz. Pochyliła głowę nad ściegiem. W rzeczywistości było już zbyt ciemno na szycie, ale pozwalało to jej nie patrzeć na Hermana. On na nią spoglądał ciągle z twarzą skupioną i bez wyrazu; jego oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle i przestał się uśmiechać. Nagle otworzył usta i roześmiał się. - Ha, ha! - cichy śmiech jak na tak

dużego mężczyznę. - Nie. Ale i tak potrafią zdobyć, czego chcą, prawda, moja mała Luz?

Szyła dalej nie odpowiadając. Herman przysunął twarz do jej twarzy i wyszeptał: - Pozbądź się tej starej.

- Co powiedziałaś? - spytała Luz normalnym głosem.

- Pozbądź się jej - powtórzył Herman z lekkim ruchem głowy.

Luz starannie wpięła igłę do pudełka, złożyła robótkę i wstała. - Przepraszam, Don Herman. Muszę porozmawiać z kucharką - rzekła i wyszła. Druga kobieta siedziała nieruchomo, przędąc. Herman przez minutę tkwił na miejscu ssąc wargi; uśmiechnął się, wstał i wyszedł z pokoju, włożywszy kciuki za pas.

Po kwadransie Luz zajrzała w drzwi, którymi wyszła, i nie dostrzegając Hermana Macmilana, weszła. - Ale gbur - powiedziała i splunęła na podłogę.

- Jest bardzo przystojny - rzekła Vera; wyciągnęła ostatni strzępek jedwabiu drzewnego, skrzyła go w delikatną równą nici złożyła pełne wrzeciono z powrotem na podołku.

- Bardzo - odparła Luz. Podniosła starannie złożony niemowlęcy czepek, nad którym pracowała, spojrzała

---

na niego, zwinęła w kulkę i cisnęła przez pokój. - Pieprzę! - warknęła.

- Złości cię to, jak do ciebie mówi - rzekła Vera na wpół pytająco.

- To jak mówi, jak wygląda, siedzi, jaki jest... Fuj! Moja mała armia, mój duży dom, moi służący, moi chłopcy, moja mała Luz. Gdybym była mężczyzną, tłukłabym jego głową o ścianę, aż wypadłyby mu te jego wielkie zęby.

Vera roześmiała się. Nie śmiała się często, zwykle tylko wtedy, gdy była czymś zaskoczona. - Nie, nie zrobiłabyś tego!

- Owszem. Zabiłabym go.

- O, nie. Nie. Nie zrobiłabyś tego. Bo gdybyś była mężczyzną, wiedziałabyś, że jesteś tak silna jak on albo silniejsza, więc nie musiałabyś tego udowadniać. Kłopot z tym, że gdy jesteś kobietą tutaj, cały czas mówią ci, że jesteś słaba, a ty w to wierzysz. Śmieszne było, kiedy powiedział, że Doliny Południowe leżą za daleko, żeby dziewczyna mogła do nich pójść pieszo! Około dwunastu kilometrów!

- Nigdy nie szłam tak daleko. Pewnie nawet połowy tej odległości.

- No właśnie o to mi chodzi. Mówią ci, że jesteś sła-

ba i bezradna. A gdy w to uwierzysz, stajesz się zła i chcesz krzywdzić innych.

- Tak, owszem - odparła Luz zwracając się twarzą do Very. - Chcę krzywdzić innych. Chcę i prawdopodobnie tak zrobię.

Vera siedziała spokojnie, podnosząc wzrok na dziewczynę. - Tak. - Mówiła teraz poważniejszym tonem. - Jeśli poślubisz mężczyznę takiego jak on i będziesz wiodła jego życie, to się zgadzam. Tak naprawdę możesz nie chcieć krzywdzić innych, ale będziesz to robić.

Luz wpatrywała się w nią. - To wstrętne - odezwała się w końcu. - Wstrętne! Żeby tak to mówić. Że nie mam wyboru, że muszę krzywdzić innych, że nawet nie ma znaczenia, czego chcę.

- Oczywiście, że ma znaczenie, czego chcesz.  
- Nie ma. O to właśnie chodzi.  
- Ma. I o to właśnie chodzi. To ty wybierasz. Ty decydujesz, czy dokonać wyboru, czy też nie.

Luz stała całą minutę, nadal patrząc na Verę. Policzki nadal płonęły jej gniewem, ale brwi nie ściągnęła w prostą linię; były podniesione jakby z zaskoczenia czy strachu, jak gdyby pojawiło się przed nią coś zupełnie nieoczekiwanego.

Poruszyła się niezdecydowanie, a następnie wyszła przez otwarte drzwi do ogrodu leżącego w sercu domu.

Dotyk rzadkiego deszczu na jej twarzy był delikatny.

Krople wpadające do zbiornika małej fontanny pośrodku ogrodu tworzyły delikatne, nachodzące na siebie kręgi, a każdy z nich błyskawicznie zniknął rozszerzając się gwałtownie, w nieustannym drzeniu wyraźnych, szybko przemijających kółek na powierzchni wody w okrągłej misie z szarego kamienia.

Ogród otaczały milczące ściany domu i zasłonięte żaluzjami okna. Był on jak jeden z wewnętrznych pokoi otoczony innymi, osłonięty - lecz jak pokój bez sufitu. Pokój, do którego wpadał deszcz.

Ręce Luz były wilgotne i zimne. Zadygotała. Wróciła do drzwi, do mrocznego pokoju, gdzie siedziała Vera.

Stała pomiędzy Vera i światłem i powiedziała schrypniętym, cichym głosem: - Jakim człowiekiem jest mój ojciec?

Chwila przerwy. - Czy to uczciwe z twojej strony, że mnie o to pytasz? A z mojej, jeśli odpowiem?... No cóż, chyba tak. Więc co mogę powiedzieć? Jest silny. Jest królem, prawdziwym królem.

- To tylko słowo, nie wiem, co ono znaczy.

- Mamy stare opowieści - syn króla, który jeździł na tygrysie... No cóż, chcę powiedzieć, że ma silną duszę, wielkie serce. Lecz kiedy człowiek jest zamknięty wśród ścian, które wzmacniał i podwyższał całe życie, to może żadna siła nie wystarczy. Nie potrafi się już wydostać na zewnątrz.

Luz przeszła przez pokój, pochyliła się, by podnieść niemowlęcy czepek ciśnięty pod krzesło, i stanęła z twarzą odwróconą od Very, wygładzając kawałek na wpół wyhaftowanego materiału.

- Ja też nie potrafię - powiedziała.

- O, nie, nie - rzekła energicznie starsza kobieta. - Nie znajdujesz się wewnątrz ścian wraz z nim! On cię nie chroni - to ty go chronisz. Gdy wieje wiatr, nie wieje on na niego, ale na dach i ściany tej Stolicy, którą wybudowali jego ojcowie jako fortecę przeciwko nieznanemu, jako osłonę. A ty jesteś częścią tej Stolicy, częścią jego dachów i ścian, jego domu, Casa Falco. Tak jak i jego tytuł, senhor, Radny, Szef. Tak jak wszyscy jego służący i strażnicy, wszyscy mężczyźni i kobiety, którym może wydawać polecenia. Wszyscy oni stanowią część jego domu, ścian nie dopuszczających do niego wiatru. Rozumiesz, co mam na myśli? Mówię to tak głupio. Nie wiem, jak to powiedzieć. Chodzi mi o to,

że myślę, iż twój ojciec jest człowiekiem, który powinien zostać wielki, ale popełnił duży błąd. Nigdy nie wyszedł na deszcz.

Vera zaczęła odwijać uprzedzoną nić z wrzeciona i zwijać ją na motek, przypatrując się mu w nikłym świetle. - I tak, ponieważ nie chce dać się zranić, krzywdzi tych, których kocha najbardziej. Potem to dostrzega i w końcu go to rani.

- Rani jego? - rzekła dziewczyna gwałtownie.

- Och, to ostatnia rzecz, jakiej dowiadujemy się o naszych rodzicach. Ostatnia, bo kiedy się jej dowiadujemy, oni już nie są naszymi rodzicami, lecz innymi ludźmi jak my...

Luz usiadła na wiklinowej sofie i położyła sobie czepek na kolanie, nadal ostrożnie go wygładzając dwoma palcami.

Po dłuższej chwili powiedziała: - Cieszę się, że tu przyszedłeś, Vero.

Vera uśmiechnęła się i dalej odwijała nić.

- Pomogę ci.

Na kolanach odwijając nić z wrzeciona, żeby Vera mogła nawinać ją równymi zwojami, rzekła: - Głupio z mojej strony, że tak powiedziałam. Chcesz wrócić do rodziny, tutaj jesteś w więzieniu.



- W bardzo przyjemnym więzieniu! I nie mam rodziny. Oczywiście, że chcę wrócić. Żebym mogła przychodzić i odchodzić tak jak mi się podoba.

- Nigdy nie wyszłaś za mąż?

- Było tyle innych rzeczy do zrobienia - odparła Vera z uśmiechem, łagodnie.

- Tyle innych rzeczy do zrobienia! Dla nas nie ma nic innego do zrobienia.

- Nie?

- Jeśli nie wyjdiesz za mąż, jesteś starą panną. Robisz czepki dla dzieci innych kobiet. Każesz kucharce gotować zupę rybną. Śmieją się z ciebie.

- Boisz się tego? Żeby inni się z ciebie śmiali?

- Tak. Bardzo. - Luz rozplątywała przez chwilę nic zaczepioną o uchwyt wrzeciona. - Nie obchodzi mnie, czy śmieją się głupcy - powiedziała ciszej. - Ale nie chcę, by mną pogardzano. A ta pogarda byłaby zasłużona. Bo naprawdę bycie kobietą wymaga takiej samej odwagi jak bycie mężczyzną. Naprawdę zawarcie małżeństwa, rodzenie dzieci i wychowywanie ich wymaga odwagi.

Vera obserwowała jej twarz. - Tak. To wymaga odwagi. Wielkiej odwagi. Ale czy to twój jedyny wybór - małżeństwo i macierzyństwo albo nic?

- A cóż innego istnieje dla kobiety? Cóż innego, co naprawdę się liczy?

Vera odwróciła się nieco, by wyjrzeć przez otwarte drzwi na szary ogród. Westchnęła, mimowolnie wciągając głęboko powietrze.

- Bardzo chciałam mieć dziecko - powiedziała. - Ale widzisz, istniały inne... ważne rzeczy. - Uśmiechnęła się lekko. - O tak, to wybór. Lecz nie jedyny. Można być matką, a oprócz tego kimś innym. Można robić więcej niż jedną rzecz. Z siłą woli i szczęściem... Nie miałam wiele szczęścia, a może byłam uparta, może dokonałam złego wyboru. Widzisz, nie lubię kompromisów. Oddałam serce mężczyźnie, który... oddał serce komuś innemu. To był Sasza - Aleksander Shults, ojciec Leva. Och, dawno temu, jeszcze przed twoim urodzeniem. Więc on się ożenił, a ja dalej robiłam to, co umiałam, bo zawsze mnie to interesowało, ale nie zainteresował mnie już żaden inny mężczyzna. Ale nawet gdybym wyszła za męża, to czy musiałabym przez całe życie siedzieć na tyłach domu? Wiesz, jeśli siedzi się na tyłach domu, z dziećmi czy bez, i zostawia się resztę świata mężczyznom, to oczywiście mężczyźni wszystko zrobią i będą wszystkim. A dlaczego miałoby tak być? Stanowią tylko połowę rasy ludzkiej. To nieucz-

ciwe zostawiać im całą robotę. Ani w stosunku do nich, ani do nas. Poza tym - tu uśmiechnęła się szerzej - bardzo lubię mężczyzn, ale czasami... są tacy głupi, tak napchani teoriami... Poruszają się tylko po liniach prostych i nie chcą się zatrzymać. To niebezpieczne. Niebezpiecznie jest zostawić wszystko mężczyznom. To przyczyna, dla której chciałam pójść do domu, przynajmniej w odwiedziny. Żeby zobaczyć, co knuje Elia pełen swych teorii i mój kochany młody Lev pełen ideałów. Martwię się, że ruszą zbyt szybko i zbyt prostą drogą, doprowadzając nas do pozycji, z której nie będziemy mogli się wycofać, do pułapki. Widzisz, wydaje mi się, że słaby i niebezpieczny punkt mężczyzn leży w ich próżności. Kobieta ma punkt skupienia, sama nim jest. Mężczyzna nie, on sięga na zewnątrz. Więc sięga i chwyta różne rzeczy, gromadzi je wokół siebie i mówi: Jestem tym, jestem tamtym, to jestem ja, tamto jestem ja, udowodnię, że ja to ja! I próbując to udowodnić potrafi mnóstwo zniszczyć. To właśnie usiłowałam powiedzieć o twoim ojcu. Gdyby tylko był Luisem Falco. To wystarczy. Ale nie, on musi być Szeffem, Radnym, Ojcem i tak dalej. Co za marnotrawstwo! A Lev też jest strasznie próżny, może w taki sam sposób. Wielkie serce, ale nie ma pewności, gdzie leży jego

punkt skupienia. Och, jakże bym chciała z nim porozmawiać, choćby przez dziesięć minut, i upewnić się, że... - Vera dawno już zapomniała o zwijaniu nici; potrząsnęła ze smutkiem głową i spojrzała na motek nieobecny wzrokiem.

- No to idź - powiedziała cicho Luz.

Vera wyglądała na lekko zdumioną.

- Wracaj do Miasta. Dziś w nocy. Ja cię wypuszczę. A jutro powiem ojcu, że to zrobiłam. Potrafię coś zrobić - coś oprócz siedzenia tu, szycia, przeklinania i słuchania tego głupiego Macmilana!

Gibka, silna i pewna siebie, dziewczyna porwała się na nogi i stanęła nad Vera, siedzącą spokojnie, jakby skurczoną.

- Dałam słowo, Luz Marina.

- Jakie to ma znaczenie?

- Jeśli nie będę mówiła prawdy, nic mogę jej poszukiwać - odparła Vera ostrym tonem.

Patrzyły na siebie z zaciętymi twarzami.

- Nie mam dzieci - powiedziała Vera - a ty nie masz matki. Gdybym mogła ci pomóc, dziecko, zrobiłabym to. Ale nie w ten sposób. Ja dotrzymuję obietnic.

- Ja ich nie składam - rzekła Luz.

Zdjęła z wrzeciona pasmo nici, a Vera nawinęła je na

motek.

## Rozdział 6

Drzwi trzęsły się od uderzeń rękojeści bicz. Rozbrzmiewały męskie głosy, gdzieś w dole przy Gospodarstwie Nad Rzeką ktoś krzyczał. Wieśniacy zbili się w grupę, kuląc się w zimnej, przenikniętej zapachem dymu mgle; nie nastał jeszcze świt, domy i twarze ginęły we mgle i ciemności. Wewnątrz niewielkich domów głośno krzyczały dzieci, przestraszone strachem rodziców i zamętem. Ludzie usiłowali zapalać lampy, żeby znaleźć ubranie, uciszyć dzieci. Strażnicy ze Stolicy, podnieceni, uzbrojeni wśród bezbronnych i ubrani wśród pozbawionych ubrań, gwałtownie otwierali drzwi, wpychali się do ciepłych, ciemnych wnętrz domów, wykrzykiwali rozkazy do wieśniaków i do siebie nawzajem, popychali kobiety w jedną stronę, a mężczyzn w inną; oficer stracił kontrolę nad swymi podwładnymi rozproszonymi w ciemności między domami i wśród tłumu rosnącego na jedynej ulicy wioski; tylko uległość wieśniaków nie pozwoliła emocjom z

powodu brutalności zmienić się w ekstazę morderstwa i gwałtu. Protestowali, spierali się i zadawali pytania, ale ponieważ większość sądziła, że są aresztowani, a wszyscy zgodzili się w Domu Zebrań, iż nie będą się opierać aresztowaniom, jak najszybciej wykonywali polecenia straży; gdy zrozumieli jakieś polecenie, szybko i wyraźnie przekazywali informację dalej - dorośli mężczyźni wyjść na ulicę, kobiety i dzieci zostać w domach - jako najlepszy środek samoobrony; tak że rozgorączkowany oficer stwierdził, iż jego więźniowie sami się ustawiają. Gdy tylko uformowała się grupa jakichś dwudziestu osób, kazał czterem strażnikom, w tym jednemu uzbrojonemu w muszkiet, wyprowadzić ją z wioski. Dwie takie grupy wyprowadzono z Wioski Ziemi Stołowej; czwartą z Wioski Południowej właśnie formowano, gdy przybył Lev. Żona Lyonsa Rosa przybiegła z Ziemi Stołowej do Szantih i, wyczerpana, waliła w drzwi Shultsów, sapiąc: - Zabierają mężczyzn, strażnicy, zabierają wszystkich mężczyzn. - Lev wyruszył natychmiast, sam, zostawiając Saszę, by obudził resztę Miasta. Gdy przybył na miejsce, dysząc po trzykilometrowym biegu, mgła rzedła i robiła się świetlista; postacie wieśniakowi strażników na Drodze Południowej dziwnie majaczyły w półświe-

---

tle. Lev przeciął pole w kierunku czoła grupy. Zatrzymał się przed mężczyzną stojącym na czele na wpół stłoczonego, na wpół rozciągniętego szeregu. - Co się dzieje?

- Pobór do pracy. Stawaj w szeregu z innymi.

Lev znał tego strażnika, wysokiego człowieka imieniem Angel; przez rok chodzili razem do szkoły. Południowa Bryza i inne dziewczęta z Szantih bały się Angela, bo kiedy tylko mógł, zapędzał je do kątów w przejściach i próbował ich dotykać.

- Stawaj w szeregu - powtórzył Angel i uniósł muszkiet, opierając koniec lufy o pierś Leva. Oddychał prawie tak ciężko jak Lev i miał bardzo rozszerzone oczy. Roześmiał się dyszącym śmiechem widząc, jak lufa strzelby unosi się i opada od ciężkiego oddechu Leva. - Słyszałeś kiedyś, jak coś takiego strzela, chłopcze? Głośno, głośno, jak nasienie drzewa pierścieniwego... - Mocniej przycisnął muszkiet do mostka Leva, a potem nagle wycelował w niebo i wypalił.

Oszołomiony strasznym hałasem, Lev zatoczył się do tyłu i stał z wytrzeszczonymi oczyma. Twarz Angela śmiertelnie poszarzała; przez kilka sekund też stał jak bez czucia, wstrząśnięty odrzutem prymitywnej strzelby.



Wieśniacy stojący za Levem rzucili się w przód, myśląc, że został zastrzelony, a z nimi nadbiegli inni strażnicy, krzycząc i przeklinając; długie bicze rozwinęły się i zaczęły trzaskać, migając dziwnie we mgle. - Nic mi nie jest - powiedział Lev. Jego własny głos brzmiał mu w uszach słabo i odlegle. - Nic mi nie jest! - zawołał najgłośniejszym, jak potrafił. Usłyszał, że Angel też krzyczy; zobaczył, jak jakiś wieśniak dostał biczem prosto w twarz. - Wracać do szeregu! - Dołączył do wieśniaków, którzy zbili się w grupę, a potem, słuchając rozkazów, rozciągnęli się po dwóch, po trzech i zaczęli iść ku południowi nierówną drogą.

- Dlaczego idziemy na południe? To nie jest Droga Stołeczna, dlaczego idziemy na południe? - ktoś obok niego, chłopak w wieku około osiemnastu lat, wyszeptał chrapliwie.

- To pobór do pracy - powiedział Lev. - Jakaś robota. Ilu wzięli? - Potrząsnął głową, by pozbyć się brzęczącego oszołomienia.

- Wszystkich mężczyzn w naszej dolinie. Dlaczego musimy iść?

- Żeby przyprowadzić innych z powrotem. Kiedy znajdziemy się wszyscy razem, będziemy mogli działać razem. Wszystko będzie dobrze. Nikt nie został ranny?

- Nie wiem.

- Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się - wyszeptał Lev, nie wiedząc, co mówi. Zaczął zostawać w tyle, aż znalazł się obok uderzonego mężczyzny. Ten szedł zakrywając ramieniem oczy, a inny mężczyzna trzymał go za ramię, prowadząc. Byli ostatni w szeregu; z tyłu szedł strażnik, ledwo widoczny w nisko leżącej mgłę.

- Widzisz coś?

- Nie wiem - odparł mężczyzna przyciskając ramię do twarzy. Jego rozczochrane siwe włosy sterczały w kępkach. Miał na sobie koszulę nocną i spodnie i był bosy. Szerokie nagie stopy wyglądały dziwnie dziecinnie, gdy szurały w błocie i obijały się o kamienie na drodze.

- Zabierz rękę, Pamplona - powiedział jego towarzysz z niepokojem. - Żebyśmy mogli zobaczyć.

Strażnik idący z tyłu coś krzyknął, groźbę czy rozkaz szybszego marszu.

Pamplona opuścił rękę. Oboje oczu miał zamknięte; jedno było nietknięte, drugie ginęło w otwartej, krwawiącej szramie, gdzie rzemień bicia ciął od końca brwi do nasady nosa. - Boli - powiedział. - Co to było? Nic nie widzę, mam coś w oku. Lyons? To ty? Chcę do domu.

Zabrano ponad setkę ludzi z wiosek i samotnych gospodarstw leżących na południe i zachód od Szantih, by rozpocząć pracę na nowych posiadłościach w Dolinie Południowej. Ludzie dotarli na miejsce rano, gdy mgła podnosiła się znad Rzeki Młyńskiej poskręcanyymi wstęgami. Kilku strażników postawiono na Drodze Południowej, by nie dopuścili awanturników z Szantih do pracującej pod przymusem grupy. Rozdzielono narzędzia: motyki, oskardy, noże do wycinania zarośli, i ustawiono ludzi do pracy po czterech czy pięciu, a każdej takiej grupy pilnował strażnik uzbrojony w bicz albo muszkiet. Ani dla nich, ani dla trzydziestu strażników nie było żadnych baraków czy schronień. Gdy nadszedł wieczór, ułożyli ogniska z wilgotnego drewna i położyli się spać na wilgotnej ziemi. Żywność dostarczono, ale chleb nasiąknął deszczem, więc poważnie zmienił się w ciastowatą masę. Strażnicy zawzięcie sarkali między sobą. Wieśniacy wytrwale rozmawiali. Najpierw oficer dowodzący całym przedsięwzięciem, kapitan Eden, usiłował zakazać rozmów, obawiając się spisku; potem jednak, gdy zdał sobie sprawę, że jedna z grup sprzecza się z inną chcącą uciec w nocy, pozwolił im rozmawiać. Nie miał żadnego sposobu powstrzymania ich przed wymykaniem się

w ciemności pojedynczo lub po dwóch; strażnicy z muszkietami zostali rozstawieni wokół, ale nie widzieli po ciemku, nie było możliwości utrzymania płonących ognisk w deszczu i mimo rozkazów nie udało im się zbudować „ogrodzonego terenu”. Wieśniacy ciężko pracowali przy oczyszczaniu terenu, ale w kwestii skonstruowania jakiegokolwiek płotu czy palisady z wyciętych krzaków i kolczastych zarośli okazali się nieporadni i głupi, a jego własni ludzie nie chcieli odłożyć broni dla takiej roboty.

Kapitan Eden postawił swoich ludzi na straży; sam tej nocy nie spał.

Rankiem wyglądało, że wszyscy, zarówno jego ludzie jak i wieśniacy, jeszcze są na miejscu; wszyscy poruszali się w zamglonym zimnie powoli. Rozpalenie ognisk, ugotowanie jakiegoś śniadania i podanie go zajęło całe godziny. Potem znów trzeba było rozdać narzędzia: długie motyki, groźne stalowe noże do wycinania zarośli, oskardy, maczety. Uzbrojonych w nie stu dwudziestu mężczyzn przeciwko trzydziestu z biczami i muszkietami. Czy nie widzieli, co mogą tak łatwo uczynić? Pod niedowierzającym spojrzeniem kapitana Edena wieśniacy przechodzili obok sterty narzędzi tak jak wczoraj, brali to, czego potrzebowali, i

znów zabierali się do oczyszczania zbocza opadającego ku rzece z zarośli i podszycia. Pracowali ciężko i dobrze; znali tę robotę; nie zwracając wielkiej uwagi na rozkazy strażników podzielili się na zespoły, zmieniając się przy najcięższej pracy. Większość strażników wyglądała na znudzonych, zmarzniętych i zbędnych i tak też się czuła. Byli w złym humorze cały czas od chwili krótkiego i nie spełnionego podniecenia napadu na wioski i zgarnięcia mężczyzn.

Słońce tego ranka pojawiło się późno, ale przed południem chmury zgęstniały i znów zaczął padać deszcz. Kapitan Eden zarządził przerwę na posiłek - kolejna porcja zepsutego chleba - i właśnie rozmawiał z dwoma strażnikami, których wysyłał do Stolicy z prośbą o świeże dostawy oraz jakieś płótno na namioty i do położenia na ziemi, gdy podszedł do niego Lev.

- Jeden z naszych ludzi potrzebuje lekarza, a dwóch innych jest za starych na taką pracę. - Pokazał ręką Pamplonę, który z głową zabandażowaną podartą koszulą siedział rozmawiając z Lyonsem i dwoma siwowłosymi mężczyznami. - Powinno się ich wysłać do ich wioski.

Zachowanie Leva, choć nie pasujące do podwładnego zwracającego się do oficera, było całkowicie

uprzejme. Kapitan spojrział na niego taksująco, lecz bez uprzedzenia. Zeszłego wieczora Angel pokazał tego niedużego, żylastego człowieka jako jednego z przewodników z Miasta Chat i przy jakimkolwiek poleceniu czy groźbie wieśniacy wyraźnie patrzyli na Leva, jakby oczekiwali wskazówki. W jaki sposób ją otrzymywali, kapitan nie wiedział, bo nie widział, żeby Lev wydawał im jakieś polecenia; ale jeśli ten chłopak jest w jakiś sposób ich przywódcą, kapitan Eden chętnie z nim porozmawia. Najbardziej deprymującym elementem całej sytuacji był dla kapitana Edena brak jakiegokolwiek struktury. On tu rządził, a jednak nie miał władzy poza tym, na co pozwalali mu ci ludzie i jego własny oddział. Jego ludzie w najlepszym wypadku byli nieokrzesani, a teraz czuli się sfrustrowani i wykorzystywani. Ludzie z Miasta stanowili niewiadomą. W ostatecznym rozrachunku na niczym nie mógł w pełni polegać oprócz swego muszkietu, a dziewięciu jego ludzi także było uzbrojonych. Niezależnie od tego, czy stosunek wynosi trzydzieści przeciw stu dwudziestu, czy jeden przeciwko stu czterdziestu dziewięciu, mądrym sposobem postępowania była najwyraźniej rozsądna stanowczość bez szykan. - To tylko cięcie biczem - powiedział cicho do młodego mężczyzny. - Może zostać

---

zwolniony od pracy na parę dni. Starzy mogą pilnować żywności, suszyć mu chleb, podtrzymywać ogień. Nikomu nie wolno odejść przed skończeniem roboty.

- Cięcie jest głębokie. Straci oko, jeśli nie otrzyma opieki. I cierpi. Musi iść do domu.

Kapitan zastanowił się. - Dobrze - powiedział. - Skoro nie może pracować, może odejść. Sam.

- To za daleka droga, żeby szedł bez pomocy.

- No to zostanie.

- Trzeba będzie go nieść. Do niesienia noszy jest potrzebnych czterech ludzi.

Kapitan Eden wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Senhor, ustaliliśmy, że nie będziemy pracować, dopóki Pamplona nie otrzyma opieki.

Kapitan znów odwrócił się do Leva, bez zniecierpliwienia, ze spokojnym spojrzeniem. - „Ustaliliście”...?

- Gdy on i starzy ludzie zostaną odesłani do domu, wrócimy do pracy.

- Moje rozkazy pochodzą od Rady - rzekł kapitan - a wasze ode mnie. Musisz im to uświadomić.

- Proszę posłuchać - powiedział młodzieniec żywo, ale bez zapalczywości. - Postanowiliśmy dalej pracować, przynajmniej przez jakiś czas. Warto wykonać tę robotę, społeczność rzeczywiście potrzebuje nowych

---

ziem uprawnych; to dobre miejsce na wioskę. Ale my nie wykonujemy rozkazów. Ustępujemy przed waszą groźbą użycia siły, by zaoszczędzić sobie i wam okaleczenia czy morderstwa. Jednak teraz chodzi o życie Pamplony i jeśli wy nie podejmiecie działań, by go uratować, będziemy musieli to zrobić my. Ci dwaj starzy mężczyźni nie mogą tu pozostać bez schronienia. Stary Słońce ma artretyzm. Dopóki nie zostaną odesłani do domu, nie możemy kontynuować pracy.

Okrągała, smagała twarz kapitana Edena wyraźnie pobladła. Młody Sze Macmilan powiedział mu: - Zbierz parę setek chłopów i każ im oczyścić zachodni brzeg Rzeki Młyńskiej poniżej brodu - i brzmiało to prosto, praca niełatwa, lecz praca dla mężczyzny, prawdziwa odpowiedzialność pociągająca za sobą nagrodę. Jednak wydawało się, że on jest jedyną odpowiedzialną osobą. Jego ludzie ledwo dawali się kontrolować, a tych z Miasta Chat nie można było zrozumieć. Najpierw byli przestraszeni i niewiarygodnie ulegli, a teraz usiłowali mu rozkazywać. Jeśli rzeczywiście nie bali się jego strażników, to po co tracili czas na rozmowy? Gdyby był jednym z nich, rzuciłby wszystko w diabły i zadbał o maczetę dla siebie; było ich czterech na jednego i najwyżej dziesięciu zginęłoby od kul, zanim powaliliby



i zabili widłami strażników z muszkietami. Ich zachowanie nie miało żadnego sensu, a przynosiło im wstyd i nie było godne mężczyzn. Gdzie w tej przeklętej głuszy ma odnaleźć szacunek dla samego siebie? Tego już za wiele: szara rzeka dymiąca deszczem, pokręcona, rozmokła dolina, spleśniała owsianka, która miała być chlebem, zimno w plecy, gdzie przylegała do ciała jego namoknięta bluza, ponure twarze jego ludzi, głos tego dziwnego chłopaka mówiący mu, co ma robić. Wziął muskiet do ręki. - Słuchaj - odezwał się. - Ty i cała reszta - wracajcie do pracy. Już. Bo każę was związać i zabrać do Stolicy, do więzienia. Wybieraj.

Nie mówił głośno, ale wszyscy, strażnicy i wieśniacy, zdawali sobie sprawę z tego starcia. Wielu wstało od ognisk tworząc grupy i grupki ludzi uwalanych błotem, z mokrymi włosami przylepionymi do czoła. Minęła chwila, kilka sekund, najwyżej pół minuty, bardzo długa, milcząca, gdyby nie odgłos deszczu padającego na gołą ziemię wokół nich, na splątane krzewy schodzące do rzeki i na liście drzew bawełnianych rosnących nad rzeką, delikatny, miękki, rozległy szelest.

Oczy kapitana usiłujące obserwować wszystko naraz, własnych ludzi, wieśniaków, stertę narzędzi, napotkały wzrok Leva i nie potrafiły się od niego uwol-

nić.

- Utknęliśmy w miejscu, senhor - młodzieniec powiedział niemal szeptem. - Co teraz?

- Powiedz im, żeby wzięli się do roboty.

- Dobrze! - odrzekł Lev odwracając się. - Rolf, Aldi, możecie zacząć robić nosze? Wy i dwóch ludzi ze Stolicy zanieście Pamplonę z powrotem do Szantih. Thomas i Słońce pójdą z nimi. Reszta z nas wraca do pracy, tak? - On i cała reszta podeszli do stosu motyk i oskardów, wzięli narzędzia i niespiesznie znów rozciągnęli się w poprzek stoku tnąc gęstwiny zarośli, wykopując korzenie krzewów.

Kapitan Eden zwrócił się do swoich ludzi z uczuciem zimna w dołku. Najbliżej stali ci, którym poprzednio wydawał rozkazy. - Zanim pójdziecie do Stolicy, odprowadźcie chorych do ich wioski. Macie być z powrotem przed zapadnięciem nocy z dwoma silnymi mężczyznami. Zrozumiano? - Zobaczył, że Angel stojący z muszkietem w ręku patrzy na niego. - Pójdiesz z nimi, poruczniku - rzekł szorstko. Dwaj strażnicy zasalutowali z twarzami bez wyrazu; spojrzenie Angela było otwarcie bezczelne, szydercze.

Tego wieczora Lev i trzech innych wieśniaków znów podeszło do kapitana siedzącego przy ognisku. - Sen-

hor - odezwał się jeden ze starszych mężczyzn - widzi pan, zdecydowaliśmy, że będziemy tu pracować przez tydzień na rzecz społeczności, jeśli wy, ludzie ze Stolicy, będziecie pracować razem z nami. Widzi pan, nic z tego nie będzie, gdy dwudziestu czy trzydziestu was stoi naokoło nic nie robiąc, a my pracujemy.

- Zaprowadź tych ludzi z powrotem na swoje miejsce, Martin - powiedział kapitan do strażnika na warcie. Strażnik pochylił się do przodu z ręką na trzonku bicia; wieśniacy spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i wrócili do swego ogniska. Kapitan Eden powiedział sobie w duchu, że najważniejsze to nie mówić i nie pozwolić im mówić. Zapadła noc, ciemna i ulewna. W Stolicy nigdy tak nie padało; tam były dachy. Deszcz strasznie hałasował w ciemnościach, wszędzie wokół, nad całymi kilometrami, kilometrami, kilometrami czarnych pustkowi. Ogniska zatrzeszczały, utopiły się. Strażnicy kulili się żałośnie pod drzewami, opuszczali lufy muszkietów w chlupiące błoto, kucali, klęli i trzęśli się. Gdy nadszedł świt, nie było ani jednego wieśniaka; odpłynęli w noc, w deszcz. Brakowało także czternastu strażników.

Poblady, ochryply, pokonany, wyzywający, kapitan Eden zebrał resztki swego przemokniętego do szpiku

kości oddziału i wyruszył z powrotem do Stolicy. Straci szarżę, może zostanie wychłostany lub okaleczony za karę za niepowodzenie, ale w tej chwili było mu wszystko jedno. Było mu wszystko jedno, co z nim zrobią oprócz wygnania. Z pewnością rozumieją, że to nie jego wina, nikomu nie udało się wykonać tego zadania. Wygnanie zdarzało się rzadko, tylko za najgorsze zbrodnie, zdradę, zabójstwo Szefa; za takie rzeczy wyrzucało się skazańca ze Stolicy, zawoziło łodzią daleko wzdłuż wybrzeża, zostawiało samego na pustkowiu, kompletnie samego, pod groźbą tortur i zastrzelenia, jeśli kiedykolwiek powrócił do Stolicy, ale żaden nigdy nie wrócił; umierali w samotności, zagubieni, w strasznej obojętnej pustce, milczeniu. Kapitan Eden szedł oddychając ciężko, wypatrując przed sobą pierwszych dachów Stolicy.

W ciemności i ulewnym deszczu wieśniacy musieli się trzymać Drogi Południowej; gdyby usiłowali rozproszyć się na wzgórzach, natychmiast by się pogubili. I tak trudno było trzymać się drogi, stanowiącej tylko szlak wydeptany stopami rybaków i gdzieniegdzie pobrużdżony kołami wozów z drewnem. Musieli iść bardzo powoli, wyczuwając drogę, aż wreszcie deszcz zelżał, a potem robiło się coraz jaśniej. Większość z

nich wymknęła się po północy i o brzasku znajdowali się niewiele bliżej niż w połowie drogi do domu. Mimo obawy przed pogonią większość została na drodze, by posuwać się szybciej. Lev ruszył z ostatnią grupą i teraz celowo szedł za innymi. Gdyby zobaczył nadchodzących strażników, mógłby krzykiem ostrzec innych, którzy rozbiegliby się z drogi w zarośla. Tak naprawdę nie musiał tego robić, wszyscy bardzo czujnie spoglądali do tyłu, ale pozwalało mu to na samotność. Nie chciał przebywać z innymi, rozmawiać. Chciał być sam, gdy wilgotne srebrzyste słońce wstawało nad wzgórzami na wschodzie; chciał iść sam na sam ze zwycięstwem.

Wygrali. Udało się. Wygrali bitwę bez przemocy. Żadnej śmierci; jedna rana. „Niewolnicy” uwolnieni bez jednej groźby czy uderzenia; Szefowie uciekają do swych Szefów, by zameldować o porażce i może zastanowić się, dlaczego tak się stało, i by zacząć rozumieć, widzieć prawdę... To dość porządni ludzie, ten kapitan i inni; gdy wreszcie dostrzegą przebłysk wolności, osiągną ją. Stolica w końcu połączy się z Miastem. Gdy opuszczą ich strażnicy, Szefowie porzucą tę żalostną zabawę w rząd, ich roszczenia do władzy nad innymi ludźmi. Też zrozumieją, wolniej niż robotnicy,

ale nawet oni rozumieją, że aby być wolnym, trzeba odłożyć broń i zrezygnować z umocnień, i wyjść na zewnątrz jako równi wśród równych, bracia. I wtedy słońce rzeczywiście wzniesie się nad wspólnotą Ludzkości na Victorii, tak jak teraz srebrzyste światło przedarło się pod ciężką warstwą chmur nad wzgórzami i wszystkie cienie odskoczyły za wąską drogę, a wszystkie kałuże zabłyśły po całonocnym deszczu jak śmiech dziecka.

I to właśnie ja, myślał Lev z radosnym niedowierzaniem, to właśnie ja mówiłem w ich imieniu, do mnie się zwrócili i nie zawiodłem ich. Wytrzymaliśmy! O, mój Boże, kiedy wystrzelił w powietrze i pomyślałem, że nie żyję, a potem pomyślałem, że ogłuchłem! Ale wczoraj, z kapitanem, ani razu nie pomyślałem: „A co, jeśli wystrzeli?”, bo wiedziałem, że nie potrafiłby unieść broni, on też wiedział, że broń na nic się nie przyda... Jeśli trzeba coś zrobić, to można tego dokonać. Można wytrzymać. Udało mi się, wszystkim nam się udało. O mój Boże, jakże ja ich kocham, kocham ich wszystkich. Nie wiedziałem, nie wiedziałem, że na świecie istnieje takie szczęście!

Szedł wielkimi krokami przez jasne powietrze do domu, a spadły deszcz rozpryskiwał się wokół jego

stóp prędkim, zimnym śmiechem.

## Rozdział 7

- Potrzeba nam więcej zakładników - szczególnie ich przywódców, prowodyrów. Musimy rozgniewać ich tak, by stawili nam opór, ale nie możemy ich przestraszyć tak, żeby bali się działać. Rozumiecie? Ich obroną jest bierność i gadanie, gadanie, gadanie. Chcemy, żeby oddali cios, kiedy ich przywódcy będą w naszych rękach, bo wtedy ich obrona będzie zdeorganizowana i da się łatwo pokonać. Wtedy stracą ducha i łatwo nam pójdzie. Musicie spróbować schwytać chłopaka, jak on się nazywa, Shults; tego Elię; każdego, kto zachowuje się jak ich rzecznik. Musicie ich sprowokować, ale nie przerazić. Możesz polegać na swoich ludziach, że przestaną coś robić, kiedy im każesz?

Luz nie usłyszała odpowiedzi od Hermana Macmilana, tylko niedbałe, niechętne mruknięcie. Najwyraźniej nie podobało mu się wysłuchiwanie, że „musi” zrobić to czy tamto, ani wypytywanie, czy rozumie.

- Musisz schwytać Leva Shultsa. Jego dziadek był



jednym z ich wielkich przywódców. Możemy zagrozić egzekucją. I wykonać ją w razie potrzeby. Ale lepiej byłoby tego nie robić. Jeśli za bardzo ich przestraszymy, wrócą do tych swoich ideałów i będą się ich trzymać, bo nie mają nic innego. A my chcemy zmusić ich do zdrady ich ideałów, co będzie wymagało opanowania z naszej strony, a także do utraty wiary w ich przywódców, argumentów i gadania o pokoju.

Luz stała pod gabinetem ojca, tuż pod oknem szeroko otwartym na bezwietrzne, deszczowe powietrze. Herman Macmilan wkroczył do domu przed kilku minutami z jakąś wiadomością; słyszała jego głos rozbrzmiewający oskarżycielsko gniewem: - Przede wszystkim trzeba było użyć moich ludzi! Mówiłem ci! - Ciekawiło ją, co się stało, i ze zdumieniem słuchała, jak ktoś mówi do jej ojca takim tonem. Lecz tyrada Hermana nie trwała długo. Zanim wyszła i stanęła pod oknem, gdzie mogła podsłuchiwać, Falco w pełni panował nad sytuacją, a Herman mamrotał:

- Tak, tak. - To tyle, jeśli chodzi o Macmilana Wielka Gęba. Dowiedział się, kto wydaje polecenia w Casa Falco i w Stolicy. Ale te polecenia...

Dotknęła policzków wilgotnych od drobnego deszczu, a potem potrząsnęła rękoma, jak gdyby dotknęła

czegoś oślizłego. Jej srebrne bransoletki zadzwoniły i Luz zamarła jak królik, przyciskając się do ściany domu pod oknem, żeby nie zobaczył jej Herman albo ojciec, gdyby któryś z nich się wychylił. Raz w trakcie rozmowy Falco podszedł do okna i oparł ręce na parapecie; jego głos unosił się tuż nad nią i Luz wydawało się, że czuje w powietrzu ciepło jego ciała. Poczowała nieodpartą chęć podskoczenia i krzyknięcia - Uuu! - i jednocześnie gorączkowo wymyślała wyjaśnienia: - Szukałam naparstka, który mi wypadł - Chciała się głośno roześmiać, a słuchała, słuchała z poczuciem oszołomienia, które sprawiało, że czuła podnoszące się w gardle łzy. Czy to jej ojciec, jej ojciec mówi takie potworne rzeczy? Vera powiedziała, że on ma wielką duszę. Czy wielka dusza mówiłaby tak o podchodzeniu ludzi, straszaniu ich, zabijaniu, wykorzystywaniu ich?

To właśnie robi z Hermanem Macmilanem, pomyślała Luz. Wykorzystuje go.

A dlaczegożby nie, dlaczegożby nie? Do czego innego mógłby się przydać Herman Macmilan?

A do czego ona mogłaby się przydać? Do wykorzystywania, i on ją wykorzystywał - dla swej próżności, wygody, jako swoją maskotkę, całe jej życie; a ostatnio wykorzystywał ją do utrzymywania w ryzach Herma-

na Macmilana. Wczoraj wieczorem kazał jej grzecznie go bawić, ilekroć Herman chciałby z nią rozmawiać. Herman na pewno poskarżył się, że uciekła od niego. Wielki, skamlący, skarżący się tyran. Tyrani, obaj, wszyscy, z tymi swoimi dużymi torsami, przechwałkami, rozkazami i oszukańczymi planami.

Luz już nie słuchała, o czym mówili obaj mężczyźni. Odsunęła się od ściany, wyprostowała, jakby obojętna na wszystkie oczy, które mogłyby ją dostrzec. Obeszła dom do tylnego wejścia i weszła przez spokojne, brudne kuchnie czasu sjesty do pokoju przydzielonego Verze Adelson.

Vera też zażywała sjesty i przyjęła ją zaspana.

- Podśluchiwałam ojca i Hermana Macmilana - powiedziała Luz stojąc pośrodku pokoju, a Vera siedząca na łóżku mrugała oczyma. - Planują atak na Miasto. Chcą uwięzić Leva i innych przywódców, a potem doprowadzić twoich ludzi do gniewu i walki, żeby mogli ich pobić i wysłać wielu z nich za karę do pracy na nowych gospodarstwach. Niektórych już tam posłali, ale wszyscy uciekli albo uciekli strażnicy - tego nie usłyszałam wyraźnie. Więc teraz Macmilan wyrusza ze swoją „małą armią”, a ojciec każe mu zmusić ludzi do walki, żeby zdradzili swe ideały, a on mógł ich wyko-

rzystać wedle swej woli.

Vera siedziała z szeroko otwartymi oczyma. Nic nie mówiła.

- Wiesz, co ma na myśli. A jeśli ty nie wiesz, to wie Herman. On chce wypuścić ludzi Hermana na kobiety.  
- Głos Luz brzmiał zimno, choć mówiła prędko. - Powinnaś pójść ich ostrzec.

Vera nadal nic nie mówiła. Patrzyła odległym wzrokiem na swe nagie stopy, albo oszołomiona, albo myśląc tak szybko, jak mówiła Luz.

- Czy nadal nie chcesz iść? Czy twoja obietnica nadal cię obowiązuje? Po tym?

- Tak - odparła starsza kobieta, niewyraźnie, jakby z roztargnieniem, a potem mocniejszym głosem: - Tak.

- No to ja pójdę.

- Dokąd?

Wiedziała; zapytała tylko po to, by zyskać na czasie.

- Żeby ich ostrzec - rzekła Luz.

- Kiedy ma nastąpić ten atak?

- Chyba jutro w nocy. W nocy, ale nie byłam pewna, którą noc mieli na myśli.

Chwila przerwy.

- Może to dzisiaj. Powiedzieli: „Lepiej, kiedy będą w łóżku”. Powiedział to ojciec, a Herman Macmilan ro-

ześmiał się.

- A jeśli pójdziesz... to co zrobisz?

Vera nadal mówiła, jakby była zaspana, cichym głosem, z częstymi przerwami.

- Powiem im, a potem wrócę.

- Tutaj?

- Nikt się nic dowie. Zostawię wiadomość, że jestem z wizytą u Evy. To nie ma znaczenia. Jeśli powiem ludziom z Miasta o tym, co usłyszałam, to co oni zrobią?

- Nie wiem.

- Ale lepiej, żeby wiedzieli i mogli planować z wyprzedzeniem? Mówiłaś mi, że musicie planować to, co chcecie robić, przygotować wszystkich...

- Tak; To by pomogło. Ale...

- No to pójdę. Zaraz.

- Luz. Posłuchaj. Pomyśl, co robisz. Czy możesz pójść w biały dzień, tak by nikt nie zauważył, że wychodzisz ze Stolicy? Czy możesz wrócić? Pomyśl...

- Nie obchodzi mnie, czy będę mogła wrócić. Ten dom jest pełen kłamstw - powiedziała dziewczyna tym samym zimnym, prędkim tonem i wyszła.

Wyjście poszło łatwo. Trudniej było iść.

Wziąć po drodze stary czarny szal i owinać się nim dla ochrony przed deszczem i rozpoznaniem; wy-

mknąć się tylnymi drzwiami i pobiec wąską uliczką jak służąca śpiesząca do domu; opuścić Casa Falco, opuścić Stolicę - wszystko było łatwe, ekscytujące. Nie bała się zatrzymania; nie bała się nikogo. Gdyby ją zatrzymano, wystarczyło, że powie: - Jestem córką Radnego Falco! - i nikt nie ośmieliłby się powiedzieć słowa. Nikt jej nie zatrzymał. Była całkiem pewna, że nikt jej nie rozpoznał, bo szła bocznymi uliczkami, najkrótszą drogą ze Stolicy, pod górę obok szkoły, czarny szal narzuciła na głowę, a deszczowa bryza, która jakby ją popychała, wiała w oczy każdemu idącemu naprzeciw niej. W ciągu kilku minut zostawiła ulice za sobą przecinając tyły składów drewna Macmilanów, klucząc między stertami belek i desek; a potem pod górę urwiskiem i już znajdowała się na drodze do Miasta Chat.

Właśnie wtedy zaczęło być ciężko - wtedy, gdy postawiła stopy na tej drodze. Była na niej tylko raz w życiu, kiedy z grupą przyjaciół poszła oglądać tańce w Domu Zebrań, odpowiednio obstawiona ciotkami, duennami i strażnikami z Casa Marquez. Było lato, rozprawiali i śmiali się całą drogę, od pedaksówki ciotki Evy, Cateriny, odpadło koło i ciotka wypadła w pył drogi i całe popołudnie ciotka Caterina oglądała tańce

w czarnej sukni z wielkim kręgiem białego kurzu z tyłu, tak że nie mogli powstrzymać chichotu... Ale nawet nie przeszli przez Miasto. Jak tam było? O kogo powinna spytać w Mieście Chat i co powinna powiedzieć? Trzeba było omówić to najpierw z Vera, zamiast wybiegać w takim pośpiechu. Co jej powiedzą? Czy ją w ogóle wpuszczą, skoro przychodzi ze Stolicy? Czy będą się na nią gapić, szydzić z niej, próbować ją skrzywdzić? Podobno nikogo nie krzywdzą. Prawdopodobnie po prostu nie będą z nią rozmawiać. Wiatr wiejący jej w plecy wydawał się teraz zimny. Deszcz przesiąkł przez szal i sukienkę na plecach, a brzeg jej spódnicy był ciężki od błota i wilgoci. Pola opustoszały, poszarzały jesienią. Gdy się obejrzała, nie było widać niczego oprócz Wieży Pomnikowej, bladej i zaniedbanej, wskazującej bezsensownie w niebo; wszystko, co знаła, leżało ukryte za tym punktem orientacyjnym. Na lewo dostrzegała czasami rzekę, szeroką i szarą, sieczoną deszczem niesionym podmuchami wiatru.

Przekaze wiadomość pierwszej napotkanej osobie, niech zrobią z nią, co chcą; od razu odwróci się i wróci do domu. Będzie z powrotem najwyżej w ciągu godziny, na długo przed kolacją.

Na lewo od drogi zobaczyła wśród drzew owoco-

wych małe gospodarstwo, a na podwórku jakąś kobietę. Zwolniła tempo marszu. Skręci do gospodarstwa, przekaże wiadomość kobiecie, która zanieśie ją ludziom w Mieście Chat, a sama będzie mogła tu zawrócić i pójść do domu. Luz zawahała się, ruszyła w kierunku zabudowań, a potem zawróciła poprzez zmoczoną deszczem trawę z powrotem na drogę. - Pójdę, zrobię, co mam do zrobienia, i wrócę - szepnęła do siebie. - Pójdę, zrobię, wrócę. - Poszła jeszcze szybciej, prawie pobiegła. Policzki jej płonęły, brakło jej tchu. Przez całe miesiące, lata nie chodziła daleko albo szybko. Nie może wejść między obcych czerwona i zadyszana. Zmusiła się do zwolnienia, do spokojnego kroku. Wyprostowała się. Miała sucho w gardle i w ustach. Chciała zatrzymać się i spić deszcz z liści przydrożnych krzaków, zwijając język, by dosięgnąć chłodnych kropli pokrywających każde źdźbło dzikiej trawy. Ale to byłoby dziecinne. Myślała, że będzie bliżej. Czy to w ogóle droga do Miasta Chat? Czyżby się pomyliła i trafiła na jakąś ścieżkę drwali, jakąś ścieżkę bez końca, prowadzącą na pustkowie?

Przy tym słowie - pustkowie - przeszył jej ciało zimny dreszcz strachu, zatrzymując ją w pół kroku.

Obejrzała się, by spojrzeć na Stolicę, kochaną, ciasną,



---

ciepłą, zatłoczoną, piękną Stolicę ścian i dachów, ulic, twarzy i głosów, swój budynek, swój dom, swoje życie, ale nie było tam nic, nawet Wieża schowała się za długim wzniesieniem, po którym biegła droga. Pola i wzgórza były puste. Wielki, łagodny wiatr wiał z pustego morza.

Nie ma się czego bać, powiedziała sobie Luz. Dlaczego jesteś takim tchórzem? Nie możesz się zgubić, stoisz na drodze; jeśli to nie jest Droga do Miasta, wystarczy zawrócić i znajdziesz się w domu. Nie będziesz chodzić po górach, więc nie natkniesz się na skorpiona skalnego; nie znajdziesz się w lesie, więc nie wpadniesz na trującą różę, czego się boisz, nic cię tu nie skrzywdzi, jesteś całkowicie bezpieczna na drodze.

Ale szła dalej z przerażeniem, wpatrzona w każdy kamień, krzak i grupę drzew, dopóki za grzbietem kamienistego wzniesienia nie zobaczyła dachów pokrytych czerwoną strzechą i nie poczuła dymu z palenisk. Weszła do Miasta Chat. Twarz miała zaciętą, plecy wyprostowane i szczelnie owinęła się szalem.

Domki stały porozrzucane wśród drzew i ogrodów warzywnych. Domów było dużo, ale całość nie stłoczona, ogrodzona, chroniona jak Stolica. Wilgotne, rozrzucone domy wyglądały ubogo w to spokojne,

deszczowe popołudnie. W pobliżu nie było żadnych ludzi. Luz szła powoli wijącą się ulicą usiłując podjąć decyzję: może zawołać do tamtego mężczyzny? Może zapukać do tych drzwi?

Pojawiło się znikąd małe dziecko i utkwilo w niej wzrok. Chłopczyk miał jasną skórę, ale od palców u nóg do kolan i od palców u rąk do łokci pokrywało go brunatne błoto, widoczne także tu i tam na całym jego ciele, sprawiając wrażenie, że chłopczyk jest łaciaty. To co miał na sobie, też było poplamione i wysmarowane interesującym zestawem różnych rodzajów błota. - Witaj - powiedział po dłuższej chwili. - Kto ty jesteś?

- Luz Marina. A ty?

- Marius - odparł i zaczął się wycofywać.

- Czy wiesz, gdzie... gdzie mieszka Lev Shults? - Nie chciała pytać o Leva, wołała raczej porozmawiać z kimś obcym, ale nie pamiętała żadnego innego imienia. Vera opowiadała jej o wielu ludziach, słyszała, jak jej ojciec wymienia imiona „prowodyrów”, ale teraz nie pamiętała żadnego z nich.

- Lev jak dalej? - spytał Marius drapiąc się w ucho i dodając w ten sposób bogaty osad błota do istniejącego już tam złoża. Wiedziała, że mieszkańcy Miasta Chat

raczej nie używają między sobą nazwisk, jedynie kiedy przychodzą do Stolicy.

- Jest młody i... - Nie wiedziała, kim jest Lev: przywódcą? Kapitanem? Szefem?

- Dom Saszy jest tam - powiedziało łaciate dziecko wskazując błotnistą, zarośniętą uliczkę i wycofało się tak sprawnie, że wydawało się, iż po prostu wtopiło się we wszechobecną mgłę i błoto.

Luz zacisnęła zęby i podeszła do wskazanego domu. Nie ma się czego bać. To tylko brudna mała miejscowość. Dzieci są brudne, a dorośli to chłopcy. Przekaze wiadomość komukolwiek, kto otworzy drzwi, a potem będzie po wszystkim i będzie mogła iść do domu do wysokich, czystych pokoi Casa Falco.

Zapukała. Drzwi otworzył Lev.

Poznała go, choć nie widziała się z nim dwa lata. Był na wpół ubrany i rozczochrany, wyrwany ze sjeisty, wpatrując się w nią ze świetlistą, dziecinną głupotą na wpół obudzonego. - O - powiedział ziewając. - Gdzie jest Andre?

- Jestem Luz Marina Falco. Ze Stolicy.

Świetliste spojrzenie zmieniło się, pogłębiło, obudził się.

- Luz Marina Falco - rzekł. Jego ciemna, szczupła

---

twarz ożywiła się; spojrział na nią, potem poza nią w poszukiwaniu jej towarzyszy, znów na nią. Jego oczy, czujne, ostrożne, rozbawione, niedowierzające, wyrażały wiele uczuć. - Czy jesteś tutaj... z...

- Przyszłam sama. Mam... muszę ci powiedzieć...

- Vera - powiedział. Żadnego uśmiechu na tej ruchliwej twarzy, ale napięcie, gniew.

- Vera ma się dobrze. Inni też. Chodzi o was, o Miasto. Zeszłej nocy coś się wydarzyło, nie wiem co... ty na pewno wiesz...

Skinął głową nie spuszczać z niej wzroku.

- Są rozgniewani i chcą tu przyjść, chyba jutro w nocy, ci, których szkoli młody Macmilan, te zbiry, i chcą uwięzić ciebie i innych przywódców, a potem - rozgniewać innych, tak by walczyli, i żeby mogli ich pobić i zmusić do pracy na latyfundiach za karę za bunt. Przyjdą po zapadnięciu ciemności, chyba jutro, ale nie jestem pewna, i ma ich chyba czterdziestu, ale wszyscy z muszkietami.

Lev nadal ją obserwował. Nic nie mówił. Dopiero teraz, w tej ciszy, usłyszała pytanie, którego sobie nie zadała.

I to pytanie tak ją zaskoczyło, była tak daleka od nawet początku odpowiedzi, że stała wpatrzona w

niego z twarzą czerwieniejącą z zakłopotania i strachu, nie potrafiąc wypowiedzieć ani słowa.

- Kto cię posłał, Luz? - zapytał w końcu łagodnie.

Nic dziwnego, że to była jego odpowiedź na pytanie, że myślał, iż ona kłamie albo że Falco wykorzystuje ją do zastawienia pułapki czy jako szpiega. Nic dziwnego, że tak myślał i uważał, iż Luz służy swemu ojcu, a nie zdradza go. Mogła jedynie potrząsnąć głową. Plątały jej się ręce i nogi, przed oczyma miała rozbłyśki światła; czuła, że robi się jej niedobrze. - Muszę już iść - powiedziała, ale nie poruszyła się, bo kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

- Nic ci nie jest? Wejdz, usiądź. Na chwilę.

- Kręci mi się w głowie - odrzekła. Jej głos brzmiał cienko i jękliwie, wstydziła się go. Wprowadził ją do środka. Usiadła na wiklinowym krześle przy stole w ciemnym, długim, niskim pokoju. Zdjęła z głowy szal, bo było jej w nim za gorąco i za ciężko; pomogło; policzki jej ochłoneły, a w miarę jak przyzwyczajała się do mroku panującego w pokoju, przestały jej migać światła w oczach. Lev stał obok niej, przy końcu stołu. Był boso, ubrany tylko w spodnie; stał spokojnie. Nie widziała jego twarzy, ale w jego postawie, w jego spokoju nie wyczuwała groźby ani gniewu, ani pogardy.

---

- Śpieszyłam się - powiedziała. - Chciałam szybko wrócić, to daleka droga, zakręciło mi się w głowie. - Potem wzięła się w garść, znalazłszy w sobie pod wzburzeniem i strachem takie miejsce, taki cichy zakątek, gdzie jej umysł mógł przycupnąć i pomyśleć. Chwilę się zastanawiała i w końcu odezwała się:

- Vera mieszka z nami. W Casa Falco. Wiedzieliście o tym? Ona i ja jesteśmy cały dzień razem. Rozmawiamy. Ja jej mówię o tym, co usłyszę, ona mówi mi... różne rzeczy... próbowałam przekonać ją, żeby tu wróciła. Żeby cię ostrzec. Nie chce, mówi, że obiecała, że nie ucieknie i że musi dotrzymać obietnicy. Więc przysłałam ją. Słyszałam, jak rozmawiają, Herman Macmilan i mój ojciec. Usłyszałam, poszłam pod okno i słuchałam dalej. Rozgniewało mnie to, co mówili. Zrobiło mi się od tego niedobrze. Więc kiedy Vera nie chciała pójść, poszłam ja. Czy wiesz o tych nowych strażnikach, strażnikach Macmilana?

Lev potrząsnął głową, wpatrzony w nią z uwagą.

- Nie kłamię - powiedziała zimno. - Nikt mnie nie wykorzystuje. Nikt oprócz Very nawet nic wic, że wyszłam z domu. Przyszłam, bo mam dosyć wykorzystywania, niedobrze mi się robi od kłamstw i bezczynności. Możesz mi wierzyć albo nie. Wszystko mi jedno.

Lev znów potrząsnął głową mrugając oczyma jakby oszołomiony. - Nie, ja nie... Ale mów trochę wolniej...

- Nie ma czasu. Muszę wrócić, zanim ktokolwiek zauważy. No dobrze, mój ojciec namówił młodego Macmilana, żeby wyszkolił oddział złożony z synów Szefów na specjalną armię do użycia przeciw twoim ludziom. Od dwóch tygodni nie mówią o niczym innym. Idą tu z powodu tego, co się wydarzyło w Dolinie Południowej, i mają schwytać ciebie i innych przywódców, a potem zmusić twoich ludzi do walki, żeby zdradzili w ten sposób swój ideał pokoju, jak wy to nazywacie, niestosowania przemocy. Wtedy zaczniecie walczyć i przegracie, bo my walczymy lepiej, a przede wszystkim mamy broń. Znasz Hermana Macmilana?

- Chyba z widzenia - odparł Lev. Tak zupełnie różnił się od mężczyzny, którego imię właśnie wypowiedziała i którego obraz wypełniał jej umysł - wspaniała twarz i muskularne ciało, szeroki tors, długie nogi, silne ręce, grube ubranie, bluza, spodnie, wysokie buty, pas, płaszcz, strzelba, bicz, nóż... Ten mężczyzna był bosy, a pod ciemną, delikatną skórą na piersi widziała żebra i mostek.

- Nienawidzę Hermana Macmilana - powiedziała Luz nieco wolniej, mówiąc z wnętrza chłodnego za-

kątka, w którym mogła myśleć. - Ma duszę wielkości paznokcia palca u nogi. Powinieneś się go bać. Ja się boję. Lubi krzywdzić innych. Nie próbuj z nim tak rozmawiać, jak to robią inni ludzie. Nie będzie słuchał. Wypełnia sobą cały swój świat. Takiego człowieka można tylko albo uderzyć, albo od niego uciec. Ja uciekłam. Wierzysz mi? - Teraz już mogła o to zapytać.

Lev skinął głową.

Spojrzała na jego ręce złożone na oparciu krzesła: ścisnął mocno drewnianą poprzeczkę; pod ciemną skórą jego ręce były samymi nerwami i kośćmi, mocne, kruche.

- Dobrze. Muszę wracać - powiedziała i podniosła się.

- Zaczekaj. Powinnaś to powiedzieć innym.

- Nie mogę. Ty im to powiedz.

- Ale mówiłaś, że uciekłaś od Macmilana. Wracasz teraz do niego?

- Nie! Do ojca... do domu...

Ale on miał rację. To było to samo.

- Przyszłam was ostrzec - rzekła zimno - ponieważ Macmilan chciał was oszukać i zasługuje na to samo. To wszystko.

Ale to nie wystarczyło.



Spojrzała w otwarte drzwi i zobaczyła uliczkę, którą będzie musiała iść, za nią główną ulicę, potem drogę, potem Stolicę, jej ulice, swój dom, ojca...

- Nie rozumiem - powiedziała. Usiadła z powrotem dość gwałtownie, bo znów drżała, choć już nie ze strachu, ale z gniewu. - Nie pomyślałam. Vera mówiła...

- Co mówiła?

- Powiedziała, żebym się zatrzymała i pomyślała.

- Czy...

- Zaczekaj. Muszę pomyśleć. Nie zrobiłam tego wtedy, więc muszę teraz.

Przez kilka minut siedziała nieruchomo na krześle z rękoma złożonymi na podolku.

- Dobrze - odezwała się. - To wojna. Vera powiedziała. Powinnam... zdradziłam stronę ojca. Vera jest zakładniczką w Stolicy. Ja będę musiała być zakładniczką w Mieście. Jeśli ona nie może przychodzić i odchodzić, to ja też. Muszę dalej to ciągnąć. - Powietrze utykało jej w gardle, co sprawiało, że na końcu zdań zająkiwała się.

- My nie bierzemy zakładników, nie więzimy ludzi, Luz...

- Wcale tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że muszę tu zostać. Dokonałam takiego wyboru. Pozwo-

lisz mi na to?

Lev odszedł w głąb pokoju, odruchowo pochylając głowę pod niską belką poprzeczną. Jego koszula suszyła się na krześle przed ogniem; włożył ją, wszedł do pokoju z tyłu, wyszedł z butami w ręku i usiadł na krześle przy stole, by je włożyć. - Posłuchaj - powiedział nachylając się - możesz tu zostać. Każdy może. Nikogo nie zmuszamy do odejścia, nikogo nie zmuszamy do pozostania. - Wyprostował się i spojrzał wprost na nią. - Ale co pomyśli twój ojciec? Nawet jeśli uwierzy, że zostałeś tu z własnego wyboru...

- Nie pozwoliliby na to. Przyszędłby mnie odebrać.
- Siłą.
- Tak, siłą. Niewątpliwie z Macmilanem i jego małą armią.
- A więc ty staniesz się pretekstem do stosowania przemocy, a tego chcą. Musisz iść do domu, Luz.
- Dla waszego dobra - powiedziała.

Po prostu zastanawiała się nad tym, widząc, co zrobiła i co z tego musi wyniknąć. Lecz Lev siedział bez ruchu z butem - jak zauważyła, zabłoconym i zniszczonym - w ręku.

- Tak - powiedział. - Dla naszego dobra. Przyszłaś tu dla naszego dobra. Teraz dla naszego dobra wracaj. A

jeśli dowiedzą się, że tu byłaś? - Chwila przerwy. - Nie - odezwał się. - Nie możesz wrócić. Odkryją twoje kłamstwo - twoje i swoje. Przyszłaś właśnie tutaj. Z powodu Very, z naszego powodu. Jesteś z nami.

- Nie, nie jestem - powiedziała Luz z gniewem, ale światło i ciepło w twarzy Leva zdezorientowały ją. Mówił tak jasno, z taką pewnością, a teraz się uśmiechał.

- Luz - powiedział - pamiętasz, jak byliśmy w szkole? Byłaś zawsze... zawsze chciałem z tobą porozmawiać, nigdy się na to nie zdobyłem... Raz rozmawialiśmy, o zachodzie słońca; zapytałaś, dlaczego nie chciałem walczyć z Anżelem i jego bandą. Nigdy nie byłaś jak inne dziewczęta ze Stolicy, nie pasowałaś do nich, nie miałaś tam swego miejsca. Twoje miejsce jest tutaj. Prawda ma dla ciebie znaczenie. Pamiętasz, jak rozzłościłaś się kiedyś na nauczyciela, kiedy powiedział, że króliki nie zapadają w sen zimowy, a Timmo usiłował opowiedzieć, jak znalazł całą jaskinię pełną śpiących królików, a nauczyciel chciał go wychłostać za bezczelność, pamiętasz...

- Powiedziałam, że powiem ojcu - rzekła Luz cicho. Pobladła.

- Wstałaś na środku klasy, powiedziałaś, że nauczy-

---

ciel nie zna prawdy i że chce wychłostać Timma za to, iż ten ją powiedział - miałaś tylko czternaście lat. Posłuchaj, Luz, chodź ze, mną, pójdziemy do domu Elii. Powiesz im, co powiedziałaś mnie, i uzgodnimy, co zrobić. Nie możesz teraz wrócić i zostać ukarana, poniżona! Słuchaj, możesz mieszkać z Południową Bryzą, ona ma domek za miastem, będziesz miała tam spokój. Ale teraz chodź ze mną, nie możemy tracić czasu. - Wyciągnął do niej nad stołem rękę, tę piękną, ciepłą rękę pełną życia; ujęła ją i spojrzała mu w oczy; jej własne wypełniły się łzami.

- Nie wiem, co zrobić - rzekła we łzach. - Włóż tylko jeden but, Lev.

## Rozdział 8

Mimo braku czasu trzeba było zebrać całą społeczność, przyjąć stanowczą postawę i wytrwać. W rzeczywistości pośpiech działał na ich korzyść, bo bez presji bojaźliwi i niezdecydowani mogliby się wycofać, ale pod groźbą nadciągającego ataku wszyscy chcieli odnaleźć i zachować punkt skupienia, siłę grupy.

Był taki punkt i on się w nim znajdował - sam był punktem skupienia razem z Andre, Południową Bryzą, Martinem, Italią, Santhą i wszystkimi innymi młodymi, zdecydowanymi. Very nie było z nimi, a jednak była we wszystkich ich decyzjach ze swą łagodnością i niezłomną stanowczością. Nie było tam Elio; on, Klejnot i kilku innych, głównie starszych ludzi, stali z boku, musieli stać z boku, bo ich wola nie była wolą społeczności. Elia nigdy nie popierał planu emigracji, a teraz argumentował, że posunęli się za daleko, że dziewczynę trzeba natychmiast odesłać do ojca razem z delegacją, która „usiądzie z Radą i porozmawia - gdybyśmy tylko

usiedli i porozmawiali ze sobą, nie potrzebna by była ta cała nieufność i opór...”

- Ubrojeni mężczyźni nie siadają do rozmów, Elia - powiedział ze znużeniem stary Lyons.

Zwrócili się nie do Elii, ale do „ludzi Very”, do młodych. Lev czuł, jak wspiera go i podtrzymuje siła przyjaciół i całej społeczności. To tak, jakby nie był samym Levem, ale Levem po tysiącokroć - on sam, ale niezmiernie wzmocniony, powiększony, nieograniczone ja zmieszane ze wszystkimi innymi ja, wolny jak nigdy nie mógłby być wolny żaden pojedynczy człowiek.

Właściwie nie istniała potrzeba naradzania się, wyjaśniania ludziom, co trzeba zrobić, wyjaśniania zwanego, cierpliwego oporu, jaki muszą przeciwstawić przemocy Stolicy. Już wiedzieli, myśleli za niego, a on za nich; jego słowo wyrażało ich wolę.

Ta dziewczyna Luz, ta obca, wygnanka z własnej woli: jej obecność w Szantih wyostrzała na zasadzie kontrastu to poczucie doskonałej wspólnoty i przyprawiała je współczuciem. Wiedzieli, dlaczego przyszła, i usiłowali być dla niej uprzejmi. Była wśród nich samotna, przestraszona i podejrzliwa, unosząc się dumą i arogancją córki Szefa, gdy czegoś nie rozumiała. Ale Lev uważał, że rozumie bez względu na to, jak wielki

zamęt panował w jej umyśle; rozumiała sercem, bo przyszła do nich z ufnością.

Gdy jej to powiedział, gdy powiedział, że jest i zawsze była w głębi ducha jedną z nich, że należy do Ludu Pokoju, przybrała lekceważący wyraz twarzy. - Nie znam nawet tych waszych ideałów - rzekła. Wiele się jednak nauczyła od Very, a podczas tych dziwnych, pełnych napięcia, beczynnych dni oczekiwania na jakieś słowo lub atak ze Stolicy, gdy zawieszono zwykłą pracę, a „ludzie Very” spędzali ze sobą wiele czasu, Lev rozmawiał z nią tak często, jak tylko mógł, pragnąc całkowicie wprowadzić ją między nich, do punktu skupienia, gdzie spoczywało tak wiele pokoju i siły i gdzie nie było się samemu.

- Tak naprawdę to bardzo nudne - wyjaśniał - jakby spis reguł, jak w szkole. Najpierw robi się to, potem tamto. Najpierw próbuje się negocjacji i rozstrzygnięcia problemu, jakikolwiek by on był, przez arbitraż i istniejące środki i instytucje. Próbuje się go rozwiązać przez rozmowy, tak jak wciąż doradza Elia. Tym etapem były rozmowy grupy Very z Radą. Nie udało się. Więc przechodzi się do etapu drugiego: brak współpracy. Jakby się osiadło w bezruchu, aby wiedzieli, że mówi się poważnie. W tym punkcie jesteśmy teraz.

---

Następnie trzeci etap, który teraz przygotowujemy: wydanie ultimatum. Ostateczne wezwanie podsuwające konstruktywne rozwiązanie i jasne określenie, co zostanie zrobione, jeśli rozwiązanie to nie zostanie zaakceptowane.

- A co się stanie, jeśli przypadkiem się nie zgodzą?
- Przejdziemy do etapu czwartego. Obywatelskiego nieposłuszeństwa.
- Co to takiego?
- Odmowa wykonywania jakichkolwiek poleceń, bez względu na okoliczności, wydawanych przez kwestionowaną władzę. Ustanawiamy własną, równoległą, niezależną władzę i idziemy własną drogą.
- Tak po prostu?
- Tak po prostu - odparł z uśmiechem. - Na Ziemi udawało się za każdym razem. Mimo wszelkich gróźb, więzienia, tortur i ataków. Można o tym przeczytać, powinnaś przeczytać Mirovskiej Historię...
- Nie potrafię czytać książek - powiedziała dziewczyna lekceważąco. - Raz próbowałam. Skoro wychodziło tak dobrze, dlaczego wysłali was z Ziemi?
- Było nas za mało. Rządy okazały się zbyt duże i potężne. Ale przecież nie zesłaliby nas na wygnanie, gdyby się nas nie bali, prawda?



- To właśnie mówi mój ojciec o swoich przodkach - zauważyła Luz. Jej brwi ściągnęły się w równą linię nad oczyma, ciemnymi myślącymi oczyma. Lev obserwował ją, uspokojony na chwilę jej spokojem, zaskoczony jej obcością. Mimo bowiem jego upartego twierdzenia, że jest jedną z nich, wcale tak nie było; nie była podobna do Południowej Bryzy, do Very, do żadnej kobiety, jaką znał.

Była inna, obca. Tak jak w szarej czapli znad Stawu Zebrań, była w niej cisza, cisza, która go przyciągała, przyciągała do innego punktu skupienia.

Obserwacja tak go pochłonięła, że choć Południowa Bryza coś powiedziała, nie usłyszał jej, a kiedy Luz sama się odezwała, zaskoczyło go to i przez chwilę znajomy pokój w domu Południowej Bryzy wydał mu się dziwnym, obcym miejscem.

- Chciałabym, żebyśmy mogli o tym wszystkim zapomnieć - powiedziała, - Ziemia - to sto lat temu, inny świat, inne słońce, jakie to ma tutaj dla nas znaczenie? Jesteśmy tu, teraz. Dlaczego nie możemy postępować na swój sposób? Ja nie pochodzę z Ziemi. Wy nie pochodzicie z Ziemi. To jest nasz świat... Powinien mieć własną nazwę. „Victoria” brzmi głupio, to ziemskie słowo. Powinniśmy nadać mu własną nazwę.

- Jaką?
- Taką, która nic nie znaczy. Obo albo Bubu. Albo nazwijmy go Błoto. Jest cały z błota - jeśli Ziemia nazywa się „ziemia”, to dlaczego nie możemy go nazwać „błoto”? - W jej głosie, co często się zdarzało, brzmiał gniew, ale gdy Lev roześmiał się, poszła w jego ślady. Południowa Bryza tylko się uśmiechnęła, ale powiedziała swym cichym głosem: - Tak, racja. I wtedy moglibyśmy stworzyć własny świat, zamiast zawsze naśladować to, co się robiło na Ziemi. Gdyby nie istniała przemoc, nie musiałoby istnieć niestosowanie przemocy...
- Zacząć od błota i zbudować świat - powiedział Lev.
- Ale czy nie rozumiesz, że to właśnie robimy?
  - Babki z błota - odparła Luz.
  - Budujemy nowy świat.
  - Z kawałków starego.
  - Jeśli ludzie zapomną, co zdarzyło się w przeszłości, będą musieli wszystko powtórzyć od początku, nigdy nie ruszą w przyszłość. Dlatego na Ziemi ciągle toczyły się wojny. Zapominali, jaka była ostatnia. My zaczynamy na nowo. Ponieważ pamiętamy stare błędy i nie chcemy ich powtarzać.
  - Czasami wydaje mi się - powiedział Andre, który

siedział przy ogniu i naprawiał sandały Południowej Bryzy (parał się też naprawianiem butów) jeśli pozwolisz mi tak powiedzieć, Luz, że w Stolicy pamiętają wszystkie stare błędy, aby mogli je popełniać od początku.

- Nie wiem - rzekła obojętnie. Wstała i podeszła do okna. Było zamknięte, bo deszcz nie przestał padać i ochłodziło się od wiejącego ze wschodu wiatru. Nie wielki ogień rozpalony na kominku ogrzewał i oświetlał pokój. Luz stanęła plecami do tej przytulnej atmosfery i wyglądała przez małe mętne szybki okna na ciemne pola i gnane wiatrem chmury.

Następnego ranka po przyjeździe do Szantih, po rozmowie z Levem i innymi, Luz napisała list do ojca. Krótki list, choć napisanie go zajęło jej cały ranek.

Najpierw pokazała go Południowej Bryzie, potem Levowi. Gdy teraz patrzył na nią, na jej wyprostowaną, silną postać odcinającą się czernią od światła, znów widział ów list, proste, czarne, sztywne pociągnięcia. Napisała:

***Czcigodny Panie!  
Opuściłam nasz dom. Pozostanę w Mieście Chat,  
bo nie pochwalam Pańskich planów. Odejdziecie z do-***

*mu i pozostanie tutaj były moimi własnymi decyzjami. Nikt mnie nie więzi ani nie trzyma jako zakładniczki. Ci ludzie są moimi Gospodarzami. Jeśli potraktuje Pan ich źle, nie jestem po Pańskiej stronie. Musiałam dokonać tego wyboru. Popęłnił Pan błąd co do H. Macmilana. Senhora Adelson nie miała nic wspólnego z moim przyjściem tutaj. To był mój Wybór.*

*Pańska pełna szacunku Córka  
Luz Marina Falco Cooper*

Żadnego wyrazu uczucia; żadnej prośby o przebaczenie.

I żadnej odpowiedzi. List został natychmiast wzięty przez biegacza, młodego Witaj, który wsunął go pod drzwi Casa Falco i pobiegł dalej. Gdy tylko wrócił bezpiecznie do Szantih, Luz zaczęła czekać na odpowiedź ojca, obawiać się jej, ale i wyraźnie się jej spodziewać. To było całe dwa dni temu. Nie nadeszła żadna odpowiedź, żaden nocny atak, nic. Wszyscy rozważali, jaką zmianę w planach Falco mogła spowodować zdrada Luz, ale nie robili tego w jej obecności, chyba że sama podejmowała ten temat.

Właśnie mówiła: - Naprawdę nie rozumiem waszych

ideałów. Tych wszystkich etapów, zasad, rozmów.

- To nasza broń - odparł Lev.
- Ale dlaczego chcecie walczyć?
- Nie ma innego wyboru.
- Owszem, jest. Odejść.
- Odejść?
- Tak! Odejść na północ, do doliny, którą znaleźliście. Po prostu odejść. Zostawić wszystko. Ja to zrobiłam - dodała, patrząc na niego władczo, gdy nie odpowiedział od razu. - Odeszłam.
- A oni po ciebie przyjdą - rzekł łagodnie.

Wzruszyła ramionami. - Na razie nie przyszli. Nic ich nie obchodzi.

Południowa Bryza wydała cichy dźwięk ostrzeżenia, protestu, współczucia; tak naprawdę wyraził on wszystko, co trzeba było wyrazić, ale Lev przetłumańczył go: - Ale przyjdą i właśnie, że ich obchodzisz, Luz. Twój ojciec...

- Jeśli przyjdzie po mnie, ucieknę dalej.
- Dokąd?

Znów się odwróciła i nic nie odpowiedziała. Wszyscy myśleli o tym samym: o pustkowiu. Tak jakby pustkowie przyszło do chaty, jak gdyby ściany runęły, nie dając już schronienia. Lev i Andre tam byli, całe

miesiące nie kończącej się, bezgłośnej samotności; tkwiło w ich duszach i nigdy już nie będą mogli siego pozbyć. Południowa Bryza nie była na pustkowiu, lecz leżała tam pochowana jej miłość. Nawet Luz, która nigdy go nie widziała i nie znała go, dziecko tych, którzy przez sto lat budowali ściany, by się od niego odgrozić, i zaprzeczali jego istnienia, znała je i bała się go; wiedziała, że głupotą jest mówienie o opuszczeniu Kolonii na własną rękę. Lev obserwował ją w milczeniu. Było mu jej żal, jak skrzywdzonego, upartego dziecka, które nie chce pociechy, trzyma się na uboczu i nie chce płakać. Ale ona nie była dzieckiem. Stała tam kobieta, stała samotnie w miejscu, gdzie nie mogła otrzymać pomocy ani znaleźć schronienia, kobieta na pustkowiu. Jego żal zginął w podziwieniu i strachu. Bał się jej. Tkwiła w niej siła nie czerpana z miłości, zaufania czy wspólnoty, siła, jaka nie pochodziła z żadnego źródła, które powinno ją dawać, z żadnego źródła, jakie znał. Bał się tej siły i pragnął jej. W ciągu tych trzech dni, kiedy z nią był, stale o niej myślał, widział wszystko z jej punktu widzenia: jak gdyby cała ich walka miała sens tylko wtedy, jeśli ona potrafiłaby ją zrozumieć, jak gdyby jej wybór przeważał ich plany i ideały, według jakich żyli. Była godna politowania,

podziwu, cenna tak jak każda ludzka dusza, ale nie może zawładnąć jego umysłem. Musi zostać jedną z nich, działać z nim, wspierać go, a nie wypełniać jego myśli i wprowadzać w nich zamęt jak teraz. Później będzie czas o niej pomyśleć i ją zrozumieć, później, gdy będą już mieli konfrontację za sobą, gdy wygrają pokój. Później będzie na to czas do końca świata.

- Nie możemy teraz wyruszyć na północ - powiedział cierpliwie i nieco chłodno. - Gdyby odeszła teraz jakaś grupa, osłabiłoby to jedność tych, którzy muszą zostać. A Stolica wytropiłaby osadników. Musimy zdobyć wolność do odejścia - tu i teraz. Potem pójdziemy.

- Dlaczego dałeś im mapy, pokazałeś drogę! - powiedziała Luz niecierpliwie i z ogniem. - To było głupie. Mogliście po prostu odejść.

- Stanowimy wspólnotę - rzekł Lev - Stolica i Miasto. - Nie rozwijał tematu.

Andre zepsuł efekt dodając: - W każdym razie nie moglibyśmy się tak po prostu wymknąć. Duża grupa wędrujących ludzi zostawia bardzo widoczny ślad.

- Więc gdyby rzeczywiście poszli za wami na północ do waszych gór - już tam będziecie i powiecie: „Fatalnie, to nasze, idźcie znaleźć sobie inną dolinę, jest

mnóstwo miejsca!”

- A oni użyją siły. Najpierw trzeba ustalić zasadę równości i wolnego wyboru. W tym miejscu.

- Ale oni używają siły w tym miejscu! Vera jest już uwięziona, inni siedzą w lochu, stary stracił oko, a zbiry idą, żeby was pobić lub zastrzelić - wszystko po to, by ustalić „zasadę”, podczas gdy moglibyście odejść, wyrwać się, zdobyć wolność!

- Wolność zdobywa się poprzez ofiarę - rzekła Południowa Bryza. Lev spojrział na nią, a potem szybko na Luz; nie był pewien, czy Luz wie o śmierci Timma podczas podróży na północ. Prawdopodobnie wie, spędziwszy tu sam na sam z Południową Bryzą ostatnie trzy noce. W każdym razie cichy głos Południowej Bryzy uspokoił ją. - Wiem - powiedziała Luz. - Musicie ryzykować. Ale ofiara... Nie cierpię pojęcia ofiary!

Lev uśmiechnął się wbrew sobie. - A co ty zrobiłaś?

- Nie złożyłam siebie w ofierze żadnej idei! Po prostu uciekłam - nie rozumiesz? I właśnie to powinniście wszyscy zrobić! - Luz mówiła prowokująco, wyzywająco, w samoobronie, a nie z przekonania, ale odpowiedź Południowej Bryzy zaskoczyła Leva. - Może masz rację. Jak długo opieramy się i walczymy, nawet naszą bronią, walczymy w ich wojnie.



Luz Falco pochodzi z zewnątrz, jest obca, nie wie, jak myśli i czuje Lud Pokoju, ale usłyszenie czegoś nieodpowiedzialnego z ust Południowej Bryzy wstrząsnęło nim, stanowiło afront dla ich doskonałej jedności.

- Uciec i ukryć się w lesie - to ma być wybór? - rzekł Lev. - Owszem, dla królików. Ale nie dla ludzi. Wyprostowana postawa i dwie ręce nie robią z nas ludzi. Do tego trzeba prostego kręgosłupa, idei i ideałów! I trzymania się tych ideałów. Razem. Nie możemy żyć samotnie. Inaczej umrzemy samotnie - jak zwierzęta.

Południowa Bryza skinęła ze smutkiem głową, ale Luz spojrzała wprost na niego ze zmarszczonymi brwiami. - Śmierć to śmierć, czy to ważne, gdzie nas dosięga: w łóżku w domu czy na zewnątrz w lesie? Jesteśmy zwierzętami. Dlatego w ogóle umieramy.

- Ale żyć i umrzeć za... za ducha... to coś innego, to coś innego niż uciekać i chować się, oddzielnie, samolubnie, wygrzebując pożywienie, kuląc się, nienawidząc, każdy z osobna... - Lev się zająknął, poczuł gorąco na twarzy. Napotkał wzrok Luz, znów się zająknął i zamilkł. W jej spojrzeniu była pochwała, pochwała, na jaką nigdy nie zasłużył, nigdy nie marzył o zasłużeniu, pochwała i radość, tak że poczuł się utwierdzony, w tej chwili jednoczesnego gniewu i sporu, całkowicie

utwierdzony w swych słowach, życiu, istocie.

To jest prawdziwy punkt skupienia, pomyślał. Słowa te przebiegły mu wyraźnie przez myśl. Nie myślał o nich więcej, ale nic po tamtej ich stronie nie było już takie samo; nic już nie będzie takie samo. Znalazł się wysoko w górach.

Prawą rękę na wpół wyciągnął do Luz w geście usilnej prośby. Zobaczył ten niedokończony gest, ona też go dostrzegła. Nagle zmieszany, opuścił rękę; gest pozostał niedokończony. Poruszyła się gwałtownie, odwróciła się i powiedziała z gniewem i rozpaczą: - Och, nie rozumiem, to wszystko jest takie dziwne, nigdy nie zrozumie, ty wiesz wszystko, a ja nigdy nawet nie myślałam o niczym... - Wyglądała teraz fizycznie mniejsza, mała, rozwścieczona, ulegająca. - Chciałabym tylko... - Przerwała gwałtownie.

- To przyjdzie samo, Luz - rzekł. - Nie musisz się w to rzucać. To przychodzi samo, przyjdzie do ciebie - obiecuję...

Nie zapytała, co obiecywał. On sam też nie potrafił tego wypowiedzieć.

Gdy wyszedł z domu, uderzył go w twarz mokry od deszczu wiatr, pozbawiając tchu. Chwycił powietrze ustami, łzy wypełniły mu oczy, ale nie z powodu wia-

tru. Pomyślał o tym jasnym poranku, srebrzystym wschodzie słońca i swoim wielkim szczęściu odległym zaledwie o trzy dni. Dzisiaj było szaro, bez nieba, mało światła, dużo deszczu i błota. Błoto, ten świat nazywa się Błoto, pomyślał i zachciało mu się śmiać, ale oczy nadal miał pełne łez. Ona zmieniła nazwę tego świata. Tamtego poranka na drodze, pomyślał, to było szczęście, ale to - i nie miał na to żadnego słowa, tylko jej imię, Luz. Wszystko się w nim zawierało, ten srebrzysty wschód słońca, tamten wielki płonący zachód nad Stolicą przed laty, cała przeszłość i wszystko, co miało nadejść, nawet ich obecna praca, rozmowy i planowanie, konfrontacja i ich pewne zwycięstwo, zwycięstwo światła. -Obiecuję, obiecuję - wyszeptał w wiatr. - Całe życie, przez wszystkie lata mego życia.

Chciał iść wolniej, zatrzymać się, uchwycić ten moment. Lecz wiatr wiejący mu w twarz pchał go naprzód. Było tyle do zrobienia i tak mało już czasu. Później, później! Banda Macmilana może nadejść tej nocy; nie wiadomo. Domyśliwszy się, że Luz zdradziła ich plan, oczywiście go zmienili. Do czasu, gdy ich własne plany zostaną ostatecznie ustalone, nie było nic do roboty oprócz czekania w pogotowiu. Gotowość była wszystkim. Nie będzie paniki. Bez względu na to, kto

wykona pierwszy ruch, Stolica czy Miasto, Lud Pokoju będzie wiedział, co robić, jak się zachować. Szedł wielkimi krokami dalej, prawie biegnąc, do Szantih. Na wargach czuł słodki smak deszczu.

Gdy nadeszła wiadomość późno ciemnym popołudniem, był w domu. Przyniósł ją jego ojciec z Domu Zebrań. - Człowiek z bliznami na twarzy, strażnik - powiedział Sasza swym cichym, ironicznym tonem. - Podszedł dumnym krokiem, zapytał o Shultsa. Chyba chodziło mu o ciebie, nie o mnie.

Notatka na grubym, szorstkim papierze, jaki wyrabiano w Stolicy. Przez chwilę Lev myślał, że sztywne czarne słowa napisała Luz.

**Shults: Będę dzisiaj o zachodzie słońca przy pierścieniu hutniczym. Przyrowadź tyłu, ilu chcesz. Ja będę sam.**

**Luis Burnier Falco**

Podstęp, oczywisty podstęp. Zbyt oczywisty? Miał akurat tyle czasu, by wrócić do domu Południowej Bryzy i pokazać notatkę Luz.

- Jeśli pisze, że będzie sam, to będzie sam - powiedziała.

- Słyszałaś, jak planuje nas podejść z Macmilanem -

rzekł Andre.

Spojrzała obok Andre z pogardą. - To jego nazwisko - powiedziała. - Nie położyłby swego nazwiska pod kłamstwem. Będzie sam.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Idę - rzekł Lev. - Tak! Z tobą, Andre! I z tyloma innymi, iłu uważasz za konieczne. Ale będziesz musiał zgarnąć ich dość szybko. Została jeszcze jakaś godzina światła.

- Wiesz, że chcą cię jako zakładnika - powiedział Andre. - Pójdiesz im prosto w ręce?

Lev skinął energicznie głową. - Jak coto - potwierdził i roześmiał się. - Tam - i z powrotem! Chodź, zbierzmy chłopaków, Andre. Luz - chcesz iść z nami?

Stała niezdecydowana.

- Nie - rzekła; skrzywiła się. - Nie mogę. Boję się.

- Jesteś mądra.

- Powinnam iść. Aby mu samemu powiedzieć, że nie trzymacie mnie tutaj, że sama wybrałam. Nie wierzy w to.

- Co wybrałaś i czy on w to wierzy, tak naprawdę nie ma znaczenia - powiedział Andre. - Ciągłe stanowisz pretekst, ich własność. Lepiej nie chodź, Luz. Jeśli

się tam znajdziesz, prawdopodobnie użyją siły, by cię odzyskać.

Skinęła głową, ale nadal się wahała. W końcu rzekła: - Powinnam pójść. - Powiedziała to z tak rozpaczliwą stanowczością, że Lev wtrącił: - Nie... - ale ona mówiła dalej: - Muszę. Nie pozostanę z boku, gdy inni będą ó mnie mówili, walczyli i przekazywali sobie tam i z powrotem.

- Nie zostaniesz przekazana - rzekł Lev. - Należysz do siebie. Chodź z nami, jeśli taki jest twój wybór.

Skinęła głową.

Pierścień hutniczy był starym miejscem po pierścieniu drzew na południe od Drogi dokładnie pośrodku między Miastem i Stolicą, o całe wieki starszym od obu; drzewa zwały się i zgniły dawno temu, zostawiając po sobie tylko okrągły wewnętrzny staw. Postawiono tutaj pierwszą hutę Stolicy; ona też się rozpadła, gdy przed czterdziestu laty znaleziono bogatsze złoża rudy w Południowych Wzgórzach. Kominy i maszyny zniknęły, a stare koślawe szopy z gnijących desek obrośnięte więzoroślą i trującą różą kuliły się, opuszczone, nad płaskim brzegiem stawu.

Andre i Lev zebrali dwudziestoosobową grupę. Andre poprowadził ich naokoło starych szop, aby

sprawdzić, czy nie chowa się w nich lub za nimi żaden oddział straży. Stały puste, a w zasięgu kilkuset metrów nie było żadnego innego miejsca, gdzie mogłyby się ukryć jakaś grupa. Okolica była płaska, pozbawiona drzew, opuszczona i w ponurym świetle schyłku dnia sprawiała przygnębiające wrażenie. Delikatny deszcz padał na okrągłą, szarą wodę, leżącą bez osłony, bezbroną, jak ślepe, otwarte oko. Po drugiej stronie stawu stał czekając na nich Falco. Zobaczyli, że oddala się od zagajnika, który go nieco chronił przed deszczem, i idzie do nich brzegiem stawu, sam.

Lev ruszył do przodu. Andre pozwolił mu się wysunąć, ale szedł o kilka metrów za nim z Saszą, Martinem, Luz i kilku innymi. Reszta grupy została wzdłuż brzegu szarego stawu i na zboczu prowadzącym do Drogi - na straży.

Falco zatrzymał się. Stali na samym brzegu stawu, gdzie łatwiej było iść. Między nimi leżała błotnista zatoczka nie szersza niż długość męskiego ramienia, o brzegach z drobnego piasku, przystań dla statku-zabawki. Doznając niezwykłej ostrości wrażeń Lev zdawał sobie sprawę z tego skrawka wody i piasku oraz tego, jak mogłoby się tu bawić dziecko, tak samo jak z wyprostowanej postaci Falco, jego przystojnej

twarży będącej twarzą Luz, a jednak całkiem innej, jego ściągniętego pasem płaszcz pociemniałego na ramionach i rękawach od deszczu.

Falco z pewnością dostrzegł córkę w grupie ludzi za Levem, ale nie patrzył na nią ani się do niej nie odezwał; mówił do Leva cichym, oschłym głosem, trochę trudno słyszalnym w wielkim szepcie deszczu.

- Jestem sam, jak widzisz, i bez broni. Mówię we własnym imieniu, a nie jako Radny.

Lev skinął głową. Zaprzagnął zwrócić się do tego człowieka po imieniu, nie nazywając go senhorem czy Falco, ale używając jego własnego imienia, Luis; nie rozumiał tego impulsu i nic nie powiedział.

- Chcę, żeby moja córka wróciła do domu.

Drobnym, otwartym ruchem Lev pokazał, że Luz stoi za nim. - Proszę z nią porozmawiać, senhor Falco - rzekł.

- Przyszedłem, aby rozmawiać z tobą. Jeśli mówisz w imieniu buntowników.

- Buntowników? Przeciw czemu, senhor? Ja albo ktokolwiek z nas będzie mówił w imieniu Szantih, jeśli pan sobie życzy. Ale Luz Marina może mówić sama za siebie.

- Nie przyszedłem się spierać - rzekł Falco. Jego za-



chowanie było pod pełną kontrolą, uprzejme, a twarz miał surową. Ten spokój, ta sztywność zdradzały wielki ból. - Posłuchaj. Miasto ma zostać zaatakowane. Teraz już o tym wiecie. Nie mógłbym powstrzymać ataku, nawet gdybym chciał, chociaż go opóźniałem. Ale chcę, żeby moja córka nie była w to wmieszana, żeby była bezpieczna. Jeśli wyprawicie ją ze mną do domu, dziś wieczorem poślę do was pod strażą senhorę Adelson i innych zakładników. Jeśli zechcecie, przyjdę z nimi; więc pozwól jej odejść ze mną. To sprawa tylko między nami. Cała reszta, walka - zaczęliście ją sami swoim nieposłuszeństwem, nie mogę teraz tego zatrzymać ani ja, ani wy. Możemy zrobić tylko tyle. Wymienić zakładników i w ten sposób ich uratować.

- Senhor, szanuję pańską szczerłość - ale to nie ja odebrałem panu Luz Marinę, więc nie mogę jej panu zwrócić.

Gdy mówił, Luz stanęła obok niego, owinięta swym czarnym szalem. - Ojciec - rzekła wyraźnie, twardo, nie cicho, jak rozmawiał on i Falco - możesz powstrzymać zbirów Macmilana, jeśli chcesz.

Falco nie zmienił wyrazu twarzy; może nie mógł tego zrobić, żeby nie rozpadła mu się w kawałki. Nastąpiła długa cisza, pełna odgłosów deszczu. Światło było

ciężkie, jaśniało tylko nisko i daleko na zachodzie.

- Nie mogę, Luz - powiedział pełnym bólu, cichym głosem. - Herman... Herman jest zdecydowany cię odebrać.

- A gdybym wróciła z tobą, tak że nie miałby już pretekstu, zakazałbyś mu ataku na Szantih?

Falco stał bez ruchu. Przełknął z wysiłkiem, jak gdyby w gardle miał bardzo sucho. Lev zacisnął dłonie widząc to, widząc upokorzonego dumnego człowieka, który nie potrafi znieść upokorzenia, widząc jego siłę zmuszoną do przyznania, że jest bezsilna.

- Nie mogę. Sprawy zaszły za daleko. - Falco znów przełknął i spróbował od nowa. - Wróc ze mną do domu, Luz Marina. Natychmiast odeślę zakładników. Daję moje słowo. - Spojrzał na Leva, a jego blada twarz powiedziała za niego to, czego sam nie mógł powiedzieć, że prosi Leva o pomoc.

- Odeślij ich! - rzekła Luz. - Nie masz prawa ich więzić.

- A ty pójdziesz... - to niezupełnie było pytanie.

Potrząsnęła głową. - Nie masz prawa mnie więzić.

- Nie więzić cię, Luz, jesteś moją córką... - Postąpił do przodu. Luz cofnęła się.

- Nie! - powiedziała. - Nie pójdę, skoro się o mnie

targujesz. Nigdy nie wrócę, dopóki będziesz atakował i, i p-prześladował ludzi! - Jąkała się i szukała słów. - Nigdy nie wyjdę za Hermana Macmilana ani na niego nie spojrzę, ja nim ga-gardzę! Wrócę, gdy będę mogła przyjść i robić to, co będę chciała robić, a dopóki on przychodzi do Casa Falco, nigdy nie wrócę do domu!

- Macmilan? - powiedział ojciec z bólem. - Nie musisz wychodzić za Macmilana... - Przerwał i przeniósł nieco dziki wzrok z Luz na Leva. - Wróc do domu - rzekł. Głos mu się trząsał, ale z wysiłkiem się opanował. - Postaram się powstrzymać atak. Będziemy... będziemy z wami rozmawiać - zwrócił się do Leva. - Będziemy rozmawiać.

- Porozmawiamy teraz, później, kiedykolwiek pan chce - odezwał się Lev. - Zawsze prosiliśmy tylko o to, senhor. Ale nie może pan prosić córki, by zamieniła swą wolność na wolność Very albo na pańską dobrą wolę czy nasze bezpieczeństwo. To niewłaściwe. Nie wolno panu tego robić; my tego nie przyjmujemy.

Falco znów stał bez ruchu, ale był to inny bezruch: klęska czy ostateczna odmowa klęski? Jego twarz, blada i mokra od deszczu lub potu była zeszywniała, bez wyrazu.

- A więc nie puścicie jej - rzekł.

- Nie pójdę - odparła Luz.

Falco skinął raz głową, odwrócił się i odszedł powoli wzdłuż zakrzywiającego się brzegu stawu. Minął rozmazane i bezkształtne w późnym zmierzchu zarośla i ruszył w górę lekkiego wzniesienia prowadzącego do drogi do Stolicy. Jego wyprostowana niska ciemna postać szybko znikła im z oczu.

## Rozdział 9

Jedna ze służących zastukała w drzwi Very, otworzyła je i powiedziała na wpół zuchwałym, na wpół nieśmiałym tonem, jakiego używały pokojówki, gdy „wykonywały polecenia”: - Senhora Vera, Don Luis chciałby się z panią zobaczyć w dużym pokoju.

- Ojej - westchnęła Vera. - Czy nadal jest w złym humorze?

- W strasznym - powiedziała dziewczyna, Teresa, od razu zapominając o tonie „wykonywania poleceń” i pochylając się, by podrapać odcisk na stwardniałej, bosej, pulchnej stopie. Wszystkie dziewczęta w domu uznały już Verę za przyjaciółkę, coś jakby przynoszącą szczęście ciotkę czy starszą siostrę; nawet surowa, będąca w średnim wieku kucharka Silvia przyszła do pokoju Very następnego dnia po zniknięciu Luz, aby z nią o tym porozmawiać, najwyraźniej nie dbając o to, że szuka pociechy u wroga. - Widziałś twarz Michaela? - ciągnęła Teresa. - Wczoraj Don Luis prawie wybił

mu dwa zęby, bo za powoli ściągał mu buty, stękał i jęczał, wiesz jak on wszystko robi, i Don Luis po prostu go kopnął z butem na nodze. Teraz Michael cały spuchł jak nietoperz workowaty, wygląda naprawdę śmiesznie. Linda mówi, że wczoraj wieczorem Don Luis poszedł zupełnie sam do Miasta Chat, widział go Thomas Marqueza, szedł drogą. Jak myślisz, co się stało? Myślisz, że próbował wykraść biedną senhoritę Luz?

- Ojej - znów westchnęła Vera. - Lepiej, żeby na mnie nie czekał. - Przygładziła włosy, obciągnęła ubranie i zwróciła się do Teresy: - Jakie masz ładne kolczyki. Chodźmy! - I poszła za dziewczyną do dużej sali Casa Falco.

Luis Falco siedział w głębokim wykuszu okiennym, patrząc na Zatokę Songe. Na morzu leżało niespokojne światło poranka; chmury były wielkie, wzburzone, ze szczytami oślepiająco białymi, gdy oświetlało je słońce, a ciemnymi, gdy uderzał szkwał i wyższe partie chmur przesłaniały światło. Falco wstał na powitanie Very. Twarz miał twardą i bardzo zmęczoną. Nie patrzył na nią. - Senhora, jeśli ma pani tu jakieś rzeczy, które chce pani zabrać z sobą, proszę je przynieść.

- Nie mam nic - powiedziała powoli Vera. Nigdy przedtem Falco jej nie przestraszył; właściwie podczas

swego miesięcznego pobytu w jego domu bardzo go polubiła i zaczęła szanować. Teraz zaszła w nim jakaś zmiana; nie ból i wściekłość widoczne i zrozumiałe po ucieczce Luz; nie jakieś uczucie, ale zmiana w samym człowieku, świadectwo zniszczenia jak w przypadku kogoś śmiertelnie chorego lub rannego. Chciała jakoś do niego dotrzeć, ale nie wiedziała jak. - Dał mi pan ubrania, Don Luis, i wszystko inne - rzekła. Ubranie, które miała teraz na sobie, należało niegdyś do jego żony i ona o tym wiedziała; kazał wnieść do jej pokoju skrzynię z ubraniami, pięknymi cienko tkanymi spódnicami, bluzkami i szalami, starannie poskładanymi, z listkami lawendy rozrzuconymi wśród nich tak dawno, że ulotnił się cały ich zapach. - Czy mam się przebrać we własne rzeczy? - spytała.

- Nie. Tak, jeśli chcesz. Jak chcesz. I proszę, wróć jak najszybciej.

Gdy wróciła za pięć minut we własnym ubraniu z białego jedwabiu drzewnego, znów siedział nieruchomo w wykuszu, patrząc na wielką srebrzystą zatokę pod nisko płynącymi chmurami.

Znów wstał, gdy do niego podeszła, znów na nią nie patrzył. - Proszę ze mną, senhora.

- Dokąd pan idzie? - zapytała Vera nie ruszając się z

miejsca.

- Do Miasta. - Jak gdyby zapomniał o tym wspomnieć, dodał, myśląc o czymś zupełnie innym: - Mam nadzieję, że będzie mogła pani wrócić do swoich ludzi.

- Też mam taką nadzieję. Dlaczego miałabym do nich nie wrócić, Don Luis?

Nie odpowiedział. Wyczuła, że nie wykręca się od jej pytania, tylko że wysiłek odpowiedzi na nie przekracza jego możliwości. Przepuścił ją przodem. Rozejrzała się po dużym pomieszczeniu, które poznała tak dobrze, i spojrzała na niego. - Chciałabym podziękować za pańską uprzejmość dla mnie, Don Luis - powiedziała uroczyście. - Będę wspominać tę szczerą gościnność, która z więźnia uczyniła gościa.

Jego zmęczona twarz nie zmieniła wyrazu; potrząsnął głową i zaczekał na nią.

Minęła go, a on poszedł za nią korytarzem aż na ulicę. Nie przestąpiła tego progu od dnia, w którym przyprawiono ją do tego domu.

Miała nadzieję, że będą tam Jan, Hari i inni, ale zawiodła się. Natomiast w jednej grupie czekało około dziesięciu ludzi, w których rozpoznała osobistą straż Falco i jego służących, a w drugiej kilku mężczyzn w średnim wieku, wśród nich Radny Marquez i szwagier



---

Falco, Cooper, także w towarzystwie służby, razem jakieś trzydzieści osób. Falco obrzucił ich szybkim spojrzaniem, po czym ruszył stromą ulicą, przepuszczając Verę przodem z mechanicznym szacunkiem, gestem nakazując reszcie pójść za sobą.

Po drodze słyszała, jak stary Marquez mówi coś do Falco, ale nie dosłyszała co. Ospowaty, Anibal, mrugnął do niej prawie niezauważalnie, mijając ją z bratem dziarskim krokiem. Siła wiatru i blask słońca oszołomiły ją po tak długim czasie w czterech ścianach albo w zamkniętym ogrodzie. Czuła się niepewnie na nogach, jak gdyby długo leżała chora w łóżku.

Przed Kapitołem czekała większa grupa, około czterdziestu ludzi, może pięćdziesięciu, wszyscy dość młodzi, wszyscy w takich samych bluzach z ciężkiego, czarnobrazowego materiału; Vera pomyślała, że warsztaty wytwarzające bawełnę musiały wykonać dodatkową pracę, by tyle materiału wyglądało tak samo. Bluzy mieli ściągnięte pasami i zapięte na duże metalowe guziki, tak że wszyscy wyglądali bardzo podobnie. Wszyscy mieli zarówno bicze, jak i muszkiety. Wyglądali jak jeden z fresków wewnątrz Kapitolu. Herman Macmilan wystąpił spośród nich, wysoki, barczysty, uśmiechnięty. - Do usług, Don Luis!

- Dzień dobry, Don Herman. Wszystko gotowe? - powiedział Falco zduszonym głosem.

- Wszystko gotowe, senhor. Do Miasta! - Obrócił się na pięcie i poprowadził kolumnę swych ludzi prosto ulicą Morską nie czekając na Falco, który ujął Verę pod rękę i pośpieszył z nią do przodu wśród ubranych w ciemne bluzy ludzi, aby dogonić Macmilana na przedzie oddziału. Jego grupa usiłowała się precyzyjnie przemieszczać za nim. Vera objęła się o ludzi, ich strzelby i trzonki biczów, ich twarde ramiona, a młode i wrogie twarze patrzyły na nią z góry. Ulica była wąska i Falco przepychał się głównie siłą, ciągnąc Verę za sobą. Ale w momencie gdy zrównał się z Macmilanem na przedzie oddziału, puścił ramię Very i szedł spokojnie, jakby znajdował się tam od początku.

Macmilan rzucił na niego okiem i uśmiechnął się swym zwykłym sztywnym, zadowolonym z siebie uśmiechem. Następnie udał zdziwienie na widok Very.

- Kto to taki, Don Luis? Przyprowadziłeś ze sobą duennę?

- Jakieś nowe raporty z Miasta w ciągu ostatniej godziny?

- Nadal się zbierają; według ostatniego raportu jeszcze nie ruszyli.

- Straż Stołeczna spotka nas przy Pomniku?

Młody mężczyzna skinął głową. - Z posiłkami, jakie zebrał Angel. Najwyższy czas, żebyśmy ruszyli! Ci ludzie czekali zbyt długo.

- To twoi ludzie; oczekuję, że utrzymasz ich w ryzach - rzekł Falco.

- Tak się palą do działania - powiedział Macmilan z udawaną poufałością. Vera zobaczyła, że Falco rzucił mu szybkie, ponure spojrzenie.

- Niech pan posłucha, Don Herman. Jeśli pańscy ludzie nie będą wykonywać rozkazów - jeśli pan nie będzie wykonywać rozkazów - to stajemy tutaj: w tej chwili. - Falco zatrzymał się, a siła jego osobowości była tak wielka, że

Vera, Macmilan i idący za nimi ludzie stanęli razem z nim, jak gdyby byli do niego przywiązani na sznurku.

Uśmiech Macmilana zniknął. - Pan tu dowodzi, panie Radny - rzekł z szerokim gestem, który nie ukrył jednak złego humoru.

Falco skinął głową i ruszył dalej. Vera zauważyła, że teraz on nadawał tempo.

Gdy zbliżali się do urwiska, zobaczyła czekającą na nich na szczycie, przy Pomniku, jeszcze większą grupę mężczyzn; a gdy weszli na górę i minęli cień widmo-

wego, niszczącego statku kosmicznego, oddział ten przyłączył się z tyłu do ludzi Falco i brązowych bluz Macmilana, tak że Drogą szło dwustu mężczyzn albo i więcej.

Ale co oni robią? - pomyślała Vera. Czy to atak na Szantih? Ale dlaczego prowadzą mnie z sobą? Co zamierzają zrobić? Falco szaleje z bólu, a Macmilan z zazdrości, i jeszcze ci ludzie, wszyscy ci ludzie, tacy duzi, ze strzelbami, bluzami i tak szybko idą, nie mogę nadążyć, żeby tylko Hari i inni tu byli, to bym chociaż widziała jakąś ludzką twarz! Dlaczego prowadzą tylko mnie, gdzie są inni zakładnicy, czy ich zabili? Wszyscy oszaleli, czuć ich, czuć ich krwią... Czy w Szantih wiedzą, że oni nadchodzą? Czy wiedzą? Co zrobią? Elia! Andre! Lev, kochanie! Co zrobicie, co zrobicie? Wytrzymacie? Nie nadążam, idą tak szybko, nie nadążam.

Chociaż ludzie z Szantih i wioski zaczęli się zbierać - na Krótki Marsz, jak opisał go bez uśmiechu Sasza - wczesnym rankiem, wyruszyli dopiero prawie w południe; a ponieważ stanowili wielki, niezgrabny tłum, w którym panował niejaki chaos spowodowany obecnością wielu dzieci i ciągłym dochodzeniem maruderów poszukujących znajomych, z którymi chcieli iść, drogą ku Stolicy nie szli zbyt szybko.

---

Falco i Macmilan przeciwnie: gdy otrzymali wiadomość o wielkim zgromadzeniu mieszkańców Miasta Chat na drodze, wyruszyli natychmiast. Wyprowadzili na Drogę swój oddział - armię Macmilana, Straż Stołeczną, osobistych strażników kilku Szefów i mieszaninę ochotników - przed południem i ruszyli szybkim marszem.

Tak więc obie grupy spotkały się na drodze przy Wzgórzu Skalnego Szczytu, bliżej Miasta niż Stolicy. Straż przednia Ludu Pokoju wyszła zza niskiego szczytu wzgórza i zobaczyła, jak ludzie ze Stolicy właśnie zaczynają wchodzić na wzniesienie. Zatrzymali się natychmiast. Mieli przewagę także w tym, że większość z nich znajdowała się jeszcze po wschodniej stronie wzgórza i nie mogła widzieć, co się dzieje, ani być dostrzeżona. Elia zaproponował Andre i Levowi, żeby wycofać się o jakieś sto metrów i spotkać Stolicę na równej stopie u szczytu wzgórza; a choć to wycofanie się mogło zostać uznane za ustąpienie lub słabość, zdecydowali, że tak będzie najlepiej. Warto było to zrobić, by zobaczyć twarz Hermana Macmilana, gdy wszedł wielkimi krokami na szczyt i po raz pierwszy ujrzał, z czym ma do czynienia: jakieś cztery tysiące ludzi zebrane wzdłuż drogi, na całym zboczu wzgórza i

daleko na równinie, dzieci, kobiety i mężczyźni, największe zgromadzenie ludzi w tym świecie; i na dodatek śpiewali. Rumiana twarz Macmilana straciła kolor. Wydał swoim ludziom, tym w brązowych bluzach, jakiś rozkaz, a oni zrobili coś ze strzelbami, a następnie trzymali je w pogotowiu. Wielu strażników i ochotników zaczęło krzyczeć i wołać, aby zagłuszyć śpiew, i dopiero po pewnej chwili udało się ich uciszyć na tyle, żeby przywódcy obu grup mogli rozmawiać.

Zaczął Falco, ale nadal panował hałas i jego suchy głos nie niósł się daleko. Lev wystąpił do przodu i zabrał głos. Rozbrzmiewając radośnie w srebrzystym, wietrznym powietrzu uciszył wszystkich innych.

- Lud Pokoju po bratersku pozdrawia przedstawicieli Stolicy! Przybyliśmy, by wam wyjaśnić, co zamierzamy zrobić, o co chcemy was prosić i co się stanie, jeśli odrzucicie nasze postanowienia. Słuchaj, co mamy do powiedzenia, ludu Victorii, bo w tym cała nasza nadzieja! Po pierwsze nasi zakładnicy muszą zostać uwolnieni. Po drugie nie będzie naborów do prac przymusowych. Po trzecie przedstawiciele Miasta i Stolicy spotkają się, by przygotować sprawiedliwszą umowę handlową. W końcu plan Miasta, by założyć na północy kolonię, będzie wprowadzony w życie bez

przeszkód ze strony Stolicy, tak jak plan Stolicy, by otworzyć dla osadników Południową Dolinę wzdłuż Rzeki Młyńskiej zostanie wprowadzony w życie bez przeszkód ze strony Miasta. Te cztery punkty zostały omówione i przyjęte przez wszystkich ludzi z Szantih i nie podlegają negocjacom. Jeśli Rada ich nie przyjmie, ludzie z Szantih muszą ostrzec ludzi ze Stolicy, że wszelka współpraca, cały handel, wszystkie dostawy żywności, drewna, tkanin, rud i innych produktów zostanie przerwana i nie będzie podjęta, dopóki te cztery punkty nie zostaną zaakceptowane i wprowadzone w życie. To postanowienie nie przewiduje kompromisu. W żadnym wypadku nie zastosujemy wobec was przemocy, ale jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione, nie będziemy z wami współpracować w żaden sposób. Nie będziemy też się z wami targować ani nie pójdziemy na kompromis. Wyrażam najgłębsze przekonanie mego ludu. Wytrwamy.

Otoczona dużymi mężczyznami w brązowych bluzach Vera widziała tylko ramiona, plecy i kolby strzelb. Stała drżąc, nadal zadyszana od pośpiesznego marszu, i mruganiem usiłowała zwalczyć łzy. Ten czysty, odważny, mocny, młody głos, mówiący bez gniewu czy niepewności, wyśpiewujący słowa rozsądku i pokoju,

wyśpiewujący duszę Leva, jej duszę, ich duszę, to wyzwanie i nadzieja...

- Nie istnieje problem - odezwał się mroczny, szorstki głos, głos Falco - targowania się czy kompromisu. Co do tego się zgadzamy. Wasz demonstracja liczebności robi wrażenie. Ale pamiętajcie, że reprezentujemy prawo i że jesteśmy uzbrojeni. Nie pragnę przemocy. To niepotrzebne. To wy ją na nas wymusiliście, sprowadzając tak wielki tłum, by zmusić nas do przyjęcia waszych żądań. To nie do zniesienia. Jeśli wasi ludzie spróbują postąpić choć jeden krok w kierunku Stolicy, nasi ludzie dostaną rozkaz zatrzymania ich. Odpowiedzialność za rany lub śmierć spadnie na was. Zmusiliście nas do podjęcia radykalnych środków w obronie Społeczności Ludzkiej na Victorii. Nie zawahamy się przed ich zastosowaniem. Za chwilę wydam tłumowi rozkaz rozproszenia się i powrotu do domu. Jeśli nie zostanie wykonany natychmiast, rozkażę moim ludziom użyć broni. Przedtem pragnę wymienić zakładników, tak jak ustaliliśmy. Czy obie kobiety, Vera Adelson i Luz Marina Falco, są tutaj? Niech bezpiecznie przekroczą linię między nami.

- Nie zgodziliśmy się na żadną wymianę! - powiedział Lev i teraz w jego głosie brzmiał gniew.



Herman Macmilan przecisnął się przez swych ludzi i chwycił Verę za ramię, jakby chciał uniemożliwić jej ucieczkę lub może poprowadzić ją naprzód. Ta ciężka ręka na jej ramieniu zaskoczyła ją i rozwścieczyła; znów zadrżała, ale nie cofnęła się ani nic do Macmilana nie powiedziała. Widziała teraz i Leva, i Falco. Stała spokojnie.

Lev stał na płaskim szczycie wzgórza z twarzą zwróconą do niej, w odległości jakichś dziesięciu metrów. Jego twarz wyglądała niezwykle jasno w niespokojnym, rozbłyskującym blasku słońca. Obok niego stał Elia i coś do niego pośpiesznie mówił. Lev potrząsnął głową i ponownie zwrócił się do Falco. - Nie zawarliśmy i nie zawrzemy żadnej umowy. Uwolnij Verę i innych. Twoja córka jest już wolna. My się nie targujemy, rozumiesz? I nie zwracamy uwagi na groźby.

Wśród tysięcy ludzi stojących wzdłuż drogi nie rozlegał się żaden głos. Chociaż nie wszyscy słyszeli, o czym była mowa, cisza ogarnęła ich rozszerzającą się falą; tylko gdzieniegdzie dawało się słyszeć gaworzenie i kwilenie niemowląt, protestujących, że trzyma się je tak mocno. Wiatr na szczycie wzgórza powiał mocniej i przycichł. Chmury nad Zatoką Songe gęstniały, ale nie skryły jeszcze wysoko stojącego słońca.

Falco nadal nie odpowiadał.

W końcu odwrócił się gwałtownie. Vera zobaczyła jego twarz, twardą jak żelazo. Wykonał gest w jej kierunku, do niej, niedwuznacznie, żeby wystąpiła - wolna. Macmilan puścił jej ramię. Postąpiła z niedowierzaniem krok do przodu, potem drugi. Poszukała wzrokiem oczu Leva; uśmiechał się. Czy to tak łatwo zwyciężyć? tak łatwo?

Wystrzał z broni Macmilana tuż obok jej głowy szarpnął jej całym ciałem w tył, jak gdyby poczuła rzeczywisty odrzut muszkietu. Straciła równowagę, zachwiała się w bok pod naporem pędzących mężczyzn w brunatnych bluzach, potem upadła na ręce i kolana. Coś trzasnęło, strzeliło, zahuczało i głośno piskliwie zasyczało jak potężny ogień, ale daleko, gdzie mogło się coś palić; tutaj tylko gnietli się, tłoczyli, trawowali i potykali się mężczyźni. Vera czołgała się skulona, usiłowała się ukryć, ale nie było gdzie, nie pozostało nic oprócz syku ognia, trawujących stóp i nóg, stłoczonych ciał i przemoczonej kamienistej ziemi.

Panowała cisza, ale nie prawdziwa cisza. Głupia nie znacząca cisza w jej własnej głowie, w prawym uchu. Potrząsnęła głową, by wytrząsnąć z niej tę ciszę. Nie było dość światła. Blask słoneczny zniknął. Było

zimno, wiał zimny wiatr, ale wiejąc nie powodował żadnego hałasu. Usiadła drząc i przycisnęła ręce do brzucha. Co za głupie miejsce, żeby upaść, żeby się położyć; rozzłościła się. Jej dobre ubranie z jedwabiu drzewnego zabłociło się i nasiąkło krwią, przylegając zimnem do ramion i piersi. Obok niej leżał jakiś mężczyzna. Wcale nie był duży. Wszyscy wyglądali na takich dużych, kiedy stali i popychali ją, ale na ziemi był całkiem szczupły i został w nią wdeptany jak gdyby usiłował stać się jej częścią, w połowie wrócił już w błoto. Już nie człowiek, tylko błoto, włosy i brudna brązowa bluza. Już nie człowiek. Nikt. Zimno było tak siedzieć i było to głupie miejsce do siedzenia, więc spróbowała się trochę odczołgać. Nie został nikt, kto by ją mógł przewrócić, ale nadal nie mogła wstać i pójść. Odtąd zawsze będzie musiała się czołgać. Nikt już nie mógł stać. Nie było żadnego oparcia. Nikt nie mógł chodzić. Już nigdy. Wszyscy leżeli na ziemi, ci nieliczni, którzy zostali. Czołgała się jakiś czas i tak znalazła Leva. Nie był tak wdeptany w błoto i ziemię jak mężczyzna w brązowej bluzie; miał twarz, ciemne otwarte oczy patrzyły w górę na niebo; ale nie widziały. Nie było dość światła. Nie było już światła, a wiatr nie robił żadnego hałasu. Wkrótce zacznie padać,

chmury nad głową były ciężkie jak dach. Jedna z rąk Leva została stratowana i jej połamane kości białły w mroku. Powłokła się nieco dalej do miejsca, gdzie nie musiała tego widzieć, i ujęła jego drugą rękę. Była nie-  
tknięta, ale zimna. - Więc tak - rzekła usiłując znaleźć  
jakieś słowa pociechy. - Więc tak, no już, Lev, kochanie.  
- Ledwo słyszała własny głos, daleko w ciszy. - Wkrót-  
ce wszystko będzie dobrze, Lev.

## Rozdział 10

- Już dobrze - powiedziała Luz. - Wszystko idzie świetnie. Nie martw się. - Musiała mówić głośno i czuła się głupio ciągle mówiąc to samo, ale zawsze na pewien czas to skutkowało. Vera kładła się spokojnie. Jednak za chwilę znów usiłowała siadać, pytając, co się dzieje, zaniepokojona i przestraszona. Pytała o Leva: - Czy Levowi nic nie jest? Ma zranioną rękę. - Potem mówiła, że musi wracać do Stolicy, do Casa Falco. Nie powinna była przychodzić z tymi ludźmi ze strzelbami, to jej wina, że tak bardzo chciała wrócić do domu. Jeśli z powrotem zostanie zakładniczką, sprawy przybiorą lepszy obrót, prawda? - Wszystko w porządku, nie martw się - powiedziała głośno Luz, bo słuch Very został uszkodzony. - Wszystko idzie dobrze.

I rzeczywiście ludzie kładli się wieczorem do łóżek, rano wstawali, pracowali, gotowali, jedli, rozmawiali; wszystko funkcjonowało. Luz funkcjonowała. Wieczorem kładła się spać. Trudno było zasnąć, a kiedy spała,

budziła się w czarnej ciemności ze strasznego snu o tłumie pchających się, krzyczących ludzi; ale nic takiego się nie działo. To już się stało. Pokój był ciemny i cichy. Już się stało, skończyło się i wszystko szło dalej.

Pogrzeb siedemnastu zabitych odbył się dwa dni po marszu do Stolicy, niektórzy mieli być pochowani we własnych wioskach, ale spotkanie wszystkich i ogólna uroczystość pogrzebowa odbyły się w Domu Zebrań. Luz czuła, że jest tu obca i że Andre, Południowej Bryzie i innym byłoby łatwiej, gdyby nie przyszła z nimi. Powiedziała, że zostanie z Verą, więc zostawili ją. Ale gdy upłynęło wiele czasu w całkowitym milczeniu domu stojącego wśród chłostanych deszczem pól, Vera spała, a Luz wybierała nasiona z włókna drzewa jedwabnego, żeby zająć czymś ręce, do drzwi podszedł jakiś człowiek, niewysoki, siwy mężczyzna; z początku go nie poznała. - Jestem Alexander Shults - powiedział. - Śpi? Chodź. Nie powinni cię tak zostawić. - I wziął ją z powrotem do Domu Zebrań, na koniec uroczystości za zmarłych, a potem na miejsce pochówku w milczącej procesji niosącej dwanaście trumien zabitych z Szantih. Więc stała w swym czarnym szalu nad grobem u boku ojca Leva. Była mu za to wdzięczna, choć nic mu nie powiedziała ani on się do niej nie odezwał.

Razem z Południową Bryzą pracowały codziennie na jej polu ziemniaczanym, bo trzeba było zebrać plony, jeszcze kilka dni i wszystko zaczęłoby gnić w wilgotnej ziemi. Pracowały razem, gdy Vera spała, i zmieniały się, jedna w polu, jedna w domu, gdy budziła się i potrzebowała kogoś przy sobie. Często przychodziła matka Południowej Bryzy i duża, milcząca, zaradna Italia, przyjaciółka Południowej Bryzy raz dziennie zjawiał się Andre, choć też miał pracę w polu i musiał codziennie spędzać trochę czasu w Domu Zebrań z Elią i innymi. Rządził Elia i teraz Elia rozmawiał z ludźmi ze Stolicy. Andre opowiadał Luz i Południowej Bryzie o tym, co się robiło i mówiło; nie wypowiadał żadnych opinii; Luz nie wiedziała, czy Andre jest za czy przeciw. Wszystkie opinie, przekonania, teorie, zasady, wszystko to zniknęło, odeszło, umarło. Został tylko ciężki, pokonany żal wielkiego tłumu podczas uroczystości pogrzebowej. Tam, na Drodze, siedemnastu nieżywych ludzi z Szantih; ośmiu ze Stolicy. Zginęli w imię pokoju, ale także zabili w imię pokoju. Wszystko się rozpadło. Oczy Andre były ciemne jak węgiel. Żartował, żeby pocieszyć Południową Bryzę (i Luz dostrzegła bez emocji, jak wszystko teraz widziała, że od dawna był zakochany w Południowej Bryzie), a obie

---

dziewczęta wtedy się uśmiechały i usiłowały go namówić na krótki odpoczynek, tam razem z nimi i Vera. Popołudniami Luz i Południowa Bryza pracowały razem w polu. Ziemniaki były małe, twarde i czyste; wyłaniały się z błota na delikatnie splątanej koronce korzeni. Praca w polu, w przeciwieństwie do innych rzeczy, które były zupełnie obojętne, sprawiała przyjemność.

To się nie dzieje naprawdę, myślała Luz od czasu do czasu, bo wydawało się jej, że to, co się naprawdę wydarzyło, było tylko jakby obrazem albo ekranem, jak w teatrze cieni, za którym leżało to, co rzeczywiste. To wszystko jest jak przedstawienie kukielkowe. Przecież to takie dziwne. Co robi w polu późnym popołudniem w mglistej, ciemnej mżawce, w połatanych spodniach, w błocie po kolana i łokcie, wyciągając ziemniaki dla Miasta Chat? Wystarczy, że wstanie i pójdzie do domu. Jej niebieska spódnica i haftowana bluzka będą wisały czyste i wyprasowane w szafie w jej garderobie; Teresa przyniesie gorącą wodę na kąpiel. W taką pogodę na kominku w zachodnim końcu sali Casa Falco będą płonęły jasnym ogniem wielkie kłody. Za grubymi szybami okien wieczór nad Zatoką będzie ciemniał coraz bardziej niebiesko. Może wpadnie na pogawęd-



kę doktor ze swoją serdeczną przyjaciółką Valerą albo stary Radny Di Giulio z nadzieją na partyjkę szachów z ojcem...

Nie. To kukiełki, małe, kolorowe kukiełki umysłowe. Tamto było nigdzie; to było tutaj: ziemniaki, błoto, cichy głos Południowej Bryzy, spuchnięta, odbarwiona twarz Very, szelest słomianego materaca na poddaszu chaty w Mieście Chat w czarnej ciemności i bezruchu nocy. Było to dziwne, wszystko nie tak, ale jedyne, co pozostało.

Vera wracała do zdrowia. Lekarka, Klejnot, powiedziała, że skutki wstrząsu minęły; musi zostać w łóżku jeszcze co najmniej przez tydzień, ale nic jej nie będzie. Vera poprosiła o coś do roboty. Południowa Bryza dała jej do uprzedzenia wielki kosz bawełny zebranej z dzikich drzew w Czerwonej Dolinie.

Do drzwi podszedł Elia. Trzy kobiety właśnie skończyły południowy posiłek. Południowa Bryza zmywała, Luz ustawiała stół, a Vera siedziała wsparta o poduszkę i przywiązywała do wrzeciona początek nitki. Elia wyglądał czysto, jak te małe ziemniaki, pomyślała Luz, z tą stanowczą okrągłą twarzą i błękitnymi oczyma. Głos miał nieoczekiwanie głęboki, ale bardzo łagodny. Usiadł przy sprzątniętym stole i rozmawiał,

głównie z Vera. - Wszystko idzie dobrze - powiedział jej. - Wszystko w porządku.

Vera mówiła niewiele. Lewą stronę twarzy miała nadal zniekształconą i posiniaczoną w miejscu, gdzie ją kopnięto lub uderzono, ale tę właśnie stronę poddawała do przodu, żeby słyszeć; prawy bębenek miała pęknięty. Wyprostowała się oparta o poduszkę, puściła wrzeciono w ruch i potakiwała słuchając Elii. Luz nie zwracała za bardzo uwagi na to, co mówił. Andre już im powiedział: zakładnicy zostali uwolnieni, warunki współpracy pomiędzy Stolicą i Miastem uzgodnione, tak jak i sprawiedliwsza wymiana narzędzi i suszonych ryb na żywność dostarczaną przez Miasto; teraz omawiają plan wspólnego zasiedlenia Południowej Doliny - grupy robotników ze Stolicy mają przygotować ziemię, a potem ochotnicy z Miasta podejmą się uprawy.

- A kolonia północna? - spytała Vera cichym, cieniem głosem.

Elia spojrział na swe ręce. W końcu powiedział: - To było marzenie.

- Czy wszystko to było marzeniem, Elia?

Głos Very zmienił się; Luz odstawiła miski i słuchała.

- Nie - odparł mężczyzna. - Nie! Ale za dużo, za

szybko, Vera. Zbyt wiele postawiono pochopnie na akt otwartego nieposłuszeństwa.

- Czy ukryte nieposłuszeństwo byłoby lepsze?
- Nie. Ale konfrontacja okazała się niewłaściwa.

Współpraca, wspólne rozmowy - rozważanie - rozsądek. Mówiłem Levowi... Cały czas próbowałem powiedzieć...

Luz zauważyła, że w błękitnych oczach Elii pojawiły się łzy. Ustawiła miski starannie w kredensie i usiadła przy palenisku.

- Radny Marquez to rozsądny człowiek. Gdyby tylko był Naczelnikiem Rady, gdy... - Elia przerwał. Vera nic nie powiedziała.

- Andre mówi, że rozmawiasz teraz głównie z Marquezem - odezwała się Luz. - Czy on jest teraz Naczelnikiem Rady?

- Tak.

- Czy mój ojciec znajduje się w więzieniu?

- Nazywa się to areszt domowy - odparł Elia z najwyższym skrepowaniem. Luz skinęła głową, ale Vera patrzyła na nich. - Don Luis? Żyje? Myślałam... Areszt? Za co?

Przykro było patrzeć na skrepowanie Elii. Luz odparła: - Za zabójstwo Hermana Macmilana.

Vera wytrzeszczyła oczy; na jej spuchniętej skroni zapulsowała rytmem serca żyłka.

- Nie widziałam tego - powiedziała Luz swoim oschłym, cichym głosem. - Byłam z tyłu w tłumie z Południową Bryzą. Andre stał z przodu z Levem i Elią, widział wszystko i mi opowiedział. To się stało, jak Macmilan zastrzelił Leva. Zanim ktokolwiek z nas zorientował się, co się dzieje. Ludzie Macmilana właśnie zaczęli do nas strzelać. Ojciec zabrał strzelbę jednemu z nich i użył jej jak maczugi. Andre mówił, że nie strzelał. Chyba trudno było stwierdzić po całej tej walce, gdy ludzie tratowali wszystko wokół, ale Andre powiedział, że uważa się, iż to uderzenie musiało zabić Macmilana. W każdym razie gdy wrócili, nie żył.

- Ja też to widziałem - odezwał się Elia ze ściśniętym gardłem. - To dlatego... to chyba dlatego... dlatego niektórzy ludzie ze Stolicy nie strzelali, powstało zamieszanie...

- Nie wydano żadnego rozkazu - rzekła Luz. - Więc uczestnicy marszu mieli czas się na nich rzucić. Andre uważa, że gdyby mój ojciec nie zwrócił się przeciw Macmilanowi, nie byłoby żadnej walki. Oni tylko by strzelali, a uczestnicy marszu by się rozbiegli.

- I nie byłoby zdrady naszych zasad - powiedziała

Południowa Bryza wyraźnie i spokojnie. - Może gdybyśmy nie rzucili się naprzód, ludzie ze Stolicy nie strzelaliby w samoobronie.

- I tylko Lev zostałby zabity? - powiedziała Luz, równie wyraźnie. - Ale Macmilan kazałby im wszystkim strzelać, Południowa Bryzo. On zaczął. Gdyby uczestnicy marszu uciekli wcześniej, to tak, może byłoby mniej zastrzelonych. I mniej ludzi ze Stolicy pobitych na śmierć. Waszym zasadom nic by się nie stało. Ale Lev i tak byłby martwy. A Macmilan by żył.

Elia patrzył na nią z wyrazem twarzy, jakiego nigdy przedtem nie widziała; nie wiedziała, co on oznacza - może pogardę, strach.

- Dlaczego - rzekła Vera żalosnym, suchym szeptem.

- Nie wiem! - powiedziała Luz i ponieważ mówienie tych rzeczy, rozmawianie o nich zamiast ukrywania ich i utrzymywania, że wszystko jest w porządku, przynosiło taką ulgę, po prostu roześmiała się. - Czy rozumiem, co robi mój ojciec, co myśli, czym jest? Może postradał zmysły. Tak powiedział w zeszłym tygodniu stary Marquez do Andre. Wiem, że gdybym była na jego miejscu, też zabiłabym Macmilana. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego on to zrobił. Wyjaśnienie nie istnieje. Najłatwiej powiedzieć, że postradał zmysły. Wi-

dzicie, na tym właśnie polega kłopot z waszymi ideałami, z tobą, Południowa Bryzo, z wami. Wszystko jest szczerze, w porządku i szczerze, przemoc nic nie daje, przez zabijanie nic się nie zyskuje - tylko że czasami ludzie nie chcą niczego zyskać. Chcą śmierci. I dostają ją.

Zapadło milczenie.

- Radny Falco dostrzegł szaleństwo czynu Macmilana - rzekł Elia. - Usiłował zapobiec...

- Nie - przerwała Luz. - Nic nie usiłował. Nie usiłował zapobiec strzelaninie, zabijaniu i nie był po waszej stronie. Czy w pańskiej głowie nie ma nic oprócz rozsądku, senhor Elia? Mój ojciec zabił Macmilana z tego samego „powodu”, z którego Lev stał naprzeciw ludzi ze strzelbami i przeciwstawiał się im, za co został zabity. Bo był mężczyzną, a tak postępują mężczyźni. Powody przychodzą później.

Elia zacisnął dłonie; twarz miał bladą, więc jego błękitne oczy jaśniały nienaturalnym blaskiem. Spojrzał prosto na Luz i powiedział dość łagodnie: - Dlaczego tu jesteś, Luz Marina?

- A gdzie indziej miałabym pójść? - spytała niemal szyderczo.

- Do ojca.

- Tak, w ten sposób postępują kobiety...  
- On jest w rozpacz, cierpi wstyd; potrzebuje cię.  
- A wy nie.  
- Owszem, potrzebujemy - odezwała się Vera z rozpaczą. - Elia, czy ty też oszalałeś? Próbujesz ją wygonić?

- To z jej powodu... gdyby tu nie przyszła, Lev... to jej wina... - Elię ogarnęły emocje nie do opanowania, głos mu się wzniósł, rozszerzyły oczy. - To była jej wina!

- Co ty mówisz? - wyszeptała Vera, a Południowa Bryza dodała gwałtownie: - Nie! Niczemu nie jest winna!

Luz milczała.

Elia, roztrzęsiony, zakrył twarz rękoma. Przez długi czas nikt nic nie powiedział.

- Przepraszam - odezwał się podnosząc wzrok. Oczy miał suche i błyszczące, usta dziwnie mu drżały. - Wybacz mi, Luz Marina. To co mówiłem, nie miało żadnego znaczenia. Przyszedł do nas, jesteś wśród nas mile widziana. Robię się... robię się bardzo zmęczony, próbuję dostrzec, co trzeba zrobić, co jest właściwe... trudno dostrzec, co jest właściwe...

Trzy kobiety milczały.

- Idę na kompromisy, tak, idę na kompromisy z

Marquezem, a co innego mogę robić? Potem mówicie, że Elia zdradza nasze ideały, sprzedaje nas w wieczną niewolę Stolicy, traci wszystko, o co walczyliśmy. Czego więc chcecie? Więcej śmierci? Chcecie jeszcze jednej konfrontacji, chcecie zobaczyć, jak znowu strzela się do Ludu Pokoju, jak walczy, bije... znowu bije ludzi na śmierć... my, którzy... którzy wierzymy w pokój, w niestosowanie przemocy...

- Nikt o tobie niczego takiego nie mówi, Elia - rzekła Vera.

- Musimy iść powoli. Musimy być rozsądni. Nie możemy zrobić wszystkiego od razu, pochopnie, gwałtownie. To nie jest łatwe - nie jest łatwe!

- Nie - powiedziała Vera. - Nie jest łatwe.

- Przybyliśmy z całego świata - powiedział stary mężczyzna. - Z wielkich miast i małych wiosek. Gdy Marsz rozpoczął się w mieście Moskwa, były cztery tysiące, a kiedy dotarli do granicy miejsca zwanego Rosją, było ich już siedem tysięcy. I przeszli przez wielkie miejsce zwane Europą i wszędzie do Marszu przyłączały się setki ludzi, rodziny i pojedyncze dusze, młodzi i starzy. Przychodzili z pobliskich miast, przychodzili z wielkich lądów daleko zza oceanów, z Indii, z Afryki. Wszyscy przynosili, co mogli, z żywności i cen-



nych pieniędzy, aby kupować żywność, bo tak wielu idących zawsze potrzebuje żywności. Ludzie z miast stali wzdłuż drogi i patrzyli na idących i czasami dzieci podbiegały z czymś do jedzenia lub z cennymi pieniędzmi. Armie wielkich państw też stawały wzdłuż drogi i obserwowały i chroniły idących i pilnowały, żeby nie niszczyli pól, drzew i miast, bo było ich tak wielu. A idący śpiewali i czasami mężczyźni z armii odrzucali broń i przyłączali się do Marszu w mroku nocy. Szli, szli, szli. Nocą rozbijali obóz i jakby wielkie miasto wyrastało w jednej chwili na otwartym polu, wszyscy ci ludzie. Szli, szli, szli przez pola Francji i przez pola Niemiec i przez wysokie góry Hiszpanii, szli tygodniami i miesiącami, śpiewając pieśni pokoju, i w końcu przyszedli, a było ich dziesięć tysięcy, do miasta Lizbona, gdzie obiecano im statki. I statki czekały w zatoce.

Więc to był Długi Marsz. Ale podróż nie dobiegła końca! Wsiedli na statki, żeby popłynąć do Wolnej Ziemi, gdzie czekało ich serdeczne przyjęcie. Ale było ich już za dużo. Statki mogły zabrać tylko dwa tysiące, a ich liczba rosła i rosła w czasie marszu, było ich już dziesięć tysięcy. Co mieli robić? Tłoczyli się, tłoczyli; zbudowali więcej łóżek, wtłoczyli po dziesięciu do

każdego pokoju na wielkim statku, do pokoju przeznaczanego dla dwóch osób. Kapitanowie statków powiedzieli: Przestańcie, nie można już nikogo więcej zmieścić na statkach, zabraknie wody w długiej podróży, nie możecie wszyscy wejść na pokład. Więc kupili łodzie, łodzie rybackie, łodzie z żaglami i silnikami; a ludzie, wielcy bogaci ludzie z własnymi łodziami, przychodzili i mówili: Weźcie moją łódź, zabiorę do Wolnej Ziemi pięćdziesiąt dusz. Z miasta zwanego Anglią przybyli rybacy i powiedzieli: Weźcie moją łódź, zabiorę pięćdziesiąt dusz. Niektórzy bali się przepłynąć tak wielkie morze w małych łodziach; niektórzy wrócili wtedy do domu i opuścili Wielki Marsz. Ale zawsze przyłączali się nowi ludzie, więc było ich coraz więcej. I w końcu wszyscy wypłynęli z zatoki Lizbony, grała muzyka, na wietrze trzepotały wstążki, a wszyscy ludzie na wielkich statkach i małych łodziach wypłynęli razem śpiewając.

Na morzu nie potrafili utrzymać się razem. Statki były szybkie, łodzie powolne. W ciągu ośmiu dni wielkie statki wpłynęły do zatoki Montralau, na ziemi Kanameryki. Inne łodzie przypłynęły później, rozciągnięte po oceanie, niektóre po kilku dniach, niektóre po kilku tygodniach. Na jednej z takich łodzi byli moi

---

rodzice. Piękna, biała łódź Anita, którą szlachetna pani pożyczyła Ludowi Pokoju, by mógł przybyć do Wolnej Ziemi. Na łodzi płynęło czterdzieści osób. Mama mówiła, że to były piękne dni. Pogoda była dobra, więc siedzieli na pokładzie w słońcu i planowali, jak zbudują Miasto Pokoju na ziemi, którą im obiecano, na ziemi wśród gór, w północnej części Kanameryki.

Ale kiedy przybyli do Montral, spotkali ich ludzie z bronią i zabrali do więzień; byli tam wszyscy inni z wielkich statków, wszyscy ludzie, czekali na nich, w obozach.

Przywódcy tamtej ziemi powiedzieli, że jest ich za dużo. Miało być dwa tysiące, a było dziesięć. Nie mieli ziemi ani miejsca dla tak wielu. A ponieważ było ich tak dużo, byli niebezpieczni. Przyłączali się do nich ludzie z całej Ziemi, rozbijali obozy pod miastem i pod obozami Ludu Pokoju i śpiewali pieśni pokoju. Przychodzili nawet z Brazylii, rozpoczęli własny Długi Marsz na północ przez całą długość wielkich kontynentów. Ci, którzy rządzą Kanameryką, przestraszyli się. Mówili, że nie ma sposobu na utrzymanie porządku albo wyżywienie tak wielu. Mówili, że to inwazja. Mówili, że Pokój to kłamstwo, nie prawda, bo nie rozumieli go ani nie chcieli. Mówili, że ich własny lud

opuszcza ich i przyłącza się do Pokoju, a na to nie można pozwolić, bo wszyscy muszą walczyć w Długiej Wojnie z Republiką, toczącej się nieprzerwanie od dwudziestu lat. Mówili, że Lud Pokoju to zdrajcy i szpiegzy Republiki! Więc zamiast dać nam ziemię między górami, którą nam obiecali, uwięzili nas w obozach. Tam właśnie się urodziłem, w obozie Montral.

W końcu rządzący powiedzieli: Dobrze, dotrzymamy obietnicy, damy wam ziemię, ale nie ma dla was miejsca na Ziemi. Damy wam statek zbudowany dawno temu w Brazylii do odesłania złodziei i morderców. Zbudowali trzy statki, dwa wysłali do świata zwanego Victoria, trzeciego nigdy nie użyli, bo zmieniło im się prawo. Nikt nie chce tego statku, bo zbudowano go tylko na jedną podróż, nie może wrócić na Ziemię. Brazylia dała nam ten statek. Ma na niego wejść dwa tysiące, tylko tyle się zmieści. A reszta musi albo wrócić przez ocean do własnych krajów, do Czarnej Rosji, albo żyć tutaj w obozach produkując broń na wojnę z Republiką. Wszyscy wasi przywódcy muszą wejść na statek, Mehta i Adelson, Kamiskaya i Wicewska i Shults; nie chcemy tych mężczyzn i kobiet na Ziemi, bo nie kochają wojny. Muszą zanieść Pokój do innego świata.

Więc wylosowano dwa tysiące. A losowanie było przykre, był to najprzykrzejszy ze wszystkich przykrych dni. Dla tych, którzy wyruszali, istniała nadzieja, ale przy jakim ryzyku - bez pilota przez gwiazdy do nieznanego świata, by nigdy nie powrócić? A dla tych, co musieli zostać, nie było żadnej nadziei. Bo na Ziemi nie znalazło się miejsca na Pokój.

Więc dokonano wyboru, wylano łzy i statek został wysłany. I tak zakończył się Wielki Marsz dla tych dwóch tysięcy, ich dzieci i dzieci ich dzieci, i utaj, w miejscu, które nazwaliśmy Szantih, w dolinach Victorii. Ale nie zapominamy o Wielkim Marszu, wielkiej podróży i tych, których zostawiliśmy z wyciągniętymi do nas ramionami. Nie zapominamy o Ziemi.

Dzieci słuchały: dzieci o twarzach jasnych i ciemnych, włosach czarnych i brązowych, o uważnych i sennych oczach, zachwycone opowieścią, poruszone, znudzone... Wszystkie już ją słyszały, mimo że niektóre były jeszcze bardzo małe. Dla nich stanowiło ono część świata. Było nowe tylko dla Luz.

Przez myśl przebiegały jej setki pytań, zbyt wiele pytań; dała dzieciom zadawać swoje pytania. - Czy Amity jest czarna, bo jej babcia przybyła z Czarnej Rosji? Opowiedz o statku kosmicznym! jak zasnęli na

statku kosmicznym! Opowiedz o zwierzętach na Ziemi! - Niektóre z tych pytań były zadawane dla niej; dzieci chciały, aby ta obca, ta duża dziewczyna, która nie wie, usłyszała ulubione fragmenty sagi ich ludu. - Opowiedz Luz o latających samolotach! - zawołała mała dziewczynka, bardzo podniecona, i zwracając się do Luz zaczęła trajkotać za starego mężczyznę: - Jego matka i ojciec byli na statku na środku morza i nad nimi w powietrzu przeleciał latający statek, i zrobił bum i spadł do morza i wybuchnął i to była Republika i oni ją widzieli. I próbowali wyciągnąć ludzi z wody ale nikogo nie było, woda była trująca i musieli płynąć dalej. - Opowiedz o ludziach, którzy przybyli z Afferki - zażądał jakiś chłopczyk. Ale Hari był zmęczony. - Wystarczy już - powiedział. - Zaśpiewajmy jedną z pieśni Długiego Marszu. Meria?

Wstała na to z uśmiechem dwunastoletnia dziewczynka.

- O, gdy przybędziemy- zaczęła słodkim, donośnym głosem. Przyłączyli się do niej inni:

O, gdy przybędziemy,  
O, gdy przybędziemy do Lizbony,  
Będą czekać białe statki

O, gdy przybędziemy...

Ciężkie i poszarpane chmury odchodziły za rzekę, nad północne wzgórze. Daleko na południu srebrzyła się Zatoka. Od czasu do czasu z liści dużego drzewa bawełnianego, które rosnęło na szczycie wzgórza leżącego po wschodniej stronie domu Południowej Bryzy, ciężko skapywały krople po ostatnim deszczu. Nie było słychać nic poza tym. Milczący, szary świat. Luz stała samotnie pod drzewami, patrząc na pustą ziemię. Od dawna nie była sama. Gdy wyruszała we wzgórze, nie wiedziała, dokąd idzie ani czego szuka. Tego miejsca, tej ciszy, tej samotności. Nogi zaniósły ją ku niej samej.

Ziemia była błotnista, a zielska ciężkie od wilgoci, ale podobny do ponczo płaszcz, który dała jej Italia, był gruby; usiadła na sprężystej warstwie kompostu pod drzewami i trwała w bezruchu, ramionami obejmując kolana pod ponczo, patrząc ku zachodowi ponad zakrętem rzeki. Siedziała tak przez długi czas, widząc jedynie nieruchomą okolicę, powoli płynące chmury i rzekę.

Sama, sama. Była sama. Przedtem nie miała czasu, by zdać sobie sprawę, że jest sama: pracowała z Połu-

dniową Bryzą, opiekowała się Vera, rozmawiała z Andre, pomалу włączając się w życie Szantih; pomagała założyć nową szkołę miejską, bo szkoła w Stolicy została odtąd zamknięta dla ludzi z Szantih, bywała zapraszana w gości do tego czy tamtego domu, tej czy tamtej rodziny; wciągali ją między siebie, serdecznie witali, bo byli to ludzie łagodni, niewprawni w kwestiach urazy i nieufności. Jedynie w nocy, na słomianym materacu w ciemności poddasza przychodziła do niej jej samotność o bladej, zawziętej twarzy. Co mam robić? - wołała w duchu i odwracając się, by uciec przed zawziętą twarzą swej samotności; chroniła się w zmęczenie, w sen.

Szła teraz ku niej, stąpając miękko po szarym szczycie wzgórza. Samotność miała twarz Leva. Luz nie chciała się odwrócić.

Nadszedł czas, by spojrzeć na to, co utraciła. Spojrzeć i zobaczyć wszystko. Wiosenny zachód słońca nad dachami Stolicy, dawno temu, i jego twarz oświetloną tą wspaniałością... „Potrafisz zrozumieć, jak powinno być, jak jest...” Zmierch w pokoju w domu Południowej Bryzy i jego twarz, jego oczy. „Żyć i umrzeć za ducha...” Wiatr i deszcz na Wzgórzu Skalnego Szczytu, i jego głos. I reszta, cała reszta, wszystkie dni i światła i



wiatry i lata, które by nadeszły, i które nie nadejdą, które powinny nastać i nie nastaną, ponieważ on nie żyje. Zastrzelony na drodze, na wietrze, w wieku dwudziestu jeden lat. Zostawił góry, na które nigdy już nie wejdzie, na które nikt już nie wejdzie.

Luz pomyślała, że jeśli jego duch został w tym świecie, to odszedł właśnie tam: na północ do doliny, którą odkrył, do gór, o których jej opowiadał ostatniej nocy przed marszem na Stolicę z taką radością i tęsknotą: „Wyższe, niż potrafisz sobie wyobrazić, Luz, wyższe i bielsze. Patrzysz w górę, coraz wyżej, a tam ciągle nad szczytami nowe szczyty.”

Teraz byłby tam, nie tutaj. Patrzyła tylko na swoją samotność, choć nosiła ona jego twarz.

- Idź, Lev - szepnęła. - Idź w góry, wyżej...

A dokąd ja pójdę? Dokąd pójdę, sama?

Bez Leva, bez matki, której nie znałam, i ojca, którego nigdy nie poznam, bez mojego domu i mojej Stolicy, bez przyjaciół - o tak, przyjaciele, Vera, Południowa Bryza, Andre, wszyscy inni, wszyscy ci łagodni ludzie, ale to nie moi ludzie. Tylko Lev był kimś takim, ale on nie mógł zostać, nie mógł czekać, musiał wejść na swoją górę i odłożyć życie na później. On był moją szansą, moim szczęściem. A ja jego. Ale on nie chciał

tego dostrzec, nie chciał zatrzymać się i spojrzeć. Odzucił to wszystko.

Więc teraz zatrzymuję się tu, między dolinami, pod drzewami, i muszę patrzeć. I widzę, że Lev nie żyje, a jego nadzieja przepadła; że mój ojciec jest mordercą i szaleńcem, a ja zdrajczynią Stolicy i obcą w Mieście.

I cóż jeszcze tam jest?

Reszta świata. Rzeka, wzgórze i światło nad Zatoką. Cała reszta tego milczącego, żyjącego świata bez ludzi. I samotna ja.

\* \* \*

Schodząc ze wzgórza zobaczyła, jak z domu Południowej Bryzy wychodzi Andre i odwraca się, by porozmawiać przy drzwiach z ą Zawołali do siebie przez leżące odłogiem pola i Andre zaczekał na nią przy zakręcie dróżki prowadzącej do Szantih.

- Gdzie byłaś, Luz? - zapytał z troską, nieśmiało. Nigdy nie próbował zapraszać jej jak inni; po prostu był, niezawodny. Od śmierci Leva nie istniała dla niego radość, za to wiele troski. Stał silny i lekko zgarbiony, przeciążony, cierpliwy.

- Nigdzie - odparła zgodnie z prawdą. - Chodziłam. Rozmyślałam. Andre, powiedz mi. Nie chcę cię pytać

przy Verze, żeby jej nie zdenerwować. Co się teraz stanie między Stolicą i Szantih? Nie wiem tyle, żeby zrozumieć, co mówi Elia. Czy wszystko będzie szło jak dawniej?

Po dość długiej chwili Andre skinął głową. Jego ciemna twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi jak wyrzeźbionymi w drewnie była zamknięta. - Albo gorzej - rzekł. A potem dodał, pamiętając o lojalności względem Elii: - Niektóre rzeczy wyglądają lepiej. Umowa handlowa - jeśli będą jej dotrzymywać. I Południowa Dolina. Nie będzie robót przymusowych, żadnych „posiadłości” i tak dalej. Jestem pełen nadziei. Chociaż raz może będziemy tam pracować razem.

- Pójdiesz tam?
- Nie wiem. Chyba tak. Powinienem.
- A co z północną kolonią? Z doliną, którą znaleźliście, z górami?

Andre podniósł na nią wzrok. Potrząsnął głową.

- Nie ma sposobu...?
- Tylko jeśli poszlibyśmy jako ich służący.
- Marquez nie zgodzi się, żebyście poszli sami, bez ludzi ze Stolicy?

Potrząsnął głową.

- A co, gdybyście jednak poszli?

- A jak myślisz, o czym śnię co noc? - rzekł i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała gorycz. - Po tym, jak rozmawiałem z Elią, Klejnotem, Samem, Marquezem i Radą o kompromisie, współpracy, rozsądku? Ale gdybyśmy poszli, ruszyliby za nami.

- To idźcie tam, gdzie nie pójdą za wami.

- A dokąd? - rzekł Andre. W głosie znów brzmiała mu cierpliwość, ale zabarwiona ironią i przygnębieniem.

- Dokądkolwiek! Dalej na wschód, do lasów. Albo na południowy wschód. Albo na południe, wzdłuż wybrzeża, dalej, niż dopływają trawlerzy - muszą istnieć inne zatoki, inne miejsca na założenie miasta! To jest cały kontynent, cały świat. Dlaczego musimy zostać tutaj, stłoczeni, niszcząc się nawzajem? Byliście na pustkowiu, ty, Levi inni, wiesz, jak tam jest...

- Tak. Wiem.

- Wróciliście. Dlaczego musicie wracać? Dlaczego nie można po prostu odejść, nie wszyscy na raz, ale po prostu odejść nocą i iść; może kilku powinno pójść wcześniej i założyć miejsca postojów z żywnością; ale nie zostawicie śladu, żadnego śladu. Po prostu pójdziecie. Daleko! A kiedy odejdziecie sto kilometrów albo pięćset, albo tysiąc i znajdziecie dobre miejsce, za-

trzymacie się i założycie osadę. Nowe miejsce. Sami.

- To nie... to rozbija wspólnotę, Luz - powiedział Andre. - To byłaby... ucieczka.

- Och - rzekła Luz z oczyma błyszczącymi gniewem.  
- Ucieczka! Włazicie w pułapkę Marqueza w Południowej Dolinie i nazywacie to wytrwaniem! Mówicie o wyborze i wolności... Jest tu świat, cały świat, w którym możecie żyć i być wolnym, i to byłaby ucieczka! Od czego? Do czego? Może nie potrafimy być wolni, może ludzie zawsze biorą z sobą siebie, ale możecie przynajmniej spróbować. Po co był wasz Długi Marsz? Dlaczego uważacie, że w ogóle się skończył?

## Rozdział 11

Vera chciała nie spać, żeby ich odprowadzić, ale zasnęła przy ogniu i ciche pukanie do drzwi nie obudziło jej. Południowa Bryza i Luz spojrzały na siebie; Południowa Bryza potrząsnęła głową. Luz uklękła i pośpiesznie, jak najciszej położyła za węglami świeżą cegiełkę torfu, żeby w domu było ciepło całą noc. Południowa Bryza, niezgrabna w grubym płaszczu i z plecakiem, pochyliła się i dotknęła wargami siwych włosów Very, rozejrzała się szybko po domu oszołomionym wzrokiem i wyszła. Luz wyszła za nią.

Noc była pochmurna, ale sucha, bardzo ciemna. Zimno obudziło Luz z długiego odrętwienia czekaniem; wstrzymała oddech. Wokół niej w ciemności znajdowali się ludzie, kilka cichych głosów. - Obie? Dobrze, idziemy. - Ruszyli; przeszli obok domu, przez pole ziemniaków, ku niskiemu grzbietowi leżącemu za nim na wschodzie. Gdy oczy Luz przyzwyczyły się do mroku, spostrzegła, że obok niej idzie ojciec Leva, Sa-

---

sza; wyczuwając w ciemności jej wzrok, zapytał: - Jak plecak?

- Dobrze - odpowiedziała szeptem. Nie wolno im rozmawiać, nie wolno im zrobić żadnego hałasu, pomyślała, jeszcze nie, dopiero gdy oddalą się od osady, gdy miną ostatnią wioskę i ostatnie gospodarstwo za Rzeką Młyńską, daleko stąd. Muszą iść szybko i w milczeniu i niech ich nie zatrzymają, o Panie Boże, niech ich nie zatrzymają!

- Mój jest wypełniony żelazem albo nie wybaczo-  
nymi grzechami - mruknął Sasza. Szli w milczeniu, tu-  
zin cieni w cieniu światła.

Gdy doszli do Rzeki Młyńskiej, było jeszcze ciemno. Znajdowali się parę kilometrów na południe od miejsca, gdzie wpadała do Songe. Łódź czekała, a razem z nią Andre i Trzymajmocno. Hari przewiózł sześć osób, a potem drugą szóstkę. Luz była w drugiej grupie. Gdy zbliżali się do wschodniego brzegu, lita czerń światła nocy traciła materialność, stawała się zasłoną światła zamazującą wszystkie kontury, gęstniejącą nad wodą mgłą. Drząc postawiła stopę na przeciwległym brzegu. Pozostawiony samotnie w łodzi, którą Andre i inni już odepchnęli z powrotem, Hari zawołał cicho: - Powodzenia, powodzenia! Pokój niech idzie z wami! - I łódź

zniknęła we mgle jak duch, a dwanaścioro ludzi stało na upiornym, blednącym piasku.

- Tędy do góry - zabrzmiał z mgły i bieli głos Andre.
- Będą dla nas mieli śniadanie.

Stanowili ostatnią i najmniejszą z trzech grup, które co noc opuszczały Miasto; inni czekali dalej wśród dzikich wzgórz na południe od Młyńskiej, w krainie, do której udawali się jedynie łowcy królików. Opuścili brzeg rzeki i ruszyli w dziką krainę, idąc gęsiego za Andre i Trzymajmocno.

Od wielu godzin, krok po kroku myślała, że gdy tylko się zatrzymają, osunie się prosto na ziemię, błoto czy piasek, osunie się i nie ruszy się do rana. Ale gdy zatrzymali się, zobaczyła, że Andre i Martin dyskutują nad czymś z przodu, więc poszła dalej, krok po kroku, aż zrównała się z nimi, i nawet wtedy nie osunęła się, ale stała, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Martin uważa, że kompas źle pokazuje - powiedział Andre. Z powątpiewaniem w oczach wyciągnął przyrząd do Luz, jakby potrafiła na pierwszy rzut oka ocenić jego niedokładność. Dostrzegła za to jego delikatność, pudełko z wypolerowanego drewna, złocisty pierścień, szkło, kruchą igłę kręcącą się, drżącą pomiędzy starannie naciętymi kreskami. Pomyślała: Jaki



piękny przedmiot, cudowny, nieprawdopodobny. Lecz Martin patrzył na niego z dezaprobatą. - Jestem pewien, że odchyła się na wschód - rzekł. - Muszą być w tych wzgórzach jakieś złoża żelaza. - Skinął głową ku wschodowi. Od półtora dnia znajdowali się w dziwnym, pokrytym zaroślami kraju bez drzew pierścieniowych ani bawełnianych. Rosły tu z rzadka rozsiane karłowate drzewka o splątanych gałęziach, które nie przekraczały wysokości dwóch metrów; nie był to las, ale i nie otwarta przestrzeń; rzadko zdarzał się rozległy widok. Wiedzieli jednak, że na wschodzie, po ich lewej, biegnie linia wysokich wzgórz, które po raz pierwszy ujrzeli przed sześcioma dniami. Ilekroć wchodzili na jakieś wzniesienie, widzieli tam ciemnoczerwony, skalisty horyzont.

- A czy to takie ważne? - spytała Luz, słysząc własny głos po raz pierwszy od wielu godzin.

Andre przygryzł dolną wargę. Twarz miał bardzo zmęczoną, oczy zwężone, bez blasku. - Dla marszu nie - rzekł. - Dopóki będzie słońce albo gwiazdy w nocy. Ale jeśli chodzi o zrobienie mapy...

- A może znowu skrócimy na wschód. Przejdziemy te wzgórza. Nie robią się wcale niższe - odezwał się Martin. Młodszy od Andre, wyglądał na o wiele mniej

---

zmęczonego. Był jednym z podpór grupy. Luz czuła się przy Martinie swobodnie; wyglądał jak człowiek ze Stolicy: był krępy, ciemny, muskularny, dość szorstki i posepny; nawet jego imię było pospolite w Stolicy. Lecz mimo całej spokojnej siły Martina Luz zwróciła się ze swym pytaniem do Andre.

- Czy nie możemy jeszcze oznaczać szlaku?

Nie chcąc zostawiać żadnych śladów próbowali nanieść swój szlak na mapę. Kilku wysłańców mogło po paru latach przynieść mapę do Szantih, żeby z jej pomocą druga grupa mogła dotrzeć do nowej kolonii. Była to jedyna przyczyna sporządzenia jej, o jakiej kiedykolwiek wspominali. Kierował tym Andre, autor mapy z podróży na północ, i czuł, że spoczywa na nim wielka odpowiedzialność, bo zawsze pamiętali o nigdy nie wypowiedzianym celu mapy. Stanowiła ona jedyny łącznik z Szantih, z ludzkością, z ich własnym poprzednim życiem; ich jedyne zapewnienie, że nie błąkają się bez celu zagubieni na pustkowiu i ponieważ nie mogli oznaczać szlaku, bez nadziei powrotu.

Czasami Luz trzymała się pomysłu wykonania mapy, czasami traciła do niego cierpliwość. Martin bardzo pragnął ją sporządzić, ale najbardziej dbał o zacieranie śladów; Italia zauważyła, że krzywił się, jeśli ktokol-

wiek stanął na jakąś gałązkę i ją złamał. Z pewnością przez dziesięć dni podróży zostawili tak mało śladów, jak tylko było to możliwe w przypadku sześćdziesięciu siedmiu osób.

Martin potrząsnął głową nad pytaniem Luz. - Posłuchaj - rzekł - wybór drogi był tak oczywisty od samego początku; to najłatwiejsza trasa.

Andre uśmiechnął się. Był to uśmiech szorstki, wąski, jak pęknięcie kory drzewa, a oczy zwały mu się w jeszcze mniejsze szparki. To dlatego Luz lubiła przebywać z Andre, czerpała od niego siłę, z tego zabawnego cierpliwego uśmiechu, jakby się uśmiechało drzewo.

- Pomyśl o możliwościach, Martin! - powiedział i Luz ujrzała, co sobie wyobraził: grupę ludzi ze Stolicy, zbiorów Macmilana ze strzelbami, biczami, butami i w ogóle, stojących na urwisku nad Songe, patrzących ku północy, wschodowi, południowi, ponad szarym rdzawopierścieniowym wznoszącym się opadającym pociemniałym od deszczu niekończącym się pozbawionym dróg bezgłównym ogromnym pustkowiem, i usiłujących odgadnąć, który z setki możliwych kierunków obrali uciekinierzy.

- Dobrze - powiedziała - przetnijmy więc wzgórze.

- Wspinaczka nie będzie o wiele cięższa niż przedzieranie się przez te zarośla - rzekł Andre.

Martin skinął głową. - A więc znów skręcimy tutaj na wschód?

- Tak samo dobrze tutaj, jak gdzie indziej - odparł Andre i wyciągnął brudny szkic mapy z pozaginаныmi rogami, żeby nanieść poprawkę.

- Teraz? - spytała Luz. - Czy rozbijamy obóz?

Zwykle nie rozbijali obozu wcześniej niż przed samym zachodem słońca, ale przeszli dzisiaj długą drogę. Rozejrzała się po wysokich do ramion, kolczastych, brązowych krzakach, rosnących w odległości kilku metrów od siebie, co powodowało, że wokół nich, wśród nich i pomiędzy nimi wiły się miliony ścieżek prowadzących donikąd. Widać było tylko kilka osób z całej grupy; większość od razu usiadła, gdy tylko zarządzono postój. Nad głową miała ołowiane niebo, jednolitą, równą chmurę.

Przez dwie noce nie spadło ani trochę deszczu, ale z każdą godziną robiło się coraz zimniej.

- No, jeszcze kilka kilometrów - powiedział Andre - i staniemy u podnóża wzgórz; może tam znajdziemy jakieś schronienie. I wodę. - Spojrzał na nią krytycznie i czekał na jej ocenę. On, Martin, Italia oraz inni prze-

wodnicy często traktowali ją i parę starszych kobiet jako przedstawicielki słabych, którzy nie mogli utrzymać tempa, jakie narzuciliby najmocniejsi. Nie przeszkadzało jej to. Codziennie szła do granic swej wytrzymałości albo dalej. Pierwsze trzy dni podróży, kiedy śpieszyli się z obawy przed pościgiem, wyczerpały ją i choć robiła się mocniejsza, nie nadrobiła tej początkowej utraty sił. Pogodziła się z tym i zachowała swą niechęć dla plecaka, tego potwornego, łatwo wpadającego w gniew, przyginającego kolana i łamiącego kark ładunku. Gdyby tylko nie musieli ze sobą wszystkiego nieść! Ale nie mogli pchać wózków nie robiąc ścieżek, a sześćdziesiąt siedem osób nie zdołoby się wyżywić podczas podróży przez pustkowia ani się w nich osiedlić bez narzędzi, nawet gdyby to nie była późna jesień chyląca się ku zimie...

- Jeszcze kilka kilometrów - powiedziała. Zawsze była zaskoczona, gdy mówiła coś takiego. „Jeszcze kilka kilometrów”, jak gdyby to nic nie było, kiedy przez ostatnie sześć godzin marzyła, pragnęła usiąść, tylko usiąść, tylko usiąść na minutkę, na miesiąc, na rok! Ale gdy teraz mówili o ponownym skręceniu na wschód, okazało się, że ona także pragnie wydostać się z tego ponurego labiryntu kolczastych zarośli we wzgórza,

gdzie może da się zobaczyć drogę przed sobą.

- Kilka minut odpoczynku - dodała i usiadła zrzucając rzemienie plecaka i rozcierając obolałe ramiona. Andre też natychmiast usiadł. Martin odszedł, by porozmawiać z innymi i omówić zmianę kierunku. Nikogo z nich niebyło widać, wszyscy zniknęli w morzu kolczastych krzewów, od razu wykorzystując kilkuminutowy odpoczynek na piaszczystej, szarawej ziemi pokrytej kolcami. Nie widziała nawet Andre, a tylko skraj jego plecaka. Południowo-Zachodni wiatr, słaby, lecz zimny, szeleścił wśród suchych gałązek krzaków. Nie rozlegał się żaden inny dźwięk.

Sześćdziesiąt siedem osób: ani śladu po nich. Zniknęli. Zginęli. Kropla wody w rzece, słowo uleciałe na wietrze. Jakieś małe istoty poruszały się przez chwilę na pustkowiu, nie zaszły zbyt daleko, a potem przestały się poruszać, a pustkowiu nie sprawiło to żadnej różnicy, nie większą niż spadnięcie jednego kolca wśród milionów kolców lub przesunięcie ziarna piasku.

Strach, który poznała w ciągu dziesięciu dni podróży, nadchodził jak plamka szarej mgły na polach jej umysłu, chłodne pełzanie ślepoty. To był jej strach, jej dziedziczny i wyuczony strach; dachy i ściany Stolicy

zostały wzniesione właśnie dlatego, by odgrodzić się od jej, ich strachu; to właśnie strach zbudował takie proste ulice i takie wąskie drzwi. Mieszkając za tymi drzwiami prawie go nie znała. Czuła się wtedy zupełnie bezpieczna. Zapomniała o nim nawet w Szantih, mimo że była obca, bo ściany tam nie były widoczne, ale za to bardzo mocne: koleżeństwo, współdziałanie, miłość; ciasny ludzki krąg. Ale porzuciła to wszystko z własnego wyboru, poszła na pustkowie i w końcu stanęła twarzą w twarz ze strachem, na którym zbudowane było całe jej życie.

Nie mogła tak po prostu przed nim stanąć, ale musiała walczyć z nim od chwili, gdy zaczął ją ogarniać, bo inaczej przesłoniłby wszystko inne, a ona zupełnie straciłaby władzę dokonywania wyboru. Musiała walczyć na oślep, bo temu strachowi nie potrafił przeciwstawić się żaden umysł. Był o wiele starszy i silniejszy od pojęć.

Istniało pojęcie Boga. W Stolicy opowiadało się o Bogu dzieciom. Stworzył wszystkie światy, karał grzeszników, a gdy umierali dobrzy ludzie, wysyłał ich do Nieba. Niebo to piękny dom ze złotym dachem, gdzie Maria, matka Boga, matka wszystkich ludzi, czule oczekiwała na dusze zmarłych. Podobało jej się to

opowiadanie. Kiedy była mała, modliła się do Boga, by sprawił, żeby coś się stało lub nie, bo jeśli się go poprosiło, mógł sprawić wszystko; później lubiła wyobrażać sobie matkę Boga i swoją matkę, jak razem prowadzą dom. Ale gdy myślała o niebie tutaj, było małe i odległe jak Stolica. Nie miało nic wspólnego z pustkowiem. Tu nie było Boga; on należał do ludzi, a gdzie nie ma ludzi, tam nie ma Boga. Na pogrzebie Leva i innych też mówiło się o Bogu, ale to zostało tam, tam. Tutaj było zupełnie inaczej. Nikt nie stworzył tego pustkowi i nie było na nim ani zła, ani dobra; ono po prostu było.

Narysowała w piaszczystej ziemi obok swej stopy kółko, starając się, by było jak najbardziej okrągłe, używając do rysowania kolczastej gałązki. To kółko było światem, osobą albo Bogiem, można je nazwać czymkolwiek. Nic innego na pustkowiu nie mogło wyobrazić sobie takiego kółka - ona pomyślała o delikatnym złocistym kręgu wokół szkiełka kompasu. Ponieważ jest człowiekiem, ma umysł, oczy i zręczną rękę, aby wyobrazić sobie pojęcie koła i narysować to pojęcie. Ale każda kropla wody spadająca z liścia do stawu czy kałuży mogła wywołać kółko, znacznie bardziej okrągłe, biegnące ze środka na zewnątrz, a jeśli woda



nie miała granicy, kółko biegłoby na zewnątrz nieprzerwanie, coraz słabsze i słabsze, coraz większe. Ona nie potrafiła zrobić tego, co potrafiła każda kropla wody. A co jest w środku jej kółka? Ziarna piasku, pył, kilka kamyków, na wpół zakopany kolec, zmęczona twarz Andre, dźwięk głosu Południowej Bryzy, oczy Saszy podobne do oczu Leva, ból jej własnych ramion pod rzemieniami plecaka i jej strach. Kółko nie stanowiło obrony przed strachem. I ręka zmasała kółko, wygładzając piasek, zostawiając go takim, jakim był zawsze i zawsze będzie po ich odejściu.

- Z początku czułam, że zostawiam Timma - powiedziała Południowa Bryza przyglądając się najgorszemu pęcherzowi na swej lewej stopie. - Kiedy wyszliśmy z domu. Zbudowaliśmy go razem... wiesz. Czułam się, jakbym odchodziła i w końcu zostawiała go na zawsze, na zawsze. Ale teraz już mi się tak nie wydaje. On umarł tutaj, na pustkowiu. Nie dokładnie tutaj, wiem; daleko na północy. Ale nie czuję, że jest tak strasznie daleko, jak czułam całą jesień mieszkając w naszym domu; to prawie tak, jakbym przyszła tu do niego. Nie jakbym umierała, nie to mam na myśli. Tylko że tam myślałam jedynie o jego śmierci, a tutaj, kiedy idziemy, cały czas myślę o nim żywym. Tak jak-

by był tu ze mną.

Rozbili obóz w zagłębieniu terenu tuż pod czerwonymi wzgórzami, obok bystrego, kamienistego strumienia. Rozpalili ogniska, ugotowali jedzenie, zjedli kolację; wielu położyło się już do snu, owinąwszy się kocami. Nie było jeszcze ciemno, ale tak zimno, że jeśli nie było się w ruchu, należało albo skulić się przy ogniu, albo zawinąć się i spać. Przez pierwsze pięć nocy podróży nie rozpalali ognisk ze strachu przed pościgiem i były to przykre noce; Luz nie znała tak czystej radości jak wtedy, gdy usiadła przy pierwszym ognisku, jeszcze wewnątrz wielkiego pierścienia drzew na południowym stoku nieużytków, i każdej nocy wracała ta przyjemność, całkowity luksus gorącej strawy, ciepła. Trzy rodziny, z którymi razem z Południową Bryzą obozowały i gotowały, układały się na noc; najmłodsze dziecko - najmłodsze wśród wszystkich uciekinierów, jedenastoletni chłopiec - zwinął się już w swoim kocu jak nietoperz workowaty i mocno spał. Luz zajmowała się ogniem, a Południowa Bryza swoimi pęcherzami. W górę i w dół rzeki było widać inne ogniska, najdalsze nie większe od płomyka świecy w niebieskoszarym zmierzchu, plamka zamglonego, drżącego złota. Hałas strumienia zagłuszał wszelkie

głosy wokół innych ognisk.

- Przyniosę więcej drewna - rzekła Luz. Nie unikała odpowiedzi na to, co powiedziała Południowa Bryza. Nie była tu potrzebna żadna odpowiedź. Południowa Bryza stanowiła łagodną całość; dawała i mówiła nie spodziewając się rewanzu; na całym świecie nie mógł istnieć towarzysz mniej wymagający i bardziej podtrzymujący na duchu.

Mieli za sobą dzień porządnego marszu, według oceny Martina dwadzieścia siedem kilometrów; wydostali się z tego monotonnego, koszmarnego labiryntu zarośli; zjedli ciepłą kolację, ogień był gorący i nie padało. Gdy Luz wstała, nawet ból ramion był przyjemny (bo nie obciążał ich plecak). Właśnie te chwile pod koniec dnia przy ogniu równoważyły długie, posępne, głodne popołudnia nie kończącego się marszu, próby przesunięcia wrzynających się w ramiona rzemieni plecaka i godziny spędzone w błocie i deszczu, gdy wydawało się, że nie istnieje żadna przyczyna, by iść dalej, i te najgorsze godziny w czarnej ciemności nocy, gdy budziła się zawsze z tego samego straszego snu: że wokół obozu, tuż poza zasięgiem wzroku, stoi krąg jakichś istot, nie ludzi, niewidocznych w ciemności, ale obserwujących.

---

- Ten wygląda lepiej - powiedziała Południowa Bryza, gdy Luz wróciła z krzaków rosnących wyżej na stoku z naręczem drewna - ale ten na pięcie nie. Wiesz, cały dzień czułam, że nikt za nami nie idzie.

- Nie sędzę, żeby ktokolwiek w ogóle szedł za nami - odparła Luz dokładając do ognia. - Nigdy nie uważałam, że naprawdę będzie ich to obchodziło, nawet gdyby wiedzieli. W Stolicy nie lubią myśleć o pustkowiu. Chcą udawać, że go nie ma.

- Mam nadzieję. Nie znoszę uczucia, że uciekamy. Przeświadczenie, że się jest odkrywcami to o wiele odważniejsze uczucie.

Luz tak ułożyła ognisko, że ogień palił się niskim, lecz ciepłym płomieniem, i przykucnęła przy nim po prostu wchłaniając przez jakiś czas ciepło.

- Tęsknię za Verą - rzekła. Gardło miała suche od pyłu i ostatnio nieczęsto się odzywała; jej głos zabrzmiał w jej uszach oschle i szorstko, jak głos ojca.

- Przyjdzie z drugą grupą - powiedziała Południowa Bryza ze spokojną pewnością, owijając swą ładną, pobijaną stopę paskiem materiału, który zawiązała mocno przy kostce. - Ach, tak lepiej. Jutro owinę stopę tak jak Trzymajmocno. Będzie też ciepiej.

- Jeśli tylko nie spadnie deszcz.

- W nocy nie będzie padało. - Ludzie z Szantih znali się na pogodzie o wiele lepiej od Luz. Nie przebywali tak dużo w pomieszczeniach jak ona, wiedzieli, co oznacza wiatr, nawet tutaj, gdzie wiatry były inne.

- Może popada jutro - dodała Południowa Bryza, zaczynając wślizgiwać się do swego wora z koca, a jej głos już brzmiał cicho i ciepło.

- Jutro będziemy wśród wzgórz - rzekła Luz. Podniosła wzrok, spojrzała ku wschodowi, ale zbocze doliny ze strumieniem i niebieskoszary zmrok ukryły skalistą linię horyzontu. Chmury przerzedziły się; przez chwilę wysoko na wschodzie świeciła gwiazda, mała i zamglona, a potem zniknęła, gdy niewidoczne chmury znów się połączyły. Luz czekała, aż się znów pojawi, ale czekała bezskutecznie.

Poczuła się głupio zawiedziona. Niebo zrobiło się ciemne, tak jak i ziemia. Nigdzie żadnego światła oprócz ośmiu złotych plamek, ich ognisk jak mała konstelacja w nocy.

A daleko tam na zachodzie, odległe od nich o całe dni, o tysiące, tysiące kroków, za krainą zarośli, za nieużytkami, wzgórzami, dolinami, strumieniami, nad wielką rzeką płynącą do morza, kilka światła: Stolica i Miasto, maleńkie skupisko żółto oświetlonych okien.

---

Ciemna rzeka płynąca w ciemności. I żadnego światła na morzu.

Przesunęła kłodę, żeby tliła się wolniej, i przygarnęła do niej popiół. Znalazła swój śpiwór i wsunęła się do niego obok Południowej Bryzy. Chciała teraz porozmawiać. Południowa Bryza rzadko mówiła wiele o Timmie. Chciała usłyszeć, jak mówi o nim i o Levie; po raz pierwszy sama chciała mówić o Levie. Za wiele tu ciszy. W ciszy zginie wiele rzeczy. Powinno się mówić. A Południowa Bryza potrafiła zrozumieć. Ona też straciła swe szczęście, poznała śmierć i poszła dalej.

Luz cicho wypowiedziała jej imię, ale ciepłe zawiniątko z koca obok niej nie poruszyło się. Południowa Bryza zasnęła.

Luz ostrożnie ułożyła się do snu. Nadrzeczna plaża, choć kamienista, stanowiła lepsze łóżko niż kraina kolczastych zarośli zeszłej nocy. Jej ciało jednak było tak zmęczone, że sprawiało wrażenie ciężkiego, niezdarne, twardego: miała ściśniętą klatkę piersiową. Zamknęła oczy. Od razu zobaczyła wielką salę Casa Falco, długą i spokojną, ze srebrzystym światłem odbitym od Zatoki wypełniającym okna; stał tam jej ojciec, wyprostowany, czujny, pełen rezerwy, tak jak zawsze. Lecz stał beczynnym, co nic było do niego po-

dobne. Michael i Teresa stali przy drzwiach szepcząc do siebie. Poczwała do nich dziwną odrazę. Ojciec stał plecami do nich jakby nie wiedział, że tam są, albo jakby wiedział, ale się ich obawiał. Podniósł rękę w dziwny sposób. Przez chwilę widziała jego twarz. Płakał. Nie mogła oddychać, spróbowała głęboko odechnąć, ale nie mogła; powietrze uwięzło jej w gardle - bo płakała. Wstrząsał nią głęboki szloch, który prawie nie pozwalał jej zaczerpnąć powietrza. Szlochając, leżąc na ziemi wstrząśnięta i udręczona pośród ogromnej nocy, płakała za umarłymi, za zaginionymi. Już nie strach, ale żal, żal poza wszelką wytrzymałość, który wytrwa.

Zmęczenie i ciemność spijały jej łzy i Luz zasnęła, nim skończyła płakać. Spała całą noc bez snów i przykrego budzenia się, jak kamień wśród kamieni.

Wzgórza okazały się wysokie i trudne do pokonania. Wspinaczka nie była najgorsza, bo mogli posuwać się w górę wielkich, otwartych, rdzawych zboczy zakosami, ale kiedy dotarli na szczyt wśród pionowych ścian skalnych spiętrzonych jak budynki i wieże, zobaczyli, że wspięli się dopiero na pierwszy z potrójnego lub poczwórnego łańcucha wzgórz i że dalsze grzbiety są wyższe.

W kanionach między grzbietami tłoczyły się drzewa pierścieniowe. Nie rosły w kręgach, ale w ciasnych grupach i strzelały nienaturalnie wysoko do światła. Między czerwonymi pniami pełno było potężnych krzewów zwanych aloesem, bardzo utrudniających poruszanie się; ale na ich gałązkach wisały jeszcze owoce o grubym pożywnym ciemnym miąższu pomarszczonym wokół jednej pestki, stanowiące miłe uzupełnienie skąpych zasobów żywności w plecakach. W tej okolicy nie mieli innego wyboru jak zostawić za sobą ślady; żeby w ogóle posuwać się do przodu, musieli wycinać sobie drogę. Przejście kanionu zajęło im dzień, a drugi wejście na drugi łańcuch wzgórz, za którym leżał następny szereg kanionów wypełnionych brązowymi drzewami i szkarłatnymi zaroślami, a za nimi potężny grzbiet o stromych odnogach, wznoszący się nagimi piargami ku skalistym szczytom.

Następnej nocy musieli rozbić obóz w wąwozie. Zanim nadeszło południe, nawet Martin był zbyt zmęczony wycinaniem drogi krok po kroku, by iść dalej. Gdy rozbili obóz, ci, którzy nie byli wyczerpani robieniem ścieżek, rozeszli się, ale ostrożnie i nie odchodząc daleko, bo w zaroślach bardzo łatwo można stracić wszelkie poczucie kierunku. Znaleźli aloes i nazbierali



jego owoców, a kilku chłopców prowadzonych przez Witaj po wodę znalazło w strumieniu na dnie wąwozu słodkowodne małże. Tego wieczoru zjedli porządny posiłek. Potrzebowali go, bo znów padało. Mgła, deszcz i wieczór powlekły szarością żywą czerwień lasu. Zbudowali szałas z zarośli i kulili się przy ogniskach, które nie chciały się palić.

- Widziałem coś dziwnego, Luz.

Dziwny człowiek ten Sasza: najstarszy z nich wszystkich, choć twardy i żyłasty, lepiej się trzymał niż niektórzy modsi mężczyźni; nigdy w złym humorze, zupełnie niezależny i prawie całkowicie milczący. Luz nigdy nie widziała, żeby jego udział w rozmowie wyszedł poza lak i nie, uśmiech czy potrząśnięcie głową. Wiedziała, że nigdy nie odzywał się w Domu Zebrań, nic należał do grupy Elii czy ludzi Very, nigdy nie dokonywał publicznych wyborów, choć był synem jednego z największych bohaterów i przywódców swego ludu, Shultsa, który poprowadził Długi Marsz z ulic miasta Moskwy do portu w Lizbonie i dalej. Shults miał inne dzieci, ale one umarły podczas pierwszych trudnych lat na Victorii; żył tylko Sasza, urodzony ostatni, urodzony na Victorii. Sam miał syna i widział jego śmierć. Nigdy nic nie mówił. Czasami odzywał się

tylko do niej, do Luz. - Widziałem coś dziwnego, Luz.

- Co?

- Jakieś zwierzę. - Wskazał na prawo, w górę stromego zbocza pokrytego zaroślami i drzewami, stanowiącego teraz w zmierzchającym świetle ciemną ścianę. - Tam w górze, gdzie runęło parę dużych drzew, zrobiła się polanka. W jednym końcu znalazłem aloes i zbierałem owoce. Spojrzałem przez ramię - czułem, że coś mi się przygląda. Stało po drugiej stronie polanki. - Zamilkł na chwilę, nie dla efektu, ale by uporządkować opis. - Też zbierało aloes. Najpierw pomyślałem, że to człowiek. Jak człowiek. Ale nie było o wiele większe od królika, gdy opadło na czworaki. Ciemne, z czerwonawą głową dużą głową, wydawała się za duża w stosunku do reszty. Oko na środku, jak u coto, patrzące na mnie. Chyba też oczy po bokach, ale nie widziałem wystarczająco wyraźnie. Patrzyło minutę, a potem odwróciło się i weszło między drzewa.

Głos miał cichy i beznamiętny.

- Brzmi przerażająco - powiedziała cicho Luz - i nie wiem dlaczego. - Ale wiedziała, przypominając sobie sen o istotach, które przychodziły i patrzyły; chociaż odkąd wydostali się z kolczastych zarośli, nic takiego jej się nie śniło.

---

Sasza potrząsnął głową. Kucali obok siebie pod postrzępionym dachem gałęzi. Starł kroplisty deszcz z włosów, przygładził nastroszone siwe wąsy. - Nie ma tu nic, co by nas skrzywdziło, oprócz nas samych - powiedział. - Czy są w Stolicy jakieś opowieści o zwierzętach, o których nie wiemy?

- Nie - tylko o spraszach.
- Spraszach?
- Stare opowieści. O stworach jak ludzie, z płonącymi oczyma, włochatych. Opowiadała o nich moja kuzynka Lores. Ojciec mówił, że to naprawdę ludzie - wygnańcy, albo ludzie, którzy się zgubili, szaleńcy.

Sasza skinął głową. - Nic takiego nie zaszłoby tak daleko - powiedział. - Jesteśmy pierwsi.

- Mieszkamy tu tylko na wybrzeżu. Chyba istnieją zwierzęta, których nigdy przedtem nie widzieliśmy.

- I rośliny. Spójrz na to, wygląda jak roślina, którą nazywamy białą jagodą, ale to nie to samo. Zobaczyłem ją dopiero wczoraj.

Po chwili powiedział: - Nie ma nazwy dla zwierzęcia, które widziałem.

Luz skinęła głową.

Między nią i Saszą zapadła cisza, więź ciszy. Nie powiedział innym o zwierzęciu, ona też nie. Nic nie wie-

dzieli o tym świecie, o ich świecie, tylko to, że muszą chodzić po nim w milczeniu aż nauczą się języka, który będzie do niego pasował. Sasza chętnie zaczeka.

Drugi grzbiet pokonany w trzeci dzień deszczu. Dłuższa, płytsza dolina, gdzie łatwiej było iść. Około południa wiatr skręcił i powiał z północy, oczyszczając grzbiety z chmur i mgły. Całe popołudnie wchodzili na ostatnie zbocze i wieczorem w wielkiej, zimnej przejrzystości światła weszli między potężne, rdzawe formacje skalne szczytu i ujrzeni wschodnie ziemie.

Zbierali się powoli, najwolniejsi zmagali się jeszcze z kamienistym zboczem, podczas gdy idący na przedzie czekali na nich: dla oczu wspinających się ludzi kilka małych, ciemnych postaci na tle niezmiernej jasnej pustki nieba. Krótka, rzadka trawa na szczycie grzbietu płonęła czerwono w świetle zachodzącego słońca. Zebrali się tam wszyscy, sześćdziesięcioro siedmioro ludzi, i stali patrząc na resztę świata. Nie mówili wiele. Reszta świata wyglądała na bardzo dużą.

Cienie pasma, na które się wspięli, rozciągały się daleko na równinę. Za tymi cieniami ziemia była złocista, mglista, czerwono, zimowo złocista, niewyraźnie pobrużdżona i nakrapiana odległymi strumieniami i niskimi wzgórzami lub zagajnikami drzew pierścienio-

wych. Daleko po drugiej stronie płaskowyżu, na samej granicy wzroku, na tle ogromnego, bezbarwnego, wietrznego nieba wznosiły się góry.

- Jak daleko? - spytał ktoś.
- Do podnóża gór może sto kilometrów.
- Duże...
- Tak jak te, które widzieliśmy na północy, nad Jeziorem Spokojnym.
- To może być to samo pasmo. Biegło na południowy wschód.
- Ta równina jest jak morze, ciągnie się i ciągnie.
- Ale tu zimno!
- Zejdźmy za szczyt, schowajmy się od wiatru.

Długo po tym, jak płaskowyż pograżył się w szarości, na wschodzie na granicy widoczności płonęła ostra, wąska krawędź oświetlonego słońcem lodu. Zbielała i rozplynęła się; pojawiły się gwiazdy, gęste w wietrznej czerni, wszystkie konstelacje, wszystkie jasne miasta, które nie były ich domem.

Dziki ryż błotny rósł gęsto obok strumieni na płaskowyżu; żywili się nim podczas ośmiu dni, w ciągu których przemierzyli równinę. Żelazne Wzgórza kurczyły się za nimi pomarszczoną, rdzawą linią narysowaną na zachodzie. Równina roiała się od królików. Był

---

to gatunek o nieco dłuższych nogach niż ten zamieszkujący lasy nadbrzeżne; brzegi rzek były podziurawione ich norami, a gdy wschodziło słońce, króliki wychodziły na zewnątrz i siedziały w słońcu obserwując przechodzących ludzi spokojnym, obojętnym wzrokiem.

- Trzeba być durniem, żeby umrzeć tu z głodu - powiedział Trzymajmocno patrząc, jak Italia zakłada siódła obok migocącego, kamienistego brodu.

Szli jednak dalej. Wiatr wiał przenikliwie na tej wysokiej, otwartej ziemi, a nie było tam żadnego drewna do budowania czy palenia. Szli dalej, aż ziemia zaczęła się wydymać, wznosząc się do podnóży gór, i doszli do wielkiej rzeki płynącej na południe, którą rysujący mapę Andre nazwał Szarą Skałą. Aby ją przebyć, musieli znaleźć bród, co wydawało się nieprawdopodobne, albo zbudować tratwy. Niektórzy opowiadali się za przecięciem rzeki, za zostawieniem za sobą jeszcze jednej bariery. Inni woleli znów skręcić na południe i iść zachodnim brzegiem rzeki. Gdy tak rozważali różne możliwości, rozbili pierwszy obóz postojowy. Jeden z mężczyzn zranił się w stopę podczas upadku, były także inne drobne skaleczenia i kłopoty: obuwie wymagało naprawy; wszyscy byli zmęczeni i potrzebo-

---

wali kilkudniowego odpoczynku. Pierwszego dnia postawili szałas z gałęzi krzaków i pokryli je liśćmi strzechowymi. Było zimno i zbierały się chmury, choć przejmujący wiatr nie docierał do obozu. Tej nocy spadł pierwszy śnieg.

Nad Zatoką Songe rzadko padał śnieg, a nigdy tak wcześnie. Nie znajdowali się już w łagodnym klimacie zachodniego wybrzeża. Nadbrzeżne pagórki, nieużytki i Żelazne Wzgórza zatrzymywały deszcze, które nadciągały znad morza na skrzydłach zachodniego wiatru; tutaj będzie bardziej sucho, ale zimniej.

Wielkie pasmo, w którego kierunku szli, ostre lodowe ściany rzadko były widoczne podczas drogi przez równinę, bo chmury śniegowe skrywały wszystko oprócz błękitnego podnóża. Znajdowali się teraz wśród tych wzgórz, w przystani pomiędzy wietrzną równiną i burzliwymi szczytami. Weszli w wąską dolinę z płynącym jej dnem strumieniem, która wiła się i rozszerzała, aż otworzyła się na szeroki, głęboki wąwóz Szarej Skały. Dno doliny porastał las składający się głównie z drzew pierścieniowych i kilku gęstych skupisk drzew bawełnianych, ale wśród nich widniało wiele polan. Wzgórza po północnej stronie doliny, osłaniające dolinę i jej niższe, otwarte, południowe

stoki, były strome i kamieniste. Przyjemne miejsce. Wszyscy poczuli się tu swobodnie, wznosząc pierwszego dnia szałas. Lecz rankiem polany były białe, a pod drzewami pierścieniowymi, choć brązowe listowie zatrzymało delikatny śnieg, każdy kamień i źdźbło zwiędniętej trawy iskrzyło się grubą warstwą szronu. Zanim ludzie byli wstanie pójść po drewno na opał, skulili się przy ogniskach, by odtajać.

- Szalasy z gałęzi krzaków nie są najlepsze na taką pogodę - powiedział ponuro Andre, rozcierając sobie zeszywniałe, popękane ręce. - Au, au, au, zimno mi.

- Przejaśnia się - rzekła Luz, patrząc w górę przez szeroką przerwę w drzewach, gdzie ich boczna dolina otwierała się na wąwóz rzeki; nad stromym drugim brzegiem Szarej Skały migotało ogromne, granatowo-białe Pasma Wschodnie.

- Na razie. Znowu spadnie śnieg.

Andre, skulony przy ogniu prawie niewidocznym w świeżym porannym słońcu, wyglądał na słabego, zmarzniętego, zniechęconego. Luz, znacznie wypoczęta dzięki dniowi bez marszu, czuła świeżość ducha jak poranny blask; czuła wielką miłość do Andre, tego ciepłego, pełnego niepokoju mężczyzny. Przykucnęła obok niego i poklepała go po ramieniu. - To dobre



miejsce, prawda - powiedziała.

Skinął głową i wtulił ją jeszcze bardziej w ramiona, ciągle rozcierając poranione, czerwone rękę.

- Andre.

Jęknął.

- Może powinniśmy zbudować chaty, nie szałas.

- Tutaj?

- To dobre miejsce...

Rozejrzał się po wysokich czerwonych drzewach, strumieniu hałaśliwie spadającym ku Szarej Skale, oświetlonych słońcem, otwartych ku południowi stokach, ogromnych niebieskich wzniesieniach na wschodzie. - Niezłe - powiedział niechętnie. - W każdym razie mnóstwo drewna i wody. Ryby, króliki, moglibyśmy tu przetrwać zimą.

- Może powinniśmy? Póki jest jeszcze czas na postawienie chat?

Zgarbiony, z rękoma zwisającymi między kolanami Andre mechanicznie rozcierał dłonie. Obserwowała go, położywszy mu rękę na ramieniu.

- Odpowiadałoby mi to - powiedział w końcu.

- Jeśli odeszliśmy wystarczająco daleko...

- Będziemy musieli wszystkich zebrać, zgodzić się...

-Spojrzał na nią; objął ją ramieniem. Kucali obok sie-

bie, połączeni, chwiejąc się trochę na piętach, blisko drżącego, na wpół widocznego ognia. - Mam już dosyć uciekania - rzekł. - A ty?

Skinęła głową.

- Nie wiem. Zastanawiam się...

- Nad czym?

Andre patrzył na oświetlony słońcem ogień ze ściągniętą i ogorzałą twarzą zaróżowioną od gorąca.

- Mówi się, że gdy człowiek się zgubi, naprawdę się zgubi, zawsze chodzi w koło - powiedział. - Wraca do miejsca, z którego wyruszył. Tylko że nie zawsze je poznaje.

- To nie jest Stolica - rzekła Luz. - Ani Miasto.

- Nie. Jeszcze nie.

- Nigdy nimi nie będzie - powiedziała z brwiami ściągniętymi w równą, surową linię. - To nowe miejsce, Andre. Miejsce początku.

- Z pomocą boską.

- Nic wiem, czego chce Bóg. - Wyciągnęła wolną rękę, zgarnęła odrobinę wilgotnej, na wpół zmarzniętej ziemi i ścisnęła ją w dłoni. - To jest Bóg - rzekła otwierając dłoń i pokazując na wpół ugniecioną kulkę czarnej ziemi. - To ja. I ty. I wszyscy inni. I góry. My wszyscy... to wszystko jest jeden krąg.

- Zgubiłem się w tym, Luz.
  - Nie wiem, o czym mówię. Ja chcę tu zostać, Andre.
  - No to chyba zostaniemy - powiedział Andre i klepnął ją po plecach. - Zastanawiam się, czy w ogóle zaczęlibyśmy, gdyby nie ty?
  - Och, nie mów tak, Andre...
  - Dlaczego? To prawda.
  - Mam wystarczająco wiele na sumieniu bez tego. Ja... Gdybym...
  - To nowe miejsce, Luz - powiedział bardzo łagodnie. - Nazwy są tutaj nowe. - Zobaczyła, że ma w oczach łzy. - Tu zbudujemy świat... z błota - dokończył.
- Jedenastoletni Asher podszedł do Luz, która na brzegu Szarej Skąły zbierała słodkowodne małże odrywając je od tkwiących w spokojnej wodzie przy brzegu lodowatych kamieni obrosniętych wodorostami. - Luz - powiedział gdy znajdował się na tyle blisko, żeby nie musiał mówić głośno. - Popatrz.
- Z zadowoleniem wyprostowała się i wyjęła ręce z przejmująco zimnej wody. - Co tam masz?
- Popatrz - szepnął chłopiec wyciągając do niej otwartą dłoń. Siedziało na niej małe stworzenie jak skrzydlata ropucha koloru cienia. Troje złocistych oczu wielkości łebka od szpilki patrzyło bez mrugania,

jedno na Ashera, dwoje na Luz.

- Coto.

- Nigdy nie widziałam coto z tak bliska.

- Przyszło do mnie, Schodziłem tu z koszykami, a ono wleciało do jednego z nich, ja wyciągnąłem rękę i ono mi na nią weszło.

- Przyszłoby do mnie?

- Nie wiem. Wyciągnij rękę.

Przysunęła dłoń do ręki Ashera. Coto zadrżało i na chwilę rozmyło się w wibracji pierzastych liści lub piór; a potem znalazło się na dłoni Luz skokiem czy lotem zbyt szybkim dla oka. Poczwała uchwyt sześciu ciepłych, maleńkich, mocnych łapek.

- Och jesteś śliczne - powiedziała cicho do stworzenia - jesteś śliczne. A ja mogłabym cię zabić, ale nie mogłabym cię mieć, nawet potrzymać...

- Jeśli wsadzić je do klatki, umierają - powiedziało dziecko.

- Wiem - odparła Luz.

Coto przybierało kolor błękitu, czystego, lazurowego błękitu nieba pomiędzy szczytami Pasma Wschodniego w dni takie jak ten, pełne zimowego słońca. Trzy złociste oczka błyszcząły. Skrzydła, kolorowe i przezroczyste, wystrzeliły na boki, zaskakując Luz; drobny

ruch jej ręki wysłał stworzonko w górę, przez rzekę, na wschód, jak płatek miki na wietrze.

Razem z Asherem napełniła kosze ciężkimi, brodатыmi, czarnymi muszlami małży, po czym ruszyli ścieżką w górę do osady.

- Południowa Bryzo! - zawołał Asher, wlokąc za sobą ciężki kosz - Południowa Bryzo! Tu są coto! Przyszło do mnie!

- Oczywiście, że są - powiedziała Południowa Bryza zbiegając po ścieżce, żeby im pomóc. - Ale dużo nazbieraliście! Och, Luz, twoje biedne ręce, chodź, w chacie jest ciepło, Sasza przywiózł na wózku nową porcję drewna. Myślałeś, że tu nie będzie coto? Nie jesteśmy aż tak daleko od domu!

Chaty - na razie dziewięć, a trzy kolejne zbudowane w połowie - stały na południowym brzegu strumienia, gdzie rozszerzał się w staw pod gałęziami ogromnego pojedynczego drzewa pierścieniowego. Wodę czerpali z małego wodospadu na początku stawu, a kąpali się i prali u jego końca, gdzie zwał się przed długim skokiem w dół do Szarej Skały. Osadę nazwali Czapla, albo Czaplistaw, od pary tych szarych stworzeń, które mieszkaly po drugiej stronie stawu, nie zważając na obecność istot ludzkich, dym z ich ognisk, hałas ich

pracy, ich chodzenie, dźwięk ich głosów. Eleganckie, długonogie, milczące czaple zajmowały się zbieraniem pożywienia po drugiej stronie szerokiego, ciemnego stawu; czasami stawały na płycznach, by popatrzeć na ludzi czystymi, spokojnymi, bezbarwnymi oczyma. Czasami tańczyły w zimne wieczory przed nadejściem śniegów. Kiedy Luz, Południowa Bryza i dziecko skręciły do swojej chaty, Luz dostrzegła czaple stojące w pobliżu korzeni wielkiego drzewa. Jedna obserwowała ich nieruchomo, druga odwróciła wąską głowę patrząc w las. - Wieczorem zatańczą - powiedziała półgłosem; zatrzymała się na chwilę na ścieżce ze swym ciężkim brzemieniem, nieruchoma jak czaple; potem poszła dalej.